

Kroniki Pradawnego Mroku IV Wyrzutek

MICHELLE PAVER



calibre 0.7.27

PAVER MICHELLE
Kroniki Pradawnego Mroku IV
Wyrzutek

Przełożył Krzysztof Mazurek

Nie. To nie wystarczy. Już sobie wyobrażał minę Renn.

Wąż ślizgał się zygzakami po brzegu rzeki. Położył płaski łeb na wodzie, a Torak zatrzymał się kilka kroków od niego, żeby gad mógł się spokojnie napić. Bolały go ramiona, odłożył więc na bok ciężkie poroże jelenia, przykucnął w zagajniku i patrzył. Węże są mądre, znają wiele tajemnic. Kto wie, może ten pomógłby mu uporać się z jego sekretem?

Wąż pił niespiesznie. Co kilka łyków podnosił łeb, przyglądał się Torakowi i wysuwał rozdwojony język, by posmakować jego zapachu. W końcu zwinął się jednym skrętem i po chwili zniknął w gęstych paprociach. Nie dał mu żadnego znaku.

Przecież ty nie potrzebujesz znaku, powiedział sobie, zmęczony własnymi myślami. Wiesz, co robić. Po prostu im powiedz. Gdy tylko wrócisz do obozowiska. Powiedz po prostu tak: „Renn, Fin-Kedinnie, dwa księżyce temu coś się wydarzyło. Pochwycili mnie. Narysowali mi znak na piersiach. A teraz...

–Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, a ty okłamywałeś mnie przez całe dwa księżyce!

Oparł głowę na rękach.

Po chwili usłyszał szelest, podniósł wzrok i na drugim brzegu rzeki zobaczył renifera. Stał na trzech nogach, wściekle drapiąc kopytem tylnej nogi po wyrzynających się nowych

rogach. Zwierzę wyczuło, że Torak nie poluje i drapało się dalej. Rogi krwawiły – swędzenie musiało być tak dojmujące, że tylko ból przynosił ulgę.

Właśnie tak powinienem postąpić, pomyślał Torak. Odciąć wszystko zdecydowanym ruchem. Niech boli. Zachowam tajemnicę. Wtedy nikt nie będzie wiedział.

Rzecz w tym, że nawet jeżeli zmusiłby się do wycięcia tatuażu, to by nie wystarczyło. Żeby się go pozbyć, musi odprawić odpowiedni rytuał. Dowiedział się tego od Renn, kiedy spytał ją od niechcienia o zygzakowate tatuaże na jej nadgarstkach.

–Jeżeli nie odprawisz rytuału, znaki po prostu wrócą – powiedziała.

–Wrócą – przeraził się Torak.

–Oczywiście. Nie zobaczysz ich, ale będą sięgać do szpiku kości. Nie znikną. Na tym skończyła – nie był w stanie zmusić jej do tego, by mu opowiedziała o rytuale, nie ujawniając, czemu chce to wiedzieć.

Poirytowany renifer potrząsnął jeszcze raz głową i ruszył truchtem do Lasu, a Torak podniósł z ziemi poroże i skierował się ku obozowisku. Miał szczęście, że znalazł rogi wystarczająco duże, żeby dać kawałek każdemu z klanu – będą idealne na haczyki do wędek i młotki do krzemienia. Fin-Kedinn będzie zadowolony. Torak próbował skupić się tylko na tym.

Nie udało się. Do tej pory nie rozumiał, jak bardzo tajemnica może odsunąć człowieka od innych ludzi. Myślał o tym cały czas, nawet wtedy, kiedy polował z Renn i Wilkiem.

Był początek Księżycy Wędrujących Łososi i rzeński wschodni wiatr niósł zapach

ryb. Torak szedł między sosnami, miażdżąc podszewkami butów korę oderwaną od drzew silnymi dziobami dzięciołów. Po jego lewej stronie długo więziona pod lodem Zielona Rzeka opowiadała coś kamieniom i drzewom, a po prawej ściana skały rosła ku Złamanej Grani. Była poznaczona bliznami w miejscach, w których klany wyrąbywały czerwony łupek przynoszący szczęście w polowaniu. Usłyszał szcęk kamienia o kamień. Ktoś wyrąbywał czerwoną skałę.

To powinienem być ja, pomyślał. Powinienem robić sobie teraz nowy toporek. Powinienem w ogóle coś robić.

–Tak dalej być nie może – powiedział głośno.

–Masz rację – odezwał się jakiś głos. – Tak być nie może. Siedzieli w kucki na półce skalnej mniej więcej dziesięć kroków nad nim – czterech

chłopaków i dwie dziewczyny – i patrzyli na niego niechętnie. Ci z nich, którzy należeli do klanu Dzika, nosili włosy do ramion i grzywkę opadającą na czoło; na szyjach mieli naszyjniki z szabli dzika, a na ramionach okrycia ze sztywnej skóry. Członkowie klanu

Wierzby nosili we włosach wyszyte spiralnie skrawki kory, a nad brwiami mieli wytatuowane trzy czarne liście nadające ich twarzom wyraz nieustannego namysłu, jakby bez przerwy marszczyli brwi. Wszyscy byli starsi od Toraka. Dostrzegł delikatny zarost na twarzach chłopców, a pod tatuażami klanowymi dziewcząt zauważył krótkie czerwone kreski oznaczające, że miały już pierwszą krew miesięczną.

Wydobywali kamień. Torak widział kamienny pył na ich odzieniach. Tuż nad sobą dojrzał drabinę z pnia drzewa z wyciętymi stopniami, którą oparli o skałę, żeby wspiąć się na grań. Teraz jednak nie chodziło im o łupek. – Torak zerknął ku nim, mając nadzieję, że nie wygląda na przerażonego.

–Czego chcecie? Aki, syn przywódcy klanu Dzika, wskazał ruchem głowy rogi jelenia.

–Są moje. Odłóż je.

–Nie, nieprawda – odparł Torak. – Ja je znalazłem. Przypominając im, że jest uzbrojony, przesunął łuk na ramię i dotknął noża z

błękitnego łupku na biodrze.

Na Akim nie zrobiło to wrażenia.

–Są moje.

–To znaczy, że je ukradłeś – włączyła się dziewczyna z klanu Wierzby.

–Jeżeli to byłaby prawda, oznaczyłbyś je swoim znakiem, a ja bym ich nie ruszał.

– Torak zwrócił się do Akiego.

–Właśnie oznaczyłem. U podstawy. Starłeś mój znak.

–Oczywiście, że nie – mruknął Torak z niechęcią. Wtedy zobaczył to, co powinien był wcześniej dostrzec – maźnięcie czerwonej glinki u

podstawy jednego z rogów, tam, gdzie narysowano szable dzika. Poczuł, że uszy mu płoną.

–Nie zauważyłem tego. Niczego nie ścierałem.

–Odłóż je więc i wynoś się stąd – powiedział chłopak imieniem Raut, który zawsze

wydawał się Torakowi uczciwszy od całej reszty, w przeciwieństwie do Akiego, który aż rwał się do walki. Torak nie miał ochoty go prowokować.

–W porządku – przyznał. – Popełniłem błąd. Nie zauważyłem znaku. Są twoje.

–Myślisz, że ujdzie ci to płazem? – spytał Aki. Torak westchnął. Znał Akiego. Part ślepo przed siebie jak szarżujący dzik – niepewny swojej pozycji, był zdecydowany dowodzić jej pięściami.

–Uważasz się za kogoś wyjątkowego – drażnił go Aki. – Bo Fin-Kedinn cię przygarnął. Bo potrafisz rozmawiać z wilkami i jesteś wędrującym duchem. – Przeciągnął

dłonią po rzadkim zaroście na policzku, jak gdyby sprawdzał, czy wciąż go ma. – Tak naprawdę mieszkasz z Krukami tylko dlatego, że twój klan nie chce się do ciebie zbliżać. A Fin-Kedinn nie ufa ci tak bardzo, żeby cię przyjąć jak własnego syna.

Torak zazgrzytał zębami.

Rozejrzał się ukradkiem. Rzeka była za zimna, nie dałby rady przepłynąć, poza tym na brzegu były głębokie jamy. Nie było sensu biec wzdłuż rzeki ani tam, skąd przyszedł. Był w pułapce, w rozwidleniu, gdzie Zielona Rzeka wpadała do Rzeki Rękojeści Topora bez szans na pomoc. Renn była w obozowisku Kruków na północnym brzegu, pół dnia marszu na wschód, a Wilk w nocy wybrał się na polowanie.

Odłożył poroże.

–Powiedziałem ci, że możesz je sobie zabrać – rzekł do Akiego. Ruszył ścieżką przez las.

–Tchórz! – rzucił za nim chłopak. Torak nie zwrócił na to uwagi. Oberwał w skroń kamieniem. Odwrócił się do nich.

–I kto tu jest tchórzem? Jesteście dzielni, bo sześcioro rzuca się na jednego? Kwadratowa twarz Akiego pociemniała pod grzywką.

–To niech będzie sprawiedliwie. Tylko ty i ja. Zrzucił kurtkę, ukazując światu umięśnioną klatkę piersiową pokrytą rudawym meszkiem. Torak zamarł.

–I co? – zakpiła dziewczyna z klanu Dzika. – Boisz się?

–Nie – powiedział Torak. Ale się bał. Przypomniał sobie, że ci z klanu Dzika rozbierali się do pasa przed walką.

Nie mógł tego zrobić, bo zobaczyliby znak na jego piersi.

–Przygotuj się – warknął Aki, schodząc po drabinie.

–Nie – odparł Torak. Jeszcze jeden kamień świsnął w jego stronę. Złapał go i odrzucił, a dziewczyna z

klanu Dzika krzyknęła, chwytając się za krwawiącą łydkę.

Aki dotarł prawie do stóp drabiny, a jego kumple tłoczyli się za nim jak mrówki ciągnące do miodu. Torak chwycił poroże, skoczył za sosnę, zahaczył rogami o najbliższą gałąź i podciągnął się na drzewo.

–Mamy go! – krzyknął Aki. Nieprawda, pomyślał Torak. Postanowił wejść akurat na to drzewo, bo rosło najbliżej

skalnej ściany. Teraz czołgał się po gałęzi w kierunku półki, z której tamci dopiero

co zesli. Były tam ostre kawałki kwarcu, kamienie do mielenia ziarna, małe ognisko i wiaderko ze

skóry łosia umieszczone w gorącym popiele, pełne sosnowej żywicy, która dzięki temu nie zastygała. Zbocze nad nim było mniej ostre, porośnięte jałowcem, dzięki czemu można się było na nie wspiąć. Rzucając w nich i uchylając się przed ich kamieniami, dobiegł do drabiny, chwycił ją i popchnął. Nie ruszyła się z miejsca. Była przywiązana do półki skalnej rzemieniami z surowej skóry, a Torak nie miał czasu, żeby ją odciąć. Postanowił zrobić jedyną rzecz, która mogła ich powstrzymać. Chwycił wiaderko i opróżnił je, lejąc żywicę po drabinie.

Usłyszał pełen wściekłości okrzyk i zdziwiony upuścił wiaderko na ziemię. Aki był szybszy, niż na to wyglądał, już prawie dotarł do półki skalnej. Torak niechętny wylał na niego gorącą sosnową żywicę.

Kwicząc jak dzik trafiony dzidą Aki ześliznął się po drabinie.

Torak przytrzymał się krzewów porastających skałę i podciągnął w kierunku półki.

Biegł na północny wschód pośród drzew, okrzyki ścigających słaby. Nie znośli uciekać. Z drugiej strony lepiej, że go nazwali tchórzem, niżby się mieli dowiedzieć.

Zbocze złagodniało, teraz zsuwał się w dół, ku rzece, trzymając się z dala od ścieżki klanowej. Biegł wilczymi ścieżkami, na które trafiał, prawie o tym nie myśląc. Kiedy dojdzie do brodu, będzie mógł się przeprowić na drugą stronę, zrobić pętlę i wrócić do obozowiska Kruków. Będzie miał kłopoty, ale Fin-Kedinn stanie po jego stronie.

Zatrzymał się w wierzbowym zagajniku na brzegu rzeki. Ciężko oddychał, czując, że powietrze rozrywa mu piersi. Drzewa wokół niego wciąż budziły się z długiego zimowego snu. Pszczoły bzycały między baziami, w promieniach słońca przysypiała wiewiórka z ogonem owiniętym wokół gałęzi. Na płyciźnie pluskała się sójka. Nikt się nie zbliżał. Las by go ostrzegł.

Drżąc z ulgi, oparł się o pień drzewa.

Bezwiednie sięgnął do kołnierza kurtki i dotknął tatuażu na piersi. Usłyszał z oddali syk Czarownicy Żmii: Ten znak będzie jak zadziór na harpunie wbitym w skórę foki. Przyciągnie cię jednym drgnieniem – nieważne, jak mocno byś walczył. Od teraz jesteś jednym z nas.

– Nie jestem jednym z was – mruknął Torak. – Nie jestem!

Jednak leżąc bez snu podczas zimowych nocy, wśród szalejących śnieżnych burz, czuł, że ten znak pali go pod skórą. Nawet nie chciał myśleć o tym, ile potworności może on wyrządzić. Do ilu złych uczynków może go zmusić.

Gdzieś na południu zawył Wilk. Złapał zająca i śpiewał o swojej radości Lasowi, swojemu bratu ze stada i każdemu, kto go słyszał. Ten głos poprawił Torakowi humor. Miał wrażenie, że Wilk nie przejmował się jego tatuażem. Podobnie jak Las. Las przecież wiedział, ale go nie odrzucił.

Sójka wleciała z wody, trzepocząc skrzydłami, powietrze zamigotało delikatnymi rozbryzgami, a Torak przez chwilę wodził za nią wzrokiem. Odepchnął się od drzewa i dalej ruszył biegiem. Kiedy wypadł z zagajnika, Aki walnął go bykiem w klatkę piersiową i rozłożył na ziemi.

Chłopiec z klanu Dzika był nie do rozpoznania. Wpatrywał się w niego wściekle zaczerwienionymi oczami, głowę miał brudną tłustą od sadzy, bił od niego zapach żywicy i nienawiści.

–Ośmieszyles mnie! – krzyknął. – Ośmieszyles mnie przed wszystkimi. Torak z trudem stanął na nogi i zatoczył się do tyłu.

–Niechący! Nie wiedziałem, że jesteś na drabinie!

–Kłamiesz! – Aki zamachnął się toporkiem, próbując uderzyć Toraka w łydkę.

Ten uskoczył, przesunął się w bok i kopnął dłoń trzymającą toporek. Aki upuścił broń. Wyciągnął nóż. Torak również wyciągnął swój i teraz krążyli wokół siebie w milczeniu.

Torak czuł, że serce wali mu, jakby chciało wyskoczyć z piersi, próbował sobie przypomnieć wszystkie sztuczki walki na noże, których uczyli go Tata i Fin-Kedinn. Aki zaatakował. Rzucił się naprzód bez ostrzeżenia. O ułamek sekundy za późno. Torak kopnął go w brzuch i uderzył mocno pięścią w gardło. Dławiąc się, Aki upadł, chwytając za kurtkę Toraka. Rzemienie puściły i Aki to zobaczył! Znak na piersi Toraka.

Czas stanął w miejscu.

Aki puścił go i cofnął się chwiejnym krokiem. Torak poczuł, że nogi wrastają mu w ziemię.

Chłopak popatrywał to na znak na jego piersi, to na twarz Toraka. Poblądł z przerażenia pod warstwą żywicy.

Po chwili doszedł do siebie. Wskazał palcem na Toraka, celując mu prosto między oczy. Zrobił otwartą dłonią znak, jakby coś przecinał – Torak nigdy przedtem nie widział tego gestu.

Odwrócił się i ruszył biegiem.

Aki z pewnością wygrzebał spomiędzy drzew swoją dłubankę i wiosłował szybciej niż skaczący łoś, bo kiedy Torak dotarł w końcu po południu do obozowiska Kruków, chłopiec z klanu Dzika już tam był. Kiedy Torak wbiegł na leśną polanę, od razu się tego domyślił po ciszy panującej w obozowisku.

Słychać było tylko szmer wody w rzece i skrzypienie stojaków do suszenia skór. Thull i jego kobieta, Luta, w których szalasie mieszkał Torak, wpatrywali się w niego, jakby był kimś obcym. Tylko ich syn, Dari, który miał siedem wiosen i wręcz uwielbiał Toraka, ruszył pędem, żeby go przywitać. Ojciec zatrzymał go gestem.

Z szalasu zbudowanego ze skóry renifera wypadła Renn, z rozwianymi ciemnorudymi włosami, zaciętą miną i oczami pełnymi oburzenia.

–Torak, jesteś w końcu! To wszystko jakaś pomyłka! Mówiłam im, że to nieprawda!

Tuż zza niej wyłonił się Aki razem ze swoim ojcem, przywódcą klanu Dzika, i Fin-Kedinnem. Twarz przywódcy klanu Kruka była ponura, wspierał się na kosturze, przechodząc przez łąkę, ale kiedy przemówił, głos miał tak samo cichy, jak zawsze.

–Poręczyłem za ciebie, Torak. Powiedziałem im, że to nie może być prawda. Pokładali w nim tyle wiary. Nie mógł tego dłużej znieść. Przywódca klanu Dzika patrzył na Fin-Kedinna z niechęcią.

–Nazywasz mojego syna kłamcą? Był większą wersją Akiego. Ta sama kwadratowa twarz i zaciśnięte, gotowe do walki pięści.

–Nie kłamcą – odparł Fin-Kedinn. – Chłopak po prostu się pomylił. Przywódca klanu Dzika nie krył oburzenia.

–Mówiłem ci – powiedział Fin-Kedinn. – Ten chłopiec nie jest Pożeraczem Dusz. Mogę to udowodnić. Torak, zdejmij kurtkę.

–Co takiego? – Renn odwróciła się z niedowierzaniem w kierunku wuja. – Chyba nawet nie myślisz...

Fin-Kedinn uciszył ją spojrzeniem. Teraz zwrócił się do Toraka:

–No już, rozwiążmy tę sprawę raz na zawsze. Torak rozejrzał się po twarzach ludzi stojących wokół niego. Przyjęli go, kiedy zginął jego ojciec. Przeżył z nimi niemal dwie wiosny. Zaczęli już się do niego przyzwyczajać. Teraz to się skończy.

Powoli zdjął z ramienia kołczan i łuk i położył je na ziemi. Rozpiął pas. W uszach słyszał dzwonięcie. Jego palce należały do kogoś innego.

Zmówił modlitwę do Lasu i ściągnął kurtkę przez głowę.

Renn otworzyła usta, ale nie wydała z siebie dźwięku.

Dłoń Fin-Kedinna zacisnęła się na kosturze. – Mówiłem! – krzyknął Aki. – Trójząb. Mówiłem wam! To Pożeracz Dusz!

Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – zapytał Fin-Kedinn głosem, na dźwięk którego dorośli mężczyźni bledli ze strachu. –Chciałem – odparł Torak. – Ale ja...

–Ale ty co? Torak zwiesił głowę. Byli sami na polanie. Przywódca klanu Dzika i jego syn odeszli, żeby zwołać swoich

ludzi. Rozesłano posłańców do klanów, które obozowały w zasięgu kilku dni marszu. Fin-Kedinn, który czyścił skórę renifera, zanim Aki wpadł jak burza do jego szalasu, teraz wrócił do pracy. Był to znak dla pozostałych, żeby zajęli się swoją robotą i zostawili go samego z Torakiem. Niektórzy poszli polować albo łowić ościeniami ryby w górnym biegu rzeki. Nie było śladu po Renn.

W obozowisku Kruków panowała niepokojąca cisza. Torak dostrzegł kajak ze skóry jelenia wyciągnięty na brzeg, widział sieć z kory drzewa suszącą się na krzaku jałowca. Drzewa wokół niego były zielone kolorem wiosennych liści, poszycie świeciło błękitem anemonów, żółtym jaskółczym zieleń i srebrnymi rybimi łuskami. Nie było żadnych oznak tego, że nad jego głową zbiera się burza.

Patrzył, jak Fin-Kedinn zarzuca skórę na pniak i naciąga ją na kołkach. Żyły na ramionach przywódcy klanu Kruka nabrzmiały, a jego ruchy – zazwyczaj spokojne i niespieszne – były gwałtowne i pełne wściekłości.

–Że też mi nie powiedziałaś! Mogliśmy przecież znaleźć jakiś sposób.

–Myślałem, że pozbędę się tego, zanim się dowiesz – Torak zdał sobie sprawę, jak to brzmi: kłamstwo na kłamstwie.

Fin-Kedinn wziął żebro jelenia i zaczął krótkimi, gniewnymi ruchami zdrapywać tłuszcz ze skóry zwierzęcia.

–Sprowadziłeś znak zła do mojego klanu.

–Nie chciałem! Fin-Kedinnie, musisz mi uwierzyć! Próbowałem walczyć, ale było ich za dużo!

Przywódca klanu Kruków uderzył mocno skrobaczką w skórę zwierzęcia.

–Ale to ty ich znalazłeś! To ty się do nich zbliżyłeś!

–Musiałem! Przecież porwali Wilka!

–Zawsze jest jakiś powód! – Siła jego gniewu sprawiła, że Torak cofnął się o krok.

– Jesteś taki sam jak ojciec! Ostrzegalem go, żeby się do nich nie przyłączał, ale nie chciał słuchać. Mówił, że mają dobre zamiary, nazywał ich Uzdrowicielami, nawet wtedy, kiedy przeszli na stronę zła. W końcu to go zabiło. Zabiło też twoją matkę.

Torak zobaczył głębokie bruzdy po obu stronach jego ust, ból w jasnoblękitnych oczach. Ogarnęło go poczucie winy. Zranił człowieka, którego pokochał.

Przywódca klanu Kruka wrócił do pracy. Torak czuł smród bijący od martwego renifera i patrzył na krwawy tłuszcz na krawędzi żebra. Wyobraził sobie, jak nóż wcina się w jego własną skórę, żeby się pozbyć tatuażu Pożeraczy Dusz.

–Wytnę go. Renn mówi, że jest jakiś rytuał.

–Który można przeprowadzić tylko wtedy, kiedy księżyc jest w pełni. Teraz mamy zaćmienie. Zabrakło ci czasu.

Powiew wiatru przyniósł zapach deszczu i Torak zadrżał.

–Fin-Kedinnie, nie jestem Pożeraczem Dusz. Przecież wiesz. Nóż zdzierający tłuszcz ze skóry zastygł w miejscu.

–Jak to udowodnisz? – Spojrzał prosto w oczy Toraka, a w jego spojrzeniu był smutek jeszcze bardziej przerażający niż gniew. – Nie rozumiesz, Torak? Nie chodzi o to, w co ja wierzę. Musisz przekonać wszystkich pozostałych. Sprawa wymknęła mi się z rąk. Teraz może za ciebie poręczyć tylko twój własny klan.

Torak poczuł, że za chwilę serce mu pęknie. Pochodził z klanu Wilka, ale jego ojciec trzymał go od tej społeczności z daleka, nigdy nie widział reszty swojego klanu. Niewielu ich widziało. Członkowie klanu Wilka okryli się wstydem, kiedy ich Czarownik – ojciec Toraka -zamienił się w Pożeracza Dusz. Od tego czasu klan się ukrywał, przemykał w półcieniach, tak jak stworzenie, które było jego opiekunem.

Torak dotknął wyliniałego kawałka wilczego futra przyszytego do kurtki. Wyciął je i przygotował jego ojciec, dlatego futro było tak cenne. Stanowiło również jedyny łącznik Toraka z klanem.

–Jak mam ich odnaleźć? – spytał.

–Nikogo nie znajdziesz – powiedział Fin-Kedinn. – Nie znajdziesz ich, jeżeli nie będą chcieli, żebyś ich znalazł.

–A jeśli nie przyjdą? Jeżeli nie poręczą za mnie...

–Wtedy nie będę miał wyboru. Będę musiał się ugiąć pod prawem klanowym i ogłosić, że stajesz się wyrzutkiem.

Wiatr się nasilił, a brzozy uniosły gałęzie, jakby Torak został już wyrzucony poza nawias społeczności klanowej, jakby bały się go dotknąć.

–Rozumiesz, co to znaczy być wyrzutkiem? – spytał Fin-Kedinn. Torak pokręcił głową.

–To tak, jakbyś już był martwy, odcięty od wszystkich. Tropiony jak dzika

zwierzyna. Nikt ci nie będzie mógł pomóc. Ani ja, ani Renn. Nie będziemy mogli z tobą rozmawiać ani dawać ci jedzenia. W przeciwnym razie też staniemy się wyrzutkami. Jeżeli zobaczymy cię w Lesie, będziemy musieli cię zabić.

Torak poczuł, jak oblewa go zimny pot.

–Ale ja nic nie zrobiłem.

–Takie jest prawo – powiedział Fin-Kedinn. – Wiele zim temu, po wielkim pożarze, który rozproszył po świecie Pożeraczy Dusz, starszyczna klanu ustanowiła to prawo, żeby więcej już nie wracali. Żeby inni nie mogli się do nich przyłączyć.

Pierwsze krople deszczu uderzyły w skórę renifera.

–Idź do swojego szałas – powiedział przywódca klanu Kruków, nie patrząc na Toraka.

–Ale Fin-Kedinnie...

–Idź. Zaraz się zbiorą klany. Starszyczna zadecyduje. Torak przełknął ślinę.

–Co z Thullem i Lutą, i Darim? To jest również ich szałas.

–Zbudują sobie inny. Od teraz z nikim ci nie wolno rozmawiać. Zostań w szałasie.

Poczekaj na decyzję klanów.

–Jak długo to potrwa?

–Tak długo, jak trzeba. Torak... nie próbuj uciekać. Tylko pogorszysz sprawę.

Torak nadal wpatrywał się w niego.

–Jak coś tu można jeszcze pogorszyć?

–Zawsze można – odparł przywódca klanu Kruków.

Torak dowiedział się w końcu prawdy dwa dni później, kiedy Renn przyszła go odwiedzić.

Do tego czasu nie widział jej nawet w przelocie. Jego szałas wychodził na Las, nie na obozowisko, nie widział więc zbyt dużo, chyba że wyglądał przez otwory w skórach albo kiedy szedł do latryny. Przez resztę czasu siedział i wpatrywał się w małe ognisko przed wejściem do szałas, słuchając, jak zbierają się klany.

Pod koniec drugiego dnia Renn stanęła przed jego szałasem. Twarz miała bladą granatowe kreski tatuaży klanowych odznaczały się mocno na jej kościach policzkowych.

–Powinieneś był mi powiedzieć – odezwała się kamiennym głosem.

–Wiem.

–Powinieneś był mi powiedzieć! – kopnęła w belkę drzwi, aż cały szałas się zatrzęsł.

–Wydawało mi się, że pozbędę się tego w tajemnicy przed wszystkimi.

Przykucnęła przy ogniu i niechętnie patrzyła w żarzące się węgielki.

–Okłamywałeś mnie przez całe dwa księżyce. Nie mów mi, że cisza nie jest kłamstwem, bo jest!

–Wiem. Przepraszam.

Milczała. Zimą zrobiło jej się maleńkie znamię w kąciku ust, a on się z nią droczył i pytał, czy to czasem nie nasionko brzozy i dlaczego go nie ściera. Ale teraz nie było mowy o tym, by się z nią droczyć. Nigdy w życiu nie czuł się tak strasznie.

–Renn... – zaczął – musisz mi uwierzyć. Nie jestem Pożeraczem Dusz.

–Oczywiście, że nie jesteś! Odetchnął.

–Więc... Wybaczysz mi?

Skubała skórę na łokciu. Później uprzejmię skinęła głową. Czuł, że ogarnia go ulga.

–Myślałem, że mi nigdy nie wybaczysz. Wciąż drapała się po łokciu.

–Wszyscy mamy swoje tajemnice, Torak.

–Ale nie takie jak ta.

–Nie – powiedziała zmienionym głosem. – Nie takie jak ta.

Wtedy zaskoczyła go, pytając, który z Pożeraczy Dusz zrobił mu znaki na piersi.

–To Seshru. Dlaczego pytasz?

Oderwała kawałek luźnego naskórka i wcisnęła paznokiec w bolące miejsce.

–Gdzie wtedy byli pozostali? Przełknął ślinę.

–Thiazzi mnie trzymał. Czarownica Nietoperza się przyglądała. Eostra... –
wzdrygnął się na samo wspomnienie upiornej drewnianej maski Czarownicy Puchacza. – Nie widziałem jej. Ale był tam jakiś puchacz, przyglądał się wszystkiemu z lodowego wzgórza...

Nagle Torak znów znalazł się w zmrożonej ciemności Dalekiej Północy. Czuł mocarny uścisk Czarownicy Puchacza. Zobaczył przycupniętą olbrzymią postać Czarownicy Nietoperza trzymającej straż. Kątem oka dostrzegł pomarańczową poświatę oczu największego z puchaczy. Wtedy Seshru, Czarownica Żmii, zasłoniła mu gwiazdy, patrzył prosto w oczy granatowe jak niebo tuż przed połową nocy. Przyglądał się, jak idealnie wykrojone usta przepowiadają jego przyszłość, podczas gdy Seshru sama raz po raz dźga jego skórę igłą i wciera w nią krew zamordowanych łowców. Ten znak będzie jak zadziór na harpunie wbitym w skórę foki. Przyciągnie cię jednym drgnieniem...

–Torak? – odezwała się Renn, przywołując go znów do szalasu. – Co teraz zrobisz?

–To, co powinienem zrobić od samego początku. Chcę go wyciąć. Powiedz mi, co mam zrobić i jak wygląda rytuał.

–Nie – odparła bez wahania.

–Renn. Musisz.

–Nie! Nie zrobisz tego sam, nie znasz się na sztuce Magii.

–Będę musiał spróbować.

–Tak. Ja ci w tym pomogę.

–Nie, jeżeli mi pomożesz, też staniesz się wyrzutkiem.

–Nic mnie to nie obchodzi.

–Ale mnie obchodzi. Dziewczyna zacisnęła usta. Czasami bywała niewiarygodnie uparta. Tak jak on.

–Renn, posłuchaj. Nie tak dawno porwali Wilka, przeze mnie. Omal nie zginął. Przeze mnie. Dlatego właśnie jeszcze go nie przywołałem, bo będzie próbował mi pomóc i stanie mu się krzywda. Jeżeli tobie stałoby się krzywda przeze mnie... – przerwał. – Musisz mi przyrzec, przyrzec na swój łuk i na wszystkie trzy dusze, że jeżeli mnie wyrzucą, nie będziesz próbowała mi pomóc.

Dobiegły go jakieś odgłosy na polanie. Torak ujrzał pochyloną postać Czarownicy Kruków, która szła w jego kierunku kołyszącym się krokiem.

–Renn! – powtórzył z naciskiem. – Proszę cię! Musisz przyrzec! Dziewczyna uniosła głowę, a w jej ciemnych oczach połyskiwały dwa ogniki.

–Nie – powiedziała.

–Klany się zebrały – rzekła Saeunn swoim kruczym, gardłowym głosem. – Rada starszych podjęła decyzję. Renn, idź stąd. Dziewczyna podniosła wyżej brodę na znak protestu.

–Idź stąd.

Renn niechętnie zwróciła się do Toraka:

–Wcale nie żartowałam. – Po czym odeszła.

Czarownica Kruków kazała Torakowi zebrać swoje rzeczy i czekała na niego przy wyjściu z szałasu, ściskając pomarszczonymi szponami swój kostur. Głęboko zapadnięte oczy przyglądały mu się bez cienia litości. Życie, które spędziła, zaglądając do świata duchów, odcięło ją od uczuć żyjących.

–Śpiwora nie bierz – rzuciła sucho.

–Dlaczego nie?

–Wyrzutek jest jak umarły.

Torak czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Do tej chwili trzymał się cienia nadziei, że Fin-Kedinn jakoś go uratuje.

Nadciągnął deszcz, grube krople uderzały w skórzany dach szałasu, a ognisko zaczęło dymić. Podniósł ostatnią ze swoich rzeczy i rozejrzał się wkoło. Często nie mógł znieść tego szałasu. Nigdy nie przywykł do życia Kruków, którzy mieszkali w tym samym obozowisku przez trzy albo cztery księżyce, zamiast co kilka dni iść dalej i dalej, jak on i ojciec. Teraz nie mógł sobie wyobrazić, że stąd odchodzi i nigdy nie wróci.

–Już czas – powiedziała Saeunn. Ruszył za nią na polanę.

Klany zebrały się wokół olbrzymiego ogniska. Było wciąż jasno, ale deszczowe chmury zamieniły dzień w zmierzch. Torak cieszył się, że pada. Ludzie będą myśleli, że trzęsie się z zimna, a nie ze strachu.

Tłum rozsunał się, żeby ich przepuścić, a Torak widział mur rozmazanych, oświetlonych pełgającym ogniem twarzy. Kruki. Wierzby. Węże. Dzikie. Nie było jednak nikogo z klanów Gór ani klanów Lodu. Nikogo z Głębokiego Lasu ani z Morza. To była sprawa Otwartego Lasu. Zastanawiał się, kiedy usłyszą o nim krewniacy z klanu Foki. Co pomyśli Bale?

Aki usadowił się na samym przodzie zgromadzenia. Zmył już i zdrapał z twarzy ślady żywicy, ale na jego skórze pozostały czerwone plamy, musiał też obciąć krótko włosy, które

teraz sterczały jak sierść dzika. Za pasem miał dwa toporki do rzucania, u biodra róg z kory brzoźowej, a na twarzy wyraz tryumfu. On na pewno nie będzie tracił czasu i natychmiast zacznie polowanie na wyrzutka.

Deszcz syczał, padając w ogień, krople kapwały z drzew pilnujących skraju polany. Deszcz spływał po policzkach Renn jak łzy. Ale to nie mogły być łzy, bo Renn nigdy nie płakała.

Przy ogniu czekał Fin-Kedinn z resztą starszyzny. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Nie patrzył na Toraka. Saeunn podeszła kołyszącym się krokiem do Fin-Kedinna i przemówiła do klanów.

–Jestem najstarsza ze wszystkich klanów Otwartego Lasu – stwierdziła. – Przemawiam w imieniu wszystkich – przerwała. – Chłopak ma na sobie znak Pożeracza Dusz. Prawo mówi wyraźnie. Musi zostać wyrzucony.

–Ooo! – z tłumu uniósł się okrzyk. Torak poczuł, że kolana się pod nim uginają.

–Czekajcie! – rozległ się męski głos na skraju polany. Wszystkie głowy zwróciły się w tamtym kierunku. Torak zobaczył wysokiego

mężczyznę, który wchodził w krąg światła. Deszcz przylepił mu długie włosy do głowy, wygolonej tylko na skroniach. W jego oczach widać było dziwną żółtą poświatę, ale twarz o wysokich kościach policzkowych wydawała się Torakowi znajoma.

Wtedy dostrzegł tatuaże klanowe i poczuł gęsią skórę na szyi. Dwie kropkowane linie na kościach policzkowych. Kawałek przemokniętego szarego futra po lewej stronie kurtki. Aki też to zobaczył.

–Nie! – krzyknął. – Teraz nie możesz jej przerywać, przemówiła starszyczna. Wysoki mężczyzna spojrzał na Akiego, aż chłopak z klanu Dzika cofnął się przestraszony.

–Kim jesteś? – spytał Torak. Mężczyzna odwrócił się w jego stronę i spojrzał przenikliwie.

–Jestem Maheegun. Przywódca klanu Wilka.

Wyłonili się spomiędzy drzew bezgłośnie jak sfera wilków. Kobiety, mężczyźni i dzieci, wszyscy ubrani w proste kurtki ze skóry renifera o barwach pozwalających na wtopienie się w Las. Na szyi każdego z nich świecił amulet z surowego bursztynu i jak Maheegun mieli wygolone, zabarwione czerwoną ochrą skronie. Kiedy weszli w krąg światła, Torak zauważył, że białka ich oczu są żółte. Jak u wilków.

Przywódca chyba rozpoznawał Fin-Kedinna, bo skłonił wyniośle głowę, ale ani się nie uśmiechnął, ani nie położył pięści na piersi w geście przyjaźni. Torak pomyślał, że zachowuje się jak przywódca sfory wilków, który dumnie ocenia obcego.

Podobnie na wpół pokłoniła się reszta klanu Wilka, oprócz kobiety, która uśmiechnęła się do Fin-Kedinna tak promiennie, że przez chwilę odmłodziła. W odpowiedzi przywódca Kruków położył rękę na piersi i skłonił się jej. Torak przypomniał sobie, że dawno temu klan Wilka przygarnął Fin-Kedinna.

–Znaleźliśmy twój kamień z wieścią – zwrócił się Maheegun do przywódcy klanu Kruka. – Dlaczego nas wezwałeś? I to na takie zebranie.

–Chciałem, żebyście przyszli – odparł spokojnie Fin-Kedinn. Maheegun stanął wyprostowany i przyglądali się sobie nawzajem. Pierwszy odwrócił wzrok przywódca klanu Wilków. Jego żółtawe spojrzenie przesunęło się na skórę stworzenia klanowego przy kurtce Toraka, a później znów na Fin-Kedinna.

–Kto to jest?

–Syn Czarownika Wilków. Ludzie z klanu Wilka wstrzymali oddech. Niektórzy chwycili w dłonie amulety, inni

uczynili gest dłonią w kierunku Toraka, jakby odpędzali od siebie złe moce.

–Ten, o którym mówisz – powiedział Maheegun – był największym czarownikiem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. On jedyny, na kilka uderzeń serca, naprawdę stawał

się

wilkiem. Zamienił się jednak w Pożeracza Dusz. – Mężczyzna dotknął skroni. – To z jego powodu nosimy wszyscy znak wstydu. Tego było już za wiele.

–Jakiego wstydu? – wykrzyknął Torak. – Mój ojciec rozbił na kawałki opał ognia! Rozproszył po świecie Pożeraczy Dusz! Czy to nie wystarcza, jeszcze wam mało?

Maheegun nie zwracał na niego uwagi.

–Pytam cię raz jeszcze, Fin-Kedinnie. Po co nas wezwałeś? Fin-Kedinn opowiedział w kilku słowach o tym, jak Torak zamieszkał z Krukami i dlaczego chciał, żeby jego klan teraz za niego poręczył. Jako oznakę tożsamości Toraka uniósł w górę róg z lekami i amuletami jego matki oraz nóż z błękitnego łupku, który należał do jego ojca.

Przywódca klanu Wilków słuchał w milczeniu, ale kiedy Fin-Kedinn chciał mu podać te przedmioty, odsunął się.

–Trzymaj je ode mnie z daleka, są nieczyste!

–Nie, wcale nie! – zawołał Torak. – Tata dał mi je przed śmiercią!

–Torak, wystarczy – ostrzegł go Fin-Kedinn. Kobieta, która wcześniej się uśmiechnęła, zrobiła kilka kroków i weszła w światło ognia.

–Maheegun, nie potrzebujemy żadnych dowodów – powiedziała. – Wystarczy spojrzeć na twarz tego chłopca. On jest synem Czarownika Wilków.

Ludzie z jej klanu zadrżeli. Kątem oka zobaczył, że Renn unosi w górę zaciśniętą pięść.

–Tak – przyznał Maheegun. – A jednak... nie mogę za niego poręczyć. Torak oniemiał. Nawet Fin-Kedinn wyglądał na wstrząśniętego.

–Ale musisz. On jest twoim krewnym – przypomniał Fin-Kedinn, a widząc, że przywódca klanu Wilków nie odpowiada, dodał: – Maheegun, znam tego chłopca. Znak położono mu na skórze wbrew jego woli, nie jest Pożeraczem Dusz.

Maheegun zmarszczył brwi.

–Nie rozumiesz. Wybór nie należy do mnie. Czy powiedziałem, że za niego nie poręcę? Nie, powiedziałem, że nie mogę. Ten chłopiec jest synem Czarownika Wilków, to prawda. Ale on nie jest z klanu Wilka!

Przez chwilę nikt się nie odezwał.

–Oczywiście, że jestem z klanu Wilka! – krzyknął Torak. – Moja matka nazwała właściwy klan, kiedy się urodziłem, tak jak to czynią wszystkie matki, a kiedy miałem siedem lat, ojciec narysował mi na skórze tatuaże klanowe!

–Nie – powiedział Maheegun.

Podszedł blisko do Toraka, wyciągnął dłoń i dotknął jego policzka palcem wskazującym.

Torak się wzdygnął. Doszedł go wilgotny zapach skóry renifera, z której zrobiona była kurtka przywódcy klanu. Czuł palec spracowanej dłoni przesuwający się po starej bliźnie przecinającej tatuaż klanowy na lewym policzku.

–Nie jesteś z klanu Wilka – mruknął Maheegun, a jego żółte oczy tkwiły w oczach Toraka. – Ty jesteś bez

Zapanowało przejmujące milczenie. Po chwili wszyscy zaczęli mówić naraz.

–O czym ty mówisz? – krzyknął Torak. – Ja jestem z klanu Wilka! Jestem z klanu Wilka, odkąd się urodziłem!

–To tylko blizna – zaprotestował Fin-Kedinn. – Ona nic nie znaczy.

–Jak może być bez klanu? – wykrzyknęła Renn. – Nikt nie jest bez klanu! To niemożliwe!

–Maheegun ma rację – odezwała się zdartym głosem Saeunn. Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku.

–Ta blizna nie znalazła się tam przypadkiem – powiedziała uroczyście. – Ojciec chłopca zrobił ją celowo, by pokazać, że chłopiec nie jest prawdziwym członkiem klanu Wilka!

–To nieprawda! – wyrzucił z siebie Torak. – Poza tym, skąd ty możesz to wiedzieć?

–Powiedział mi o tym – odparła Czarownica Kruków. – Odszukał mnie podczas spotkania klanowego nad Morzem. – Patrzyła kamiennym wzrokiem w oczy Toraka. – Sam wiesz. Byłeś tam.

–To nieprawda – szepnął Torak.

W tej samej chwili zorientował się jednak, że wie, jak wygląda prawda. Miał wtedy dopiero siedem wiosen, a Tata zostawił go w tłumie rozbawionych dzieci i odszedł, żeby z kimś porozmawiać. Nie chciał powiedzieć z kim. Torak nigdy w życiu nie widział tylu ludzi naraz. Był jednocześnie przestraszony, podekscytowany i dumny ze swoich nowych tatuaży klanowych, chociaż trochę poirytowany, że Tata przykrył je granatowym sokiem z jagód -powiedział, że trzeba je ukryć, udawał, że to zabawa.

Deszcz ustał, krople wody smutno kapąły z drzew.

–Bez klanu – mamrotali wszyscy.

–Jak to możliwe? – spytał Fin-Kedinn.

–Odpowiedź znała tylko jego matka – powiedziała Saeunn. – Zanim umarła, oznajmiła, że chłopak jest bez klanu. – Czarownica uderzyła mocno kosturem w ziemię. – Ale to nie jest nasza sprawa! To niczego nie zmienia! Chłopiec nie ma klanu, który może za niego poręczyć. Zgodnie z prawem musi zostać wyrzucony.

–Nie! – krzyknęła Renn. – Nic mnie to nie obchodzi, że jest bez klanu! To nieuczciwe! Wbiegła na środek polany. Mokre włosy kleiły się jej do szyi, wiły się jak małe

czerwone węże, a twarz miała rozpaloną emocjami. Torak pomyślał, że wygląda na więcej niż trzynaście wiosen, i że jest piękna.

Saeunn już otwierała usta, żeby ją uciszyć, ale Fin-Kedinn podniósł dłoń i pozwolił jej przemówić.

–Wszyscy znacie Toraka – zaczęła Renn, patrząc na nich. – Ty go znasz, Thull. I ty, Luta, i ty, Sialot, i Poi, i Etan... – Po kolei wzywała wszystkich Kruków po imieniu. Następnie wezwała tych w innych klanach, których Torak poznał w ciągu ostatnich dwóch wiosen. – Wszyscy wiecie, ile dla nas zrobił. Zniszczył niedźwiedzia. Wyzwolił Las od choroby. Tej zimy napadłyby na nas demony, gdyby nie on.

Zrobiła przerwę, żeby mogli o tym wszystkim pomyśleć.

–Tak, postąpił źle. Ukrył tatuaż Pożeracza Dusz, choć powinien był nam o tym

powiedzieć. Ale przecież nie zasługuje na wyrzucenie! Jak możecie tak stać i pozwolić na to, co się dzieje? Gdzie jest w tym wszystkim sprawiedliwość?

Fin-Kedinn pogładził dłonią ciemnorudą brodę. Na twarzach obecnych widać było wątpliwości. Saeunn była jednak nieugięta. Raz jeszcze uderzyła kosturem w ziemię.

–Prawa klanowe muszą być respektowane! Ten, który postąpił źle, musi zostać wyrzucony! – Teraz zaatakowała Renn. – Jeżeli ktoś ma wątpliwości, jeżeli ktoś ośmieli się mu pomóc, również będzie wyrzucony!

Renn patrzyła na Saeunn nieustępliwie, ale Torak porozumiał się z nią wzrokiem i pokręcił głową. Nie rób tego. Tylko wszystko pogorszysz.

Później nie pamiętał dokładnie, na czym polegał rytuał wyrzucania z klanu, utkwiły mu w umyśle tylko szczegóły, jak błyskawice rozdzierające niebo podczas burzy.

Renn przyglądała się temu z zaciśniętymi pięściami, podniosła ramiona i zatkała uszy.

Aki gładził swój toporek.

Luta połykała łyzy, podając wszystkim kosz pełen rzecznej gliny, by na policzkach namalowali znak żałoby.

–Wyrzutek będzie jak umarły – zaintonowała Saeunn. Jeden po drugim, każdy z członków klanu brał coś, co należało do Toraka, i to

niszczył. Następnie oczyszczał dłonie świerkowymi gałązkami, które później rzucał w ogień -postępowali tak, jakby Torak naprawdę umarł.

Thull wziął oścień Toraka i zakopał go pod drzewami.

Luta włożyła jego śpiwór do ognia.

Dari zrobił to samo z jego łyżką z rogu tura.

Etan zmiażdżył stopą jego kubek z kory brzozej.

Sialot i Poi wzięli jego strzały i przełamali na pół.

Inni wzięli jego bukłak na wodę i zimowe ubranie z foczej skóry, z którego już wyrósł, ale chciał sobie z niego zrobić legowisko i wszystko spalili.

W końcu Renn delikatnie złożyła jego woreczek z lekami na żarzące się węgle. Ona jedna spojrzała mu prosto w oczy. Torak wiedział, że powiedziałaaby, jak jej przykro, gdyby tylko mogła.

Powietrze na polanie przenikał gorzki zapach palących się skór, a Saeunn kazała Torakowi położyć się na plecach i wytatuowała mu na czole znak wyrzutka – mały czarny pierścień podobny do Znak Śmierci.

W końcu stał samotny, nie mając nic oprócz łuku, trzech strzał, noża, rogu z lekami oraz woreczka z krzesiwem. Wszystkie oznaczone czerwoną ochrą. Jak u umarłego.

Fin-Kedinn nie brał dotąd udziału w rytuale, ale teraz podszedł do Toraka. Dłoń mu drżała, kiedy wyjmował nóż z pochwy.

Torak przygotował się na najgorsze.

Bolało bardziej, niż sobie wyobrażał. Przywódca klanu Kruka bez słowa wyciął fragment skóry zwierzęcia

–opiekuna klanu – z kurtki Toraka i położył podniszczone futro wilka na płonących żagwiach.

Torak przygryzał wargę, patrząc, jak futro ciemnieje i dymi.

–Żeby się oddalić, wyrzutek ma czas do świtu – powiedział Fin-Kedinn. Głos mu nie drżał, ale błysk w jego oczach zdradzał, jak wiele go to kosztuje. – Do tego czasu wolno mu bez przeszkód poruszać się po Lesie. Później każdy, kto go zobaczy, musi go zabić

–przerwał. Następnie uczynił dłonią gest przecięcia, który oznaczał wyrzutka. – Rytuał jest zakończony.

Torak wpatrywał się w ogień, gdzie płonęły jeszcze ostatnie ślady po chłopcu, którym kiedyś był – Toraku z klanu Wilka. Zamieniały się w stos pełgającego światłem popiołu, który wiatr rozwiał na wszystkie strony świata.

Za sobą słyszał pomruk przesuwający się przez tłum. Odwrócił się i bardzo się zdziwił, widząc, że obserwatorzy rozdzielają się, żeby kogoś przepuścić. Zobaczył, że Maheegun kładzie dłoń na piersi i kłania się nisko nowo przybyłemu. Zobaczył też, że reszta klanu Wilka czyni taki sam gest.

Wtedy się zorientował dlaczego.

Potężny szary wilk wbiegł na polanę, lekko stąpając po trawie. Krople deszczu jak maleńkie perełki ozdabiały jego futro, a jego oczy miały kolor bursztynu, jak światło słońca w czystej wodzie.

Psy uciekły. Ludzie się odsunęli. Wszyscy oprócz Renn, która skinęła nieznacznie głową w stronę Toraka.

Torak ukląkł, kiedy Wilk ruszył w jego kierunku.

Były czasy, kiedy Wilk skoczyłby na Toraka i przywitałby się z nim radośnie, uderzając łapami o ziemię, wpół jęcząc, wpół wyjąc, i lizałby mu nos, powalając go wilczymi pocałunkami. Teraz jednak było inaczej. Tego wieczoru Wilk był przewodnikiem, w jego oczach płonął ogień tajemniczej pewności, który przychodził czasami nie wiadomo skąd.

Dotknęli się nosami, a spojrzenie Toraka przemknęło lekko po oczach Wilka jako znak powitania.

–Bracie ze stada – powiedział w wilczej mowie. Zobaczył, jak Maheegun sztywnieje.

–Tak – zwrócił się cicho do przywódcy klanu Wilków. – Może nie jestem z klanu Wilka, ale potrafię to, czego wy nie potraficie. Potrafię mówić wilczym językiem.

Torak wstał i razem z Wilkiem biegnącym truchtem u jego boku ruszył przez polanę na skraj lasu. Przystanął, odwrócił się po raz ostatni, żeby spojrzeć na ludzi, którzy go wyrzucili.

–Może i jestem wyrzutkiem – powiedział. – Może i jestem bez klanu, ale nie jestem Pożeraczem Dusz. I znajdę sposób, żeby wam to udowodnić.

Wieczór był zimny, wilgotny, a Torak biegł bez ustanku przez Las z Wilkiem u boku. Nie zatrzymywali się na odpoczynek – Torak zamarzyłby bez śpiwora. Lepiej być w ruchu. Wtedy też łatwiej nie myśleć.

Niebo zaczęło już szarzeć, kiedy Wilk przystanął – uszy miał postawione, futro zjeżone na karku.

–Urrfl – szczechnął cicho. – Niebezpieczeństwo!

Po chwili Torak również to usłyszał. Rogi z brzozonej kory w oddali. Zawodzenie psów.

Zacisnął dłoń na rękojeści noża. Aki nie tracił czasu.

Wilk usłyszał poszczekiwanie psów i ze wzgardą nadstawił ucha. Przecież go nie złapią! Ale mogą złapać Wysokiego Bezogona.

Jego brat ze stada biegł jak zwykle na tylnych nogach, był zatem żałośnie powolny. Wilk musiał co chwilę przystawać, żeby wilczy brat mógł go dogonić. Biorąc pod uwagę to, że za dobrze nie słyszał, a węch miał przytępiony, nie uciekłyby psom, jeśli Wilk by mu nie pomógł.

Radził sobie jednak, bo był bardzo bystry. Czasami nawet bystrzejszy niż zwykły wilk. Wcześniej ukrył swój zapach, przepływając przez Szybką Wilgoć. Później obudził Jasną-Bestię-która-Kąsa-Gorąco i posmarował sobie popiołem twarz, następnie łapy i wierzchnią sierść. Wilkowi się to nie podobało, bo od tego kichał, ale rozumiał, dlaczego brat to zrobił.

Żałował tylko, że Wysoki Bezogon nie jest szybszy.

Mieli za sobą wiatr, kluczyli między drzewami, biegli ścieżkami, które wilki wytyczyły dawno temu, kiedy Las był młody. Poszczekiwanie psów cichło, a Wilk uniósł ogon, żeby powiedzieć swojemu bratu ze stada, że pogoń jest bardzo daleko.

Biegli dalej.

Podłoże zrobiło się skaliste. Wspięli się na wzgórze, gdzie czujne sosny szeptały im słowa zachęty. Wysoki Bezogon się pośliznął, rozrzucając kamyczki, które uderzyły Wilka w nos. Wilk przebiegł obok niego, po chwili zdał sobie sprawę, że jest za daleko i znów znalazł się z tyłu za swoim bratem, bo przecież to Wysoki Bezogon był przewodnikiem stada.

Wysoki Bezogon zdjął nogawice z bobrowej skóry i wspinał się bosy. Wilk często widział, jak to robi, ale wciąż go to niepokoiło. Wysoki Bezogon miał takie dziwne łapy! Palce tylnych łap miał małe, krótkie i bezużyteczne, a palce przednich łap były bardzo długie i chwytne. Wilk patrzył w niemym zdziwieniu, jak wilczy brat chwyta nimi gałęzie jałowca i podciąga się w górę zbocza.

Nagle Wysoki Bezogon zniknął.

Skóra Wilka napięła się z niepokoju.

Wtedy zobaczył, że brat ze stada znalazł Jamę. Była ukryta za krzakami jałowca, pachniała leśną kuną i sokołem. Wilk szczechnął niechętnie.

–Nie tutaj!

Podczas Wielkiego Zimna złe bezogony uwięziły go w takiej Jamie, jak ta. Wysoki Bezogon stał na czworakach, dysząc ciężko. Jeśli miałby ogon, na pewno by go opuścił. Szkoda, że musi tyle razy się zatrzymywać i odpoczywać!

Wtedy Wilk przypomniał sobie, że kiedy był małym wilczkiem, sam musiał dużo odpoczywać, a Wysoki Bezogon nosił go w swoich przednich łapach.

Wilk poczuł się nieswojo, zrobiło mu się głupio i zaczął się ocierać o swojego wilczego brata i lizać mu ucho. Wysoki Bezogon trząsał się cały, Wilk wyczuł ból i gniew przemieszany z samotnością i strachem.

Dlaczego to wszystko się dzieje? Wilk nie rozumiał. Wiele wilczych skoków, stąd

psy były wściekle, bo nie mogły znaleźć tropu.

–Gdzie? Gdzie? – poszcze kiwały. Wiatr niósł zapach ich wściekłości, niósł zapach młodego bezogona ze stada, które

śmierdziało dzikiem. Ale dlaczego polowali na Wysokiego Bezogona? Dlaczego opuścił stado Kruków? Bywa i tak, że młody wilczek zostawia stado i zaczyna żyć na własną rękę, ale tu coś było nie tak. Było w tym coś niedobrego.

Wcześniej przywódca stada Kruków mówił coś ostro w języku bezogonów. Wyjął swój wielki szpon i zdarł wilcze futro z zewnętrznego futra Wysokiego Bezogona – wilcze futro, które należało do Wysokiego Bezogona od dnia, kiedy Wilk go spotkał. Przywódca zrobił tę straszną rzecz, ale gdzieś pod skórą Wilk czuł, że nęka go smutek.

Wilcza siostra zadziwiła Wilka jeszcze bardziej. Nie próbowała powstrzymać przywódcy stada, nie poszła z Wysokim Bezogonem.

Co to wszystko ma znaczyć?

Gdzieś w dolinie psy rzucały się na wszystkie strony, żeby złapać trop. Brat ze stada jeszcze ich nie słyszał, ale Wilk zjeżył sierść na karku.

–O co chodzi? – spytał Wysoki Bezogon oczami. Wilk spojrzał na ukochaną twarz bez sierści. Wysoki Bezogon dalej już nie pobiegnie. Wilk musiał się upewnić, że psy go nie znajdą.

Cicho pojękując i poszczekując, pyskiem dotykał brata ze stada pod brodą.

–Nie gniewaj się, muszę biec. Nie idź za mną. I już po chwili był poza Jamą, pędził w dół stoku. Przeskoczył nad kilkoma kamieniami, biegł przez Szybką Wilgoć, rozchlapując wodę,

rozpryskując ją wielkimi łapami. Wszedł na brzeg, otrzepał się do sucha i znów ruszył. Dobrze było biec swobodnie bez czekania na Wysokiego Bezogona, a psów się nie bał. W porównaniu z Wilkiem psy były jak szczenięta.

Biegając, zauważył w Lesie rzeczy, które go zaniepokoiły. Żmiję płynącą w górę Wilgoci z uniesioną głową. Pióro sowy w gałęziach zagajnika. Dąb szepczący jakieś sekrety swojemu olbrzymiemu starożytnemu stadu. Przypominało mu to złe bezogony, które trzymały go związanego w maleńkiej kamiennej Jamie.

–Gdzie? Gdzie? – poszcze kiwały psy. Wilk zapomniał o złych bezogonach i zwolnił do truchtu.

Dotarł na sam dół doliny i uderzyła go mieszanina zapachów na ścieżkach. Przez drzewa zobaczył młodego samca ze stada Dzików ściskającego w przedniej łapie wielki pazur. Śmierdział głodem krwi. W drugiej łapie trzymał kawałek srebrnej skóry, która pachniała lybim psem i Wysokim Bezogonem. Wilk poznał, co to jest – strzępek starej zewnętrznej sierści Wysokiego Bezogona.

Jeden z psów powąchał srebrną skórę, żeby przypomnieć sobie ten zapach.

Wilk zrozumiał. Skóra pomagała psom odnaleźć jego brata ze stada. Musi ją odebrać. Wtedy jego będą ścigać, a on poprowadzi psy daleko od Wysokiego Bezogona.

Wilk zacisnął pazury z podniecenia. Czuł moc w ramionach i nogach, cieszyło go to, że potrafi biec szybciej niż najszybszy pies.

Ostrożnie stawiając łapy, posuwał się naprzód.

Zapach ziemi i zgnilizny zatykał Torakowi nozdrza. Mała, ciasna jama przypominała mu cmentarzysko klanu Kruków. Nie myśl o tym. Myśl, jak pozostać przy życiu.

Poszczekiwanie psów ustało. Cokolwiek zrobił Wilk, chyba zadziałało, ale Torak bardzo chciał, żeby jego przyjaciel już wrócił. Powiedział sobie, że Wilk znajdzie go, kiedy będzie gotowy.

Zmuszając zeszywniałe mięśnie do ruchu, wyczołgał się z jamy i zaczął się pięć w górę zbocza. Skały i kamienie były śliskie od deszczu. Szedł bosy i nogi mu zdrętwiały.

Jego plan polegał na tym, żeby zostawić fałszywy trop na północ od obozowiska Kruków, następnie zrobić pętlę, wrócić i ruszyć ku dolinom na południu, gdzie kiedyś mieszkał z ojcem. Aki zmusił go jednak do obejścia wielkim łukiem miejsca, przez które chciał przejść, i powrotu do Zielonej Rzeki. Był teraz gdzieś na Złamanej Grani, niedaleko miejsca, w którym znalazł poroże jelenia.

Bolały go boki, na czole pulsował świeżo wykluty tatuaż. Znalazł jakąś wierzbę, wymamrotał pospieszne przeprosiny i oderwał kawałek miękkiej kory. Przeżuł ją i posmarował ranę palącą mazią; następnie odciął z kurtki pasek skóry i obwiązał sobie nią głowę. Lekarstwo się nie ześliznie, dzięki temu ukryje również tatuaż wyrzutka.

Wzdrygnął się na wspomnienie, że to samo lekarstwo zastosował tego wieczoru, kiedy zabito jego ojca. Przez chwilę wydawało mu się, że wszystko, co się od tamtego czasu wydarzyło – znalezienie Wilka, spotkanie z Renn i Fin-Kedinnem – to wszystko było nierealne. Znow był sam i znow przed czymś uciekał.

Zobaczył, że otoczenie się zmienia, zbliżał się teraz do gęstego lasu, w którym rosły dęby, niskie buki i sosny. W oddali ujrzał światło odbite od Rękojeści Topora. Po tej rzece pływało dużo łodzi, zwłaszcza w sezonie wędrówek łososia. Musi się trzymać z dala od jej brzegów.

W ukryciu zaczął schodzić w dół przez zarośla z wierzbówki i sięgające do pasa łopiany. Kręciło mu się w głowie z głodu, nie miał nic do jedzenia, nie miał toporka, tylko trzy strzały. Jakoś będzie musiał znaleźć pożywienie, zanim tak bardzo osłabnie, że nie będzie mógł dalej biec. Jakoś będzie musiał odnaleźć ukrytą dolinę, gdzie przeżyje na własną rękę. Jakoś będzie musiał się pozbyć tatuażu Pożeracza Dusz i zmusić klany, żeby go przyjęły...

Zadanie go przerastało. Nigdy nie uda mu się tego osiągnąć.

Wtedy przypomniał sobie coś, co Fin-Kedinn powiedział poprzedniego miesiąca, kiedy zbierali korę na sieci. Zimno kąsało tak jak dzisiaj, Torak patrzył na oślizgłe okrawki wierzby usypane w stos u jego stóp, zastanawiając się, jak w ogóle uda mu się z tego zrobić sieć.

–Nie myśl o sieci – poradził mu Fin-Kedinn. – Weź cienką gałązkę wierzbową i odrzyj ją z kory. Potrafisz to zrobić, prawda?

–Oczywiście. – Nauczył się odzierać kije z kory, zanim urósł na tyle, by utrzymać nóż.

–No, to do dzieła – powiedział przywódca Kruków. – Krok po kroku. Jedna gałązka naraz. Nie myśl o sieci.

Teraz, kiedy Torak czuł, jak deszcz przesiąka przez jego skórzaną kurtkę, skinał głową. Krok za krokiem. Pożywienie. Szalas. Tak. Resztę zostawi do jutra.

Odnalazł ukryty między zaroślami trop łosia biegnący na wschód wzdłuż zbocza doliny. Przestało padać. Wyszło słońce. Wędrując, zdał sobie sprawę, że chociaż utracił klan Kruków, Las był wciąż jego przyjacielem.

–Lesie – szepnął – zawsze cię szanowałem. Pomóż mi przeżyć.

Las strząsnął krople z gałęzi i kazał mu się rozejrzeć wokół siebie. Tuż przy ścieżce zobaczył solidną brzozę, której liście były wciąż w zalążkach. Brzoza da mu się napić, stanie się silniejszy. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał?

Prosząc drzewo o pozwolenie, wyciął nożem płytki otwór w korze u podstawy pnia. W otworze pojawiła się krew drzewa. Torak wcisnął pustą łodygę czarnego bzu w ranę, żeby skierować krople w jedno miejsce i używając do tego wiciokrzewu, przywiązał zwiniętą w róg korę brzozy, żeby je zebrać.

Kiedy róg się napelniał, znalazł twardy kij i nakopał niedźwiedziego czosnku. Zatknał główkę czosnku na rozdwojonej gałęzi brzozy dla opiekuna klanu, a resztę zjadł. Oczy zaszły mu łzami, ale czosnek trochę go rozgrzał.

Później znalazł korzenie żywokostu – bardzo gorzkie i lepkie, a w błotnistej rozpadlinie odkrył coś wspaniałego – krzew nakrapianej orchidei. Korzenie były tak mączne,

że Torak miał wrażenie, jakby jadł klej, ale to najbardziej pożywne jedzenie w Lesie, jeżeli nie ma mięsa.

Róg z kory był prawie pełen. Torak podziękował duchowi drzewa i przycisnął korę do rany, żeby zarosła. Wypił zawartość rogu. Krew brzozy miała chłodny i oszałamiająco słodki smak. Siła Lasu stała się jego siłą. Pożywienie podniosło go trochę na duchu.

Potrafię dokonać tego, czego chcę, powiedział sobie. Potrafię zrobić strzały z derenia i utwardzić ich ostrza w ogniu. Potrafię zastawiać pułapki z wierzbówki i łapać ryby na haczyki z kolców ostu. Las mi pomoże.

Było już późne popołudnie, kiedy schodził w dolinę, brodząc przez stosy jesiennych liści. Czuł, że traci animusz. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Zbudowanie szalasu bez toporka byłoby trudne, ale raz jeszcze pomógł mu Las. Znalazł opartą o potężny głąz brzozę, powaloną podczas burzy. Stanowiła doskonały szkielet. Musiał teraz tylko nanieść gałęzi i oprzeć je o brzozę ze wszystkich stron, a od góry przykryć konstrukcję przegniłymi liśćmi. Szalas był dobrze umiejscowiony – na skraju wierzbowego zagajnika, gdzie mógłby się ukryć, jeżeli będzie musiał.

Robiło się coraz bardziej rześko, ale nie mógł ryzykować rozniecania ognia, więc by się ogrzać, napchał trawy w kurtkę, buty i nogawice. Drapała, łaskotała go, uciekały z niej w panice chrząszcze i pająki, ale dzięki niej nie zamarznie.

Jak borsuk nagarnął liści do szalasu i zakopał się pod nimi, wdychając zapach mokrego drzewa. Pomodlił się, dziękując Lasowi i zamknął oczy. Był wyczerpany.

Ale nie mógł zasnąć.

Myśli, których unikał całą noc i cały dzień, nagle zalały go falą. Jak rzep przyczepiony do wilczego futra, nie chciały zniknąć.

Wyrzutek. Bez klanu.

Jakże mógł być bez klanu?

Pomyślał o główce czosnku, którą zostawił na drzewie jako ofiarę dla opiekuna klanu. Ale jeżeli nie miał klanu, nie miał opiekuna. Żadnego opiekuna. Nie mógł złapać oddechu. Jak ktokolwiek może przeżyć bez opiekuna?

Palcami dotknął blizny, która przecinała jego „tatuaz klanowy”. Nie pamiętał, skąd ją ma, bliznami człowiek się nie przejmował, bo każdy je miał. Miał bliznę na przedramieniu po tej nocy, kiedy zaatakował go niedźwiedź, jeszcze jedną na łydce od szabli dzika. Renn miała bliznę na dłoni od zębów sługi demona i na stopie, po tym jak nastąpiła na odprysk krzemienia. Miała wtedy trzy wiosny. Fin-Kedinn miał mnóstwo blizn po wypadkach na

polowaniu i bójkach w czasach, kiedy był młody, a także olbrzymią przerośniętą bliznę na udzie od pazurów niedźwiedzia.

Niechętny światu Torak zakopywał się coraz głębiej w liście. Nie myśl o Krukach. Myśl o ojcu, zastanów się, dlaczego ci nigdy o tym nie powiedział. Pomyśl o matce, o tym, dlaczego oznajmiła światu, że jesteś bez klanu.

Nagły powiew wiatru zakołysał wierzby i drzewa jęknęły. Gdzieś w oddali Torak usłyszał głucho porykiwanie porzuconego łosia. Na początku lata Las dźwięczał ich przejmującym łkaniem. Matki, które nie były w stanie opiekować się młodym z zeszłego lata i nowo narodzonym cielęciem, nagle i gwałtownie odrzucały starsze dzieci, odpychały je od siebie brutalnymi kopnięciami. Może przez miesiąc albo i dłużej młody łos będzie błąkał się po lesie, szukając schronienia i pocieszenia u każdego dużego stworzenia, które napotka, aż zginie z ręki łowcy lub nauczy się sam sobie radzić.

–Chcę do mamy – ryczał łos. Torak mocno zacisnął powieki.

Tak mało wiedział o swojej matce, myśl o niej nigdy go jednak nie opuszczała – była jak załążek ciepła, które ogrzewało go w najcięższych i najciemniejszych czasach. Kochał ją bez głębszego namysłu. Wierzył, że i ona go kochała. Ale oznajmić światu, że jest bez klanu...

Czuł się tak, jakby go opuściła.

Do kogo mam teraz pójść? – myślał. Gdzie teraz należę?

Z kolejnym powiewem wiatru odpowiedziały mu wierzby:

–Tutaj należysz. Jesteś częścią Lasu. Słuchał ich szeptu i po chwili zasnął.

Obudził się przerażony. Głosy! Gdzieś ponad nim, na zboczu. Leżał w szalasię zeszywniały, czuł, jak wali mu serce.

Potem przyszło mu do głowy, że polujący nie będą rozmawiać.

Wyczołgał się tak cicho, jak potrafił, sięgnął po łuk i strzały, zburzył szalasię i omiółł ziemię wokół niego pokruszonymi liśćmi czosnku, żeby zamaskować swój zapach. Wczołgał się między wierzby. Cienie robiły się coraz dłuższe, ale pierwsze gwiazdy jeszcze nie wzeszły. Długo nie pospał.

Głosy były coraz bliżej, zatrzymały się mniej więcej pięćdziesiąt kroków nad nim.

Przez liście dojrzał grupę polujących z klanu Żmii na ścieżce łosia, którą wcześniej szedł. Nie mieli psów. To już coś. On zaś stał swoje ślady ze ścieżki. Prawda?

Byli tam nie tylko ludzie z klanu Żmii. Miał wrażenie, że umówili się na ścieżce z grupą Kruków. Zobaczył Thulla, Sialot, Fin-Kedinna i Renn. Zrobiło mu się niedobrze, kiedy tak podglądał ich z boku jak obcy, nie mogąc do nich podejść.

Patrzył, jak młodszy mężczyźni z klanu Żmii czekają z szacunkiem, aż Fin-Kedinn przemówi, później prężyli się z dumy, kiedy podziwiał zabitego przez nich jelenia. Zobaczył, jak dwoje dzieci z klanu Żmii wstydliwie popatruje na Renn, która udawała, że tego nie zauważa, polerując łuk zgniecionymi w dłoni orzechami laskowymi.

W końcu dotarły do niego ich głosy. Rozmawiali o Akim.

–Przez te jego przekłete psy niemal nic byśmy nie upolowali – skarżył się mężczyzna z klanu Żmii. – Jeżeli tak dalej pójdzie...

–Nie martw się – uspokoił go Fin-Kedinn. – Aki nie złapie Toraka.

–Cóż – odparł człowiek z klanu Żmii. – Te psy straszą zwierzynę łowną. Im prędzej wyrzutek znajdzie się poza naszymi terenami łowieckimi, tym lepiej.

–Na pewno już go tu dawno nie ma – powiedział Fin-Kedinn, a jego głos niósł się w nieruchomym powietrzu późnego dnia. – Nie byłby takim głupcem, żeby się kręcić po okolicy, a z pewnością nie wtedy, kiedy wiadomo, że niedługo zbiera się rada klanów.

Rada klanów. Torak zapomniał o wielkim spotkaniu klanów, które odbywało się co trzy wiosny. Tej wiosny zbiorą się u ujścia Białej Wody, nawet nie dwa dni marszu od miejsca, gdzie się ukrył.

Myśliwi pożegnali się i odeszli każdy w swoją stronę, ludzie z klanu Żmii ruszyli na południe do obozowiska nad Szeroką Rzeką. Kruki ruszyły na wschód.

Nie odchodź – Torak błagał Fin-Kedinna w milczeniu. Czuł w sobie pustkę, patrząc, jak postać o szerokich, mocnych ramionach znika między drzewami razem z Renn. Patrzył i patrzył, aż oczy go rozbolewały.

Długo potem, jak poszli, został między wierzbami, noc wokół niego gęstniała.

Usłyszał trzask łamanej gałązki.

Zamarł w miejscu.

Znów gałązka. Głośna. Celowo.

–To ja – szepnęła Renn. – Gdzie jesteś?

Torak zacisnął powieki. Nie mógł odpowiedzieć. Naraziłby ją na niebezpieczeństwo.

–Torak! – Teraz w jej głosie brzmiał nie tylko gniew, ale i lęk. – Wiem, że tam jesteś. Zostawiłeś na szlaku kawałek przeżutego łyka. Podniosłam go, zanim ktoś to zobaczył!

Nie mógł znieść tego, że nie może się odezwać.

–No, dobrze – szeptała – może teraz zmienisz zdanie! – Znów jakieś szelesty. – Przyniosłam to, czego ci trzeba, żeby się pozbyć tatuażu Pożeracza Dusz. Przyszedłam tu, żeby ci o tym opowiedzieć. – Znów przerwa. – Jeżeli nie wyjdiesz natychmiast, niczego ci nie pokażę!

Co ty sobie wyobrażasz? – szepnął Torak, wciągając Renn w zagajnik. – Co by

było, gdyby ktoś cię zobaczył?-Nikt mnie nie zobaczy – odparła, a w jej głosie było więcej przechwałki niż pewności. – Przyniosłam ci jedzenie, śpiwór, ale nie udało mi się ukraść toporka, będziesz więc musiał...

–Nie, Renn. Nie wolno ci się w to mieszać!

–Już w tym tkwię. Poczęstuj się ciastkiem łososiowym. – Kiedy się nie ruszył, dodała: – Cóż, jeżeli go nie chcesz, będę musiała je zostawić. Może ktoś znajdzie i sobie zje!

To podziałało, wyrwał jej jedzenie, pochłaniając kawałek ciasta łososiowego w dzikim skupieniu. Przykucnęła tuż przy nim, ponura, zastanawiając się, kiedy ostatnio jadł.

–Mam jeszcze mnóstwo tego ciasta – powiedziała.

–Poza tym krwawą kiszkę, suszony ozór tura i torbę orzechów laskowych.

Wystarczy ci na pół księżycy, jeżeli będziesz oszczędzał.

Wiedziała, że za dużo mówi. Ale Torak wyglądał jakoś inaczej. Opaska na czole go postarzała, twarz miał napiętą. Rozglądał się wokół siebie, jakby w każdej chwili jakiś łowca mógł wyskoczyć z półcienia. Tak, to właśnie znaczy być zwierzyną łowną.

Spytała głośno, gdzie jest Wilk, a Torak odpowiedział, że pobiegł odciągnąć Akiego od tropu. Później spytał ją, jak się urwała Fin-Kedinnowi. Powiedziała wujowi, że musi

„sprawdzić wnyki”, następnie wzięła wcześniej ukryte pożywienie i leśnego gołębia, którego przyniesie do obozu na dowód, że coś się złapało. Nie wspomniała o tym, jak ją dusiło w piersiach, kiedy okłamywała Fin-Kedinna, ani jak ją bolały oczy, kiedy zdała sobie sprawę, że wódz wie, co Renn robi.

–Domyślił się, że tu byłem, prawda? – spytał Torak.

–Wtedy, kiedy powiedział o zebraniu klanów. Ostrzegał mnie.

–Chyba tak. Może. Podała mu jeszcze kawałek ciasta łososiowego, zjadła kilka orzechów laskowych,

żeby dotrzymać mu towarzystwa. Później powiedziała:

–Próbowałam zrozumieć, jak mogło do tego wszystkiego dojść. To poroże, z którego ktoś starł znak Akiego – ktoś to zrobił umyślnie. Ktoś chciał, żeby cię wyrzucano poza klan. Spojrzał na nią.

–Pożeracze Dusz. Skinęła głową.

–Teraz pewnie są już na południu. Wiedzą, że jesteś wędrującym duchem. Chcą ukraść ci tę moc.

–Chcą też zdobyć ostatnią cząstkę opalu ognia.

–Prawdę mówiąc, nie wiem, co to jest. W głębinach ciemnego granatu nocy nawoływały się sowy szybujące bezgłośnie

między drzewami, nietoperze trzepotały skrzydłami nad zagajnikiem, krążyły wkoło jak jaskółki.

Torak otarł usta wierzchem dłoni.

–Renn, nie gniewaj się – powiedział.

–Za co miałabym się gniewać?

–Za wszystko. Za to, że nie powiedziałem ci o znaku. Teraz żałuję. Po prostu...

Jakoś nigdy się nie złożyło.

Poczuła ściskanie w gardle.

–Wiem, jak to jest. O pewnych sprawach niełatwo mówić. To znaczy, o sekretach, tajemnicach.

–Ale wiesz, naprawdę mi przykro. Skończyli jeść. Torak założył sobie na plecy pakunek ze śpiworem, a na ramię łuk i

kołczan. Renn przepakowała zawiniątko z żywnością i zostawiła kawałek ciasta łososiowego na wierzbie dla opiekuna klanu. W momencie, kiedy to robiła, już żałowała, że nie poczekała – nie chciała, by Torak zauważył. Mruknął, że to nic, ale widziała, jak go to zabolalo.

–Dziwne – powiedział. – Robię to całe życie. A nie mam opiekuna.

–Ofiara to ofiara. Dla Lasu.

–Chyba masz rację. – Zamilkł na chwilę. – Ale jak to możliwe, Renn? Jak to możliwe, że nie mam klanu?

–Nie wiem.

–Mam duszę klanu. Wiem, co złe, a co dobre. Wyjaśnij mi więc, jak to jest?

Pokręciła głową.

–Saeunn powiada, że nikt przed tobą nie był jeszcze bez klanu. Torak był przerażony i zdziwiony, a ona wściekła na siebie. Tak, bardzo mądrze, Renn, dzięki temu naprawdę poczuł się lepiej.

–Tak czy inaczej – dodała pospiesznie – ja chyba nie chciałabym należeć do klanu Wilka. Te żółte oczy...

–Wzruszyła ramionami. – Pytałam ich Czarownicę, jak to robią, powiedziała, że coś wlewają do wody. Jak się pomylą, oczy im się robią różowe. – Przygryzła wargę.

–To oczywiście wymyśliłam. Taki żart. Torak zmusił się do uśmiechu. Renn poczuła, jak strasznie jest jej go żal.

–Jeśli nie jestem z klanu Wilka, to kim jestem? Odetchnęła głęboko.

–Jesteś bratem Wilka. Jesteś moim przyjacielem. A to nigdy się nie zmieni. Torak zamrugał. Otarł dłonią twarz i założył na ramię zawiniątko z jedzeniem, a po chwili zakaszał.

–Fin-Kedinn będzie się zastanawiał, gdzie jesteś. Mówiłaś, że wiesz, jak wygląda ten rytuał?

–Tak – odparła Renn, ale wyczuł w jej tonie coś...

–Jesteś pewna?

–Tak – powtórzyła. Właściwie musiała całą swoją wiedzę złożyć ze skrawków wyrwanych Saeunn, nie

była więc zupełnie pewna. Ale to Torakowi nie pomoże.

Opis rytuału nie był długi, ale kiedy Renn doszła do części, w której wycina się skórę, oboje poczuli, że robi im się niedobrze.

–Masz – powiedziała drżącym głosem, odwiązując od pasa swój woreczek z lekami zrobiony ze stopy łabędzia. – Tu jest prawie wszystko, czego ci trzeba.

Torak wziął od niej woreczek i gapił się w niego.

–Musisz poczekać, aż księżyc będzie w pełni – mówiła dalej. – Do tego czasu

musisz znaleźć sobie jakieś bezpieczne schronienie.

–Bezpieczne?

–No wiesz, bezpieczniejsze. Lepiej od razu się umówmy, gdzie się spotkamy.

–Co masz na myśli?

–Przy pełni księżyca. Żeby dokonać rytuału.

–Nie. Na pewno nie. – Była rozczarowana, bo dostrzegła wyraźny upór na jego twarzy. Przypomniła jej się wyraz pyska Wilka, który nie chciał wchodzić do kajaka obciążonego skórą.

–Torak, sam sobie nie dasz rady. Renn próbowała go przekonać.

–Powiedziałam ci to, co musisz wiedzieć, żebyś się przygotował, ale ja przyjdę ci pomóc.

–Nie.

–Tak.

–Ale ty nienawidzisz magii.

–To nic! Przynajmniej wiem, jak to zrobić! Torak wstał.

–Posłuchaj, Renn. Teraz nie jest już jak dawniej, kiedy uciekałaś, a Fin-Kedinn trochę się na ciebie gniewał, a potem ci wybaczał. To może cię zabić.

–Wiem, co ryzykuję. Ale...

–Nie. To, że dzisiaj przyszedłeś, było niewiarygodnie odważne, ale nie możesz, nie wolno ci, już więcej tego robić!

Renn wstała.

–To, co robię albo czego nie robię, to moja sprawa, nie ty o tym będziesz decydował. – Odwróciła się, żeby wyplątać łuk z gałęzi. – Gdybyś zapomniał, to, jak mówisz, „dawniej”, to przecież... Torak? Torak!

Ale już go nie było, wtopił się w noc bezgłośnie jak duch.

Księżyc w pełni wisiał na granatowym nieboskłonie, ale Torak wciąż nie był gotowy. Odwlekał zbieranie gałązek jarzębiny tak długo, jak mógł, bo wstrząsało go na myśl, że wkrótce nadejdzie chwila, kiedy będzie musiał rozpocząć rytuał. Przez pół księżyca nie wychylał nosa na świat, żył, jedząc to, co dostarczyła mu Renn, od czasu do czasu łapał zające, wiewiórki i ptaki. Dzień był podobny do dnia – poszukiwanie jedzenia, ukrywanie się w zagajnikach, gadanie pod nosem tylko po to, żeby usłyszeć ludzki głos.

Aki i jego psy więcej się nie pojawili. Klany poświęcały wszystkie siły na łowienie resztek przepływających łososi, a przywódca klanu Dzika zaprzągnął syna do pracy od rana do nocy.

–Znajdź miejsce, w którym czujesz moc – powiedziała Renn, kiedy siedzieli razem ukryci w zagajniku. – Tam to zrób.

Torak znalazł miejsce, ale chyba nie takie, o jakim myślała Renn. Stał na południowym zboczu stromej doliny, którą klany nazywają Doliną Dwóch Rzek, bo tam Rzeka Rękojeści Topora i Zielona Rzeka łączą się w pełnej grzmotów bitwie, tworząc Białą Wodę. Odludne miejsce, nieustannie zamglone kropelkami wody, gdzie brzozy i jarzębiny kurczowo czepiają się życia w szczelinach między ogromnymi, narzuconymi jeden na drugi głazami.

Bardzo niebezpiecznie blisko ludzi. Stąd Biała Woda z grzotem i hukiem spadała do Morza, gdzie zaledwie pół dnia marszu na zachód odbywało się zebranie klanów. Torak był zdecydowanie za blisko, ale tak zaplanował. Nikt go nie będzie tu szukał. Wodospad zagłuszy zaś jego krzyki, jeżeli ból będzie nie do zniesienia.

Odsunął od siebie tę myśl, wyciął jeszcze jedną gałązkę jarzębiny i po raz setny pożałował, że nie ma toporka.

Tuż za nim trzasnęła gałązka.

Odwrócił się raptownie na pięcie.

Spośród drzew wyłonił się jakiś cień.

Torak zatoczył się do tyłu.

Cień ruszył niezdarnie w jego kierunku – łoś i chłopiec odskoczyli, jednocześnie wydając jęk zdziwienia i przerażenia.

–To znowu ty! – krzyknął Torak. – Idź sobie! Mówiłem ci, że nie jestem twoją matką! Łoś opuścił głowę i ocierał się o niego pyskiem, a Torak czuł gorące, pulsujące

miejsca na jego czaszce, skąd wyrosną rogi. Łoś był olbrzymi, ale poruszał się z dziwną

pokorą, jak gdyby się usprawiedliwiał, że jest taki duży. Torak zobaczył ranę na jego boku, gdzie kopnęła go matka, i poczuł przyływ współczucia.

Łoś nie rozumiał, dlaczego matka go odrzuciła. Nie wiedział nawet tyle, że trzeba się bać Wilka, który zostawił go w spokoju tylko dlatego, że miał dobre polowanie. Dwa razy wpadł na Toraka, a Torak go odgonił. Nie zabił go, bo całe dni trwałoby, zanimby wykorzystał jego mięso i szkielet. Nie pozwalał mu iść za sobą, bo łoś musiał nauczyć się lęku przed łowcami. Teraz zwierzę uznało, że są kumplami.

–Sio! – rzucił Torak, machając rękami. Brązowe oczy łośia wpatrywały się w niego ze zdziwieniem.

–Wynoś się! – Torak przywalił mu w nos. Łoś odwrócił się, ruszył między drzewa i chłopak znowu był sam. Wracał strach. Teraz już nic nie stało między nim a rytuałem. Myśl o tym, że ma sobie wyciąć tatuaż, przyprawiała go o mdłości. Strasznie się bał.

Ale myśl o tym, czym może się stać, jeżeli tego nie zrobi, była jeszcze gorsza. W ciągu ostatnich kilku dni znak na piersiach zaczął go palić. Czuł, że wdiera się w jego ciało.

Miejsce, które wybrał, znajdowało się dwadzieścia kroków nad rzeką – olbrzymi, pochylony głaz otoczony strażą jarzębin. Na kamiennej powierzchni głazu blado pełgała poświata księżyca. Torak żałował, że nie jest ciemniej, panował właściwie półmrok, ale latem słońce nigdy długo nie spało.

Zostawił śpiwór, kołczan i łuk u podnóża skały i wspiął się na jej szczyt. Mech trzeszczał pod butami Toraka, uwalniając zapach zgnilizny. Czuł pod palcami chłód granitu. Kiedy dotarł na szczyt, uderzył go ryk wodospadów pochłaniający odgłosy Lasu. Gdzieś na zachodzie pełgające światelka ognisk w obozowiskach szczyły z jego samotności.

Wilk wrócił z polowania, pysk miał czarny od krwi. Bez wysiłku stanął na tylnych

łapach, przednie oparł o skałę, gotów wskoczyć i znaleźć się u boku Toraka.

–Nie – powiedział Torak w wilczej mowie. – Zostań tam, gdzie jesteś. Wilk siadł i patrzył na niego zdziwiony. Torak zmusił się do tego, by nie zwracać na niego uwagi. Wilk nie zrozumie tego, co

on ma zrobić, nie ma sposobu na to, żeby mu to wytłumaczyć. Po raz pierwszy w życiu wejdzie w świat Magii. Będzie się zmagał z siłami, których używają Czarownicy, żeby zobaczyć przyszłość, leczyć chorych i znajdować zwierzynę łowną – z siłami, których nie rozumiał i nad którymi nie potrafił panować.

–To sposób, jak wejść jeszcze głębiej – tłumaczyła mu Renn coś, co dla niej było tak naturalne, jak dla niego tropienie zwierzyny. – Sposób na dotknięcie samego Nanuak. Ale

musisz być ostrożny. To jest jak zanurzenie nogi w rwącej rzece. Jeżeli wejdiesz za głęboko, nurt cię porwie. Nanuak.

Torak czuł to gdzieś w głębi siebie – żywą, surową moc, która pulsuje we wszystkim, co żyje – w rzece, skale, drzewie, myśliwym, zwierzynie – która łączy ich z samym Duchem Świata.

Otarł twarz z kropelek wody i odwiązał z szyi rzemień, na którym miał zawieszony skórzany woreczek ze stopy łabędzia. Pazuiy były ostre, surowa skóra łuskowata. Otworzył woreczek i wyjął to, co dała mu Renn.

–Jest pięć rodzajów Magii – wyjaśniała mu. – Wysyłanie. Wzywianie. Oczyszczanie. Łączenie. Rozdzielanie. W tym rytuale użyjesz magii oczyszczającej i... rozdzielającej. – Przełknęła ślinę. – Będziesz potrzebował czegoś ze wszystkich czterech ćwiartek klanów: czegoś z Lasu, Lodu, Gór i Morza. Z Lasu będziesz miał róg z lekami twojej matki. Wyjmij z niego czerwoną glinę i zmieszaj z tłuszczem jakiegokolwiek zwierzęcia, ale nie zwierzęcia wodnego, a później narysuj linię wokół tatuażu. Ta linia wskaże ci, gdzie... gdzie ciąć. – Wzięła głęboki oddech. – Jeżeli chodzi o Lód, wystarczy woreczek ze stopy łabędzia. Należał do Czarownicy klanu Białych Lisów, jest więc pełen dobrych mocy.

–A Góry? – spytał Torak, czując, jak przenika go chłód. Wyjęła ze swojego woreczka bransoletkę z wysuszonych jagód jarzębiny nanizanych na nitkę z wierzbowej kory.

–Spotkałam ludzi z klanu Jarzębiny, wybierali się wcześniej na zebranie klanowe, żeby znaleźć dobre miejsce na obozowisko. Wymieniłam to za strzałę.

–Nie zauważają, że tego nie nosisz?

–Pomyślałam o tym i przecięłam ją na dwie części. Uniosła dłoń i pokazała mu identyczną bransoletkę.

Następnie tę drugą obwiązała wokół nadgarstka Toraka. Niechętnie, ale domyślił się, że podobnie jak on, czuła się lepiej, dzieląc się z nim tajemnicą.

–Gdy nadejdzie czas, musisz sobie przygotować specjalny napój oczyszczający - powiedziała. – Weź korzeń stulisza utarty z korą olchy, czyścicem i liśćmi czarnego bzu. Zalej to silną wodą. Najlepiej z Rzeki Rękojeści Topora, to ważne, bo rzeka bierze swoją moc z Rzeki Lodu wysoko w Górach. Niech postoi w świetle księżyca tak długo, jak się da.

Wcześniej tuż przed zmrokiem przygotował sobie napój, zmieszał w kubku z surowej skóry wiewiórki, i zostawił go na skale, żeby mógł złapać pierwsze promienie księżyca, podczas gdy on zbierał gałęzie jarzębiny.

–Nie sądzę, żeby było w tym coś, co wyśle twoje dusze na wędrówkę – powiedziała Renn. – Lepiej jednak oznacz twarz konturem dłoni i przesun nad sobą liście jarzębiny. Oczywiście będę z tobą na wypadek... gdyby coś poszło nie tak.

–Co będę miał z Morza?

–Nóż twojego ojca. To łupek morski. Torak, naostrz go naprawdę porządnie. Mniej będzie bolało.

W przerażeniu patrzył, jak Renn wyciąga zrobiony z niewielkiego rogu pojemnik na igły, zwiniętą szpulę nici ze zwierzęcych ścięgien i zrobiony z kości delikatny haczyk na ryby.

–Na co haczyk? – zapytał. Renn unikała jego spojrzenia.

–Nie możesz ciąć zbyt głęboko, w przeciwnym razie wetniesz się w mięśnie. Torak przyłożył dłoń do klatki piersiowej.

–Pokażę ci. – Nożem wydarła krzyż na kolanie swojej nogawicy. – To jest tatuaż. Ty musisz... wyciąć dookoła niego coś w rodzaju... liścia wierzbowego. Następnie musisz... musisz zahaczyć skórę w środku i pociągnąć. – Krople potu wystąpiły jej na czoło, kiedy nabijała haczyk na znak krzyżyka i robiła mały namiot z byczej skóry. – Dzięki temu będziesz mógł... podciąć pod skórą i unieść tatuaż. Później ściśnij brzegi rany, ściągnij je do siebie i... zaszyj mocno.

Oboje drżeli, kiedy skończyła wyjaśniać.

Krople wody z Dwóch Rzek były jak igiełki lodu na twarzy Toraka, kiedy klęczał i pił gorzki napój ziołowy. Dokonał rytuału oczyszczenia gałązkami jarzębiny, narysował na twarzy znak dłoni. Przygotował igły i haczyk. Czuł, że zaraz wymiotuje.

Gdzieś pod nim Wilk skoczył na równe nogi – pysk miał uniesiony, ogon w górze. Złapał jakiś trop.

–Co to jest? – spytał Torak w wilczej mowie.

–Inność.

–Jaka inność?

–Inność. Wilk zrobił truchtem kilka ósemek, a następnie spojrzał na Toraka, oczy błyszcząły

mu obcym srebrem w świetle księżyca. Nieważne, co Wilk ma na myśli, Torak nie może pozwolić, żeby to go rozproszyło. Jeżeli teraz nie zacznie, nigdy nie zdobędzie się na odwagę. Zdjął kurtkę przez głowę. Tryskająca woda ochłodziła mu skórę. Zęby zaszczekały. Trzęsącą się dłonią namalował linię z czerwonej glinki wokół trójzębu Pożeraczy Dusz.

Wyciągnął nóż. Nóż taty. Morski łupek był lodowaty w dotyku, rękojeść ciężka i ciepła.

Wilk zawył niskim głosem.

Torak ostrzegł go, żeby został tam, gdzie jest. Szykował się do pierwszego nacięcia.

Był prawie świt, a on leżał w cieniu skały, drżąc i trzęsąc się w śpiworze. Bolał go każdy oddech. Bolało go samo to, że jest. Nie istniało nic oprócz płonącego bólu w klatce piersiowej.

Załkał. Zaciśnął zęby. Tata też to zrobił, mówił sobie. Tata wyciął znak, sam przez to przeszedł. Więc ty też potrafisz.

Odgłos Dwóch Rzek huczał mu w głowie, był tak głośny, jak pulsowanie w piersiach Toraka.

Ale tata miał przy sobie kobietę, która mu pomagała. Nie tak, jak ty. Ty jesteś całkiem sam.

Mruczając coś do siebie, przycisnął twarz do skóry renifera. Coś go połaskotało w nos. To był długi, rudych włosów Renn, został tam, bo to był kiedyś jej śpiwór. Torak ścisnął go w dłoni. Nie jesteś sam – powiedział sobie.

Nieco później obudził się, słysząc postukiwanie pazurów na skale. Chłodny nos dotykał jego policzka, a Wilk, stękając głośno, układał się obok niego.

– Nie jesteś sam – szepnął Torak, wsuwając palce w futro brata ze stada. – Nie zostawiaj mnie – dodał w wilczej mowie.

Wilk raz jeszcze szturchnął go nosem i polizał uspokajająco.

Wczepiony w jego sierść Torak zapadł w zły sen.

Śniło mu się, że jakiś łoś atakuje Renn. Nie ten młody łoś, który chciał się z nim zaprzyjaźnić, ale olbrzymi dorosły samiec. Torak próbował się poruszyć, ale sen krępował jego ręce i nogi, mógł tylko patrzeć, jak Renn cofa się w kierunku pnia dębu, rozgląda się wokół siebie przerażona, na co by się tu wspiąć. Nie było nic – z tyłu za plecami miała rzekę, a przed sobą sięgającą do kolan wierzbówkę.

Łoś ryknął tak potężnie, że aż ziemia się zatrzęsała, i opuścił głowę, żeby zaszarżować. Jedno kopnięcie tych olbrzymich kopyt rozwaliloby czaszkę dzikowi, złamałoby jak gałązkę kręgosłup wilka. Renn nie miała szans. Łoś biegł ciężko w jej kierunku, Torak czuł, jak ziemia się trzęsie. Czuł zapach jego gęstej wściekłości. Nagle poczuł rwący ból w brzuchu -ból, który był przerażająco znajomy...

...To jego własna wściekłość pchała potężne ciało łośia do przodu, pod jego rogami rozstępowały się gałęzie, kiedy, tupiąc głośno, biegł w kierunku Renn. To nie sen – pomyślał. To się dzieje naprawdę!

Łoś wypadł z zagajnika, a Renn rzuciła się za pień dębu. Zwierzę zamachnęło się na nią kopytem z przerażającą zręcznością. Renn uniknęła ciosu – po chwili uniknęła jeszcze jednego. Łoś odbiegł galopem, skręcił w miejscu i przygotował do następnego ataku.

Przycupnęła za pniem dębu zlana potem, z oddechem dławiącym piersi. W zasięgu wzroku nie było nic, na co mogłaby się wspiąć – zbocze oczyszczono pod obozowisko dwie wiosny temu, chociaż rzeka była zaledwie dziesięć kroków dalej – wiedziała, że nie zdąży dobiec. Poza tym łośie potrafią pływać.

Jakiś korzeń wbijał się w jej kolano, a kiedy się przesuwała, mało nie wpadła w jakąś dziurę. W jamę.

W czyjąś norę. Mruczając słowa podziękowania opiekunowi klanu, Renn zgarnęła broń i zaczęła wsuwać się do niej tyłem. Łoś jej tu nie dosięgnie, dziura była zbyt

wąska na jego poroże. Łosie nie potrafią kopać w ziemi. Przynajmniej zwykle łosie. Ten jednak nie wyglądał na zwykłego łosia.

Nie było żadnego ostrzeżenia, po prostu nic. Po bezsennej nocy wyczołgała się z zaczerwienionymi oczami z szałasu i ruszyła w górę rzeki. Jeśli ktoś zapyta, powie, że rusza na polowanie, ale prawdę mówiąc, martwiła się o Toraka. Chciała znaleźć jakiś jego ślad, chociaż prawdopodobnie dawno już go tu nie było.

Wtedy pojawił się ten łoś. Wybiegł truchtem z bagnistego zagajnika.

Renn była zaskoczona, ale nie przestraszona. Łoś prawdopodobnie pasł się, szukając w zagajniku turzycy, albo brodził w rzece, pasąc się na polu lili wodnych. Jeśli ustąpi mu miejsca, by pokazać, że nie poluje, zwierzę odejdzie.

Wtedy wszystko się zmieniło.

Grudki ziemi spadały jej na twarz wąskim strumyczkiem, a Renn ścierała je z policzka. Spojrzała w górę na szary krążek nieba, jej oko myśliwego ujrzało kilka czarnych i kilka białych włosów sierści zaczepionych na krawędzi. Miała nadzieję, że borsuk, do którego jamy weszła bez zaproszenia, jest głęboko uspiiony i to znacznie głębiej pod ziemią. Zakleszczona między wściekłym łosiem i wkurzonym borsukiem nie miała wielkiego wyboru.

Co teraz? Na szczęście jej łuk i strzały nie ucierpiały, wciąż trzymała w dłoni toporek. Mogła albo poczekać, aż przyjdzie pomoc, albo wyrwać się stąd i walczyć.

W walce zginie. Łoś był tak wysoki, że mogła, nie pochylając się, przebiec mu pod brzuchem, a jego rogi były szersze niż jej rozpostarte ramiona. Jednym ruchem mógł ją wypatroszyć jak rybę. A te kopyta... Kiedyś widziała, jak kłepa zabija niedźwiedzia zaledwie dwoma kopnięciami – jedno wymierzyła w szczękę, żeby go ogłuszyć, a następnie drugie -podnosząc się na tylnych nogach. Przednie kopyta spadły jak dwa młoty na czaszkę przeciwnika, rozłupując ją jak orzech.

Ten łoś nie był jednak kłepą broniącą cielęcia. To byk, a okres rykowiska, kiedy łosie były śmiertelnie niebezpieczne, miał nadejść dopiero za cztery księżyce.

Dlaczego więc ją zaatakował? Był chory? Miał rozjątrzoną ranę? Nie zauważyła oznak ani jednego, ani drugiego. Demony? Nie. Nie czuła tego. A jednak – coś było nie tak.

Grudki ziemi znów poleciały jej na twarz i Renn wypluła chrzęszczące między zębami małe kamyczki. Z niezwykłą ostrożnością podciągnęła się na rękach i wyjrzała znad krawędzi jamy.

Promienie wschodzącego słońca przeszywały zagajnik jak świetliste dzidy. Bryza obudziła wierzby. Rzeka szumiała, płynąc ku Morzu. Było tak spokojnie...

Jest tam. Za kępą łopianu widać krawędź olbrzymiego, zabłoconego kopyta, pęcinę ciemną od potu.

Poczuła uderzenie krwi i usłyszała, jak dudni jej serce.

Łoś opuścił łeb i wystawił długi, podwinięty język, oblizał sobie nos, żeby lepiej czuć zapachy w powietrzu. Jego olbrzymie uszy skierowały się ku niej.

Renn zamarła.

Wiedział, że ona tu jest. Był ślepy na jedno oko – zaciągnięte czerwienią jak galaretą z jagód, przebite rogami rywala podczas walki na rykowisku. Drugie patrzyło

prosto w jej oczy.

Zamarła. Wyczuła ducha za tym spojrzeniem.

–To niemożliwe – szepnęła.

Łoś pogrzebał kopytem w łopianie.

To tylko jakiś łoś, wmawiała sobie. To nie ma nic wspólnego z Torakiem!

Wiedziała jednak, z tą pewnością, która czasami ją ogarniała, a Saeunn mówiła wtedy, że dziewczyna widzi wewnętrznym okiem – wiedziała, że w tym łośiu utknęły dusze Toraka. Jest wędrującym duchem. I teraz ją atakuje.

–To niemożliwe – znów szepnęła. – Dlaczego chciałby mi zrobić krzywdę?

Zakręciło jej się w głowie, poczuła, że jest jej niedobrze, ale chwyciła mocno trzonek toporka. Nie było innego wyjścia. Niezależnie od tego, co się teraz stanie, jedno z nich zginie.

Wilk stał na straży, gdy Wysoki Bezogon kulił się w skórze renifera, rzucając się i jęcząc przez sen.

Zapach Inności, który Wilk zwietrzył w Ciemnościach, już zniknął, ale Wilk czuł, że jest niedaleko. To był nowy zapach, ale coś mu przypominał. Coś złego.

Zwykle pobiegłby natychmiast, żeby się przekonać, co to jest, ale Wysoki Bezogon kazał mu się nie oddalać. Wilk był tym bardzo zadziwiony. Opuszczał Wysokiego Bezogona wiele razy. Żeby polować, tarzać się w mokrej trawie, pożerać pyszne przegniłe mięso, którego jego brat ze stada zdecydowanie nie lubił. Nie o to przecież chodzi, jak długo Wilka nie było, bo zawsze wracał.

Wilk nie znosił czegoś nie rozumieć. Ale nie mógł rozgryźć odpowiedzi. Wtedy usłyszał wycie.

Wilki. Wiele wilczych skoków stąd, chociaż dokładnie nie wiedział gdzie, bo wyły, kierując pyski w różne strony. Wilk to rozumiał. Był to czas, kiedy Światła robią się coraz dłuższe, pożerają Ciemności – czas, kiedy rodzą się wilcze szczenięta. W tym stadzie były szczenięta. Nie chciały, żeby inne wilki znalazły ich Jamę. Stado, z którym Wilk biegał na Górze, posługiwało się tą samą sztuczką.

Poczekaj! Skoczył na równe nogi. To przecież jest stado z Góry! Rozpoznawał wycie przywódcy stada! Uderzył ogonem w powietrze i zawył w odpowiedzi. Jestem tutaj! Tutaj!

W wyobraźni zobaczył stado wilków stojących blisko siebie, z uniesionymi pyskami, oczami jak szparki, przepełnionymi radością wycia. Ogarnęła go tęsknota i bardzo chciał do nich pobiec.

Stado ucichło.

Ogon Wilka znieruchomiał.

Żałował, że Wysoki Bezogon się nie budzi. Wciąż się rzucał i jęczał przez sen.

Chwilę później Wilk usłyszał szaleńcze gulgotanie i syczenie małych bezogonów. To była wilcza siostra. Nie rozumiał, co mówi, ale słyszał, że ma kłopoty.

Wilk poruszył łapą Wysokiego Bezogona, żeby go obudzić.

Brat ze stada nawet się nie poruszył.

Wilk chwycił zębami jego zewnętrzną skórę i pociągnął długie, ciemne futro na głowie. Kiedy to nie zadziało, szczeknął mu w uszy. To zawsze pomagało.

Ale nie tym razem.

Wilk zjeżył się cały, kiedy zdał sobie sprawę, że to, co tu leży, skulone w skórze renifera, to tylko mięso Wysokiego Bezogona. To zaś, co w środku – oddech, który chodził -gdzieś znikło.

Wilk wiedział, bo to się już kiedyś stało. Widział kilka razy, jak chodzący oddech opuszcza ciało jego wilczego brata. Ciało dalej miało taki sam kształt, wielkość i zapach, jak Wysoki Bezogon. Ale Wilk wiedział, że nie wolno za blisko podchodzić.

Wilk biegał, robiąc pętle. Trop zapachowy mówił mu, że chodzący oddech Wysokiego Bezogona poszedł poszukać wilczej siostry. Wilk również musi to uczynić.

Ruszył jak błyskawica przez Las. Wystraszył kłepę i jej małe, mało się nie potknął o śpiącego warchlaka, irytując jego matkę, ale już go nie było, pobiegł dalej, zanim podniosła się na równe nogi. Biegnąc zakosami między olchami na skraju Szybkiej Wilgoci, zbliżał się do miejsca, skąd słyszał wycie wilczej siostry. Wyczuwał jej nieugiętość i zdecydowanie. Wyczuwał świeżą krew i rozwścieczonego łosia.

W połowie wycia głos jego wilczej siostry się załamał.

Wilk przyspieszył kroku.

Za chwilę wiatr się obrócił, niosąc nowy zapach – zapach Inności.

Wilk stanął jak wryty. Inność szła w kierunku bezbronno ciała Wysokiego Bezogona. Wilk się zawahał. Co ma robić?

Torak budził się z trudem, jakby walczył, żeby wypłynąć z dna jeziora. Coś się wydarzyło tej nocy – coś strasznego – ale nie potrafił sobie przypomnieć co. Leżał w śpiworze, światło poranka świeciło mu prosto w oczy. W ustach miał coś, co smakowało jak popiół, a rana na piersiach strasznie bolała. Wtedy zobaczył długi, rudy włos w dłoni i wszystko wróciło falą wspomnień. Gałązki drzew uderzające o jego poroże, błoto kłaskające pod kopytami. Błysk krzemienia, burza czerwonych włosów na wietrze. Później już nic.

Co ja zrobiłem?

W mgnieniu oka wyskoczył ze śpiwora i przestraszył Wilka.

–Wilcza siostra! – powiedział Torak w wilczej mowie. – Czy z nią wszystko w porządku?

–Nie wiem – usłyszał odpowiedź. Liźnięcie po twarzy. – A co z tobą? Torak nie odpowiedział. Nigdy jeszcze nie wędrował duchem przez sen. Na pewno nie

był to skutek napoju, który przygotował do rytuału, Renn powiedziała mu, że napój nie wyśle jego dusz na wędrowkę. Poza tym narysował znak dłoni na policzku tak, jak mu kazała. Przesunął dłońmi po twarzy, ale czerwonej glinki nie było. Pewnie ją stał podczas snu.

Jak to się mogło stać? Przyglądał się strupowi na piersi. Znaku nie było, ale siła i moc Pożeraczy Dusz była ogromna. Może, kiedy spał, zmusili go do tego? Żeby zaatakował kogoś, na kim zależało mu najbardziej na świecie.

Cały ranek szedł w kierunku tej polany. Zdawał sobie sprawę, gdzie się znajduje, zauważył jamę borsuka i pniak drzewa – kiedyś już tam polował – trochę pomógł mu Wilk. Kiedy jednak tam doszli, Torak nie rozpoznał polany. Wysoka paproć i

niskopienna wierzbówka zostały spłaszczony jak gradem, dąb kopnięciami rozwalony w drzazgi. Tu i ówdzie widział szkarłatne rozbryzgi na zielonych liściach.

Grunt usunął mu się pod nogami. Poczł gorycz żółci w przelyku. Próbował się uspokoić, chciał poskładać w jeden obraz to, co się rozsypało. W zmieszonym błocie obok pnia drzewa znalazł odcisk buta Renn, rudy włos zaczepił się przy jednym z wejść do nory. Na brzegu rzeki znalazł ślady w miejscach, gdzie wciągano łodzie na piasek. Mnóstwo śladów mężczyzn, głębsze po drodze z powrotem do łodzi. Nieśli coś ciężkiego. Może zjawili się na czas, zabili łosia i zabrali go ze sobą do łodzi? Może nieśli Renn? Torak czuł, że umysł odmawia mu posłuszeństwa. Opuściły go umiejętności tropiciela.

To moja wina, pomyślał. Jest we mnie coś, nad czym nie potrafię zapanować.

Wilk dotknął pyskiem jego uda, pytając, dokąd idą. Torak spytał go, czy próbował pomóc wilczej siostrze, a Wilk odparł, że chciał, ale że wyczuł „Inne”.

Co chcesz mi powiedzieć? – spytał Torak, ale odpowiedź Wilka była niejasna.

Wilki nie rozmawiają tylko szczęknięciami, popiskiwaniami i wyciem, ale subtelnymi ruchami ciała – przekrzywieniem głowy, podniesieniem uszu lub ogona, nastroszeniem lub położeniem po sobie futra. Nawet Torak nie znał każdego sygnału. Zrozumiał tylko tyle, że Wilk złapał jakiś zły trop, który biegł w kierunku jego brata ze stada, i rzucił się go bronić, ale kiedy przybiegł na miejsce, to coś już znikło.

Torak przyglądał się pobojuwisku przed sobą. Powinien się ukryć, w każdej chwili na rzece mogła pokazać się jakaś łódź. Nic go to nie obchodziło. Musiał iść na spotkanie klanów i dowiedzieć się, co się stało Renn.

Zmierzchało, kiedy dotarł do ujścia rzeki, gdzie zebrały się klany. O tej porze latem noc już nie będzie ciemniejsza. Oznaczało to, że jego plan jest jeszcze bardziej ryzykowny.

Zdjął już co prawda opaskę z czoła, ale wciąż ukrywał swoją obecność, wcierając po prostu popiół z ogniska w skórę, żeby psy go nie wyczuły. Co do reszty, będzie polegał na swoich umiejętnościach łowcy i dzięki nim trzymał się poza zasięgiem wzroku. Udało mu się – chociaż z trudnością – wytłumaczyć Wilkowi, żeby nie szedł za nim.

Znalazł kępę jałowca i sosny z dala od obozowiska, ukrył śpiwór w zaroślach – wróci po niego później. Przykucnął, żeby zaplanować następny ruch.

Wokół ujścia Białej Wody pomarańczowe ogniska lśniły na tle głębokiego granatu zmierzchu. Postaci przed nim przypominały rysunki na skale, miały cienkie nogi i ręce. Tylu ludzi naraz! Przez chwilę Torak znów był małym dzieckiem, niespełna ośmioletnim chłopcem, dumnym z tego, że idzie z ojcem na spotkanie klanów nad Morzem.

Klan Zająca Górskiego postawił szałas z skóry renifera na skałach nad brzegiem, może dlatego, że to miejsce przypominało im dom. Torfowe kopuły klanu Jarzębiny przycupnęły na polanach, a klan Łososia wzniósł namioty z rybich skór tuż nad brzegiem, podczas gdy Orły Bieliki, które nie dbają o domostwa, stawiały swoje byle jakie szałas z kijów tam, gdzie znalazły trochę wolnego miejsca. Klany Otwartego Lasu obozowały jak najbliżej drzew, ale Torak nie widział otwartych od

frontu szalasów klanu Kruków.

–Słyszałem, że klan Wilka wyruszył na północ – odezwał się dziwnie blisko jakiś mężczyzna.

Torak zamarł.

–Niech idą – prychnął drugi. – W ich obecności zawsze czuję się nieswojo. Kiedy jeden z mężczyzn potknął się o korzeń, padło stłumione przekleństwo.

–Powinni jednak zostać – powiedział pierwszy mężczyzna. – Po to jest spotkanie klanów.

–Co z klanami z Głębokiego Lasu? – spytał jego towarzysz. – Po nich też nie ma ani śladu.

–Słyszałem, że są jakieś niesnaski między Turami i Leśnymi Końmi... Głosy cichły, mężczyźni szli w stronę rzeki, a Torak znów odetchnął. Dopiero po dłuższym czasie odważył się ruszyć z miejsca. Trzymał się krawędzi Lasu

i po chwili dotarł do otoczonej sosnami polany, gdzie grupa ludzi tłoczyła się wokół dużego ogniska. Zapachy pieczonego łososia i mięsa mieszały się z muzyką ludzkich głosów, fujarek i bębnow. Ognisko zbudowano z trzech sosnowych bali płonących na całej długości. Ognisko Kruków. Wreszcie ich znaleźli.

Poczuł suchość w ustach i ukrył się w kępie cisów z dala od światła.

Ujrzał Fin-Kedinna pogrążonego w rozmowie z przywódcą klanu Łososia, obaj mężczyźni odcinali kawały mięsa od błyszczącego tłuszczem boku jelenia i napełniali naczynia swoich ludzi.

Zobaczył Saeunn i dwie inne Czarownice siedzące nieco z boku przy mniejszym ognisku, które pachniało mocno jarzębiną. Jedna z Czarownic rzucała kości na ziemię i patrzyła, jak się układają, spadając, a druga czytała znaki z dymu wijącego się ku niebu. Saeunn kiwała się w tył i w przód, plując zaklęciami.

Jakaś gałąź skrzypnęła nad głową Toraka – kruk spojrział na niego w dół jasnymi, bezwzględными oczami. Torak błagał go w myślach, żeby go nie zdradził.

Opiekun klanu rozpostarł skrzydła i odleciał, zataczając niskie kręgi nad ogniskiem Czarownic. Saeunn podniosła głowę i śledziła jego lot. Następnie odwróciła się i popatrzyła prosto na Toraka.

Ona cię nie widzi – uznał chłopak. W świetle ogniska spojrzenie Czarownicy Kruków było jednak karmazynowe od tajemnej wiedzy. Kto wie, co ta starucha potrafi zobaczyć?

Właśnie w momencie, kiedy Torak pomyślał, że dłużej tego nie wytrzyma, Saeunn wróciła do swoich zaklęć.

Drżąc z ulgi, wodził oczami po twarzach oświetlonych płomieniami ognisk. Zobaczył przywódcę klanu Dzika dżgającego palcem powietrze, żeby podkreślić jakieś słowa w rozmowie z przywódcą klanu Wieloryba. Niedaleko siedział Aki przyglądający się swojemu ojcu z lękiem pomieszanym z tęsknotą.

Wtedy ją zobaczył.

Renn siedziała ze skrzyżowanymi nogami przed tłumem ludzi, patrząc tęsknie w płomienie. Była blada, jej prawe przedramię wisiało na temblaku z miękkiej byczej skóry, ale poza tym wydawało się, że nic jej nie jest.

Napięcie, które czuł w piersiach, puściło, jak gdyby pękł rzemień z surowej skóry. Nic jej nie jest.

Podszedł do niego jakiś pies; na szczęście tego znał. Odpędził go gestem dłoni. Następnym razem może nie mieć tyle szczęścia. Będzie musiał się oddalić, zanim ktoś go znajdzie.

Nie ruszał się z miejsca.

Może chodziło o to, że znów widzi Renn? Może miał jakąś szaloną nadzieję, że po wycięciu znaku Pożeraczy Dusz będzie mógł po prostu wejść w krąg światła i wszyscy przywitają go jak swój ego?

Został.

To zmieniło wszystko.

Księżyc zdążył już przewędrować przez nocne niebo, a Torak wciąż patrzył.

Widział mężczyzn, kobiety i dzieci nabierających kubkami z wiaderek specjalnie warzoną żywicę brzozy. Widział, jak wchodzi w krąg światła wokół ogniska z sosnowych bali, opowiadają historie i śpiewają pieśni.

Jakiś człowiek z klanu Wierzby zaśpiewał – do muzyki z kołatek zrobionych z kopyt jelenia i puszczalek z kości kaczki – pieśń o płynących rzeką łososiach. Kobieta z klanu Jarzębiny, poruszając dłońmi za oświetloną światłem ognia skórą stworzyła z cienia czającego się niedźwiedzia.

Tak mijala krótka letnia noc. Torak złapał się na tym, że wciągają go historie - pradawne wspomnienia, sięgające do samych Początków, o których klany opowiadały podczas nocy takich, jak ta.

Dopiero po chwili zauważył, że Renn stała się kredowoblada.

Dwie zamaskowane postaci tańczyły teraz wkoło ogniska – komar z długim, szpiczastym drewnianym żądłem i rozdrażniony łoś. Komar, za którego maską kryła się kobieta z klanu Żmii, krążył wkoło, bzyząc, wydając z siebie piskliwe odgłosy i poszturchując łosia drewnianym dziobem ku ucieczce dzieci, rodzice też się z tego śmiali. Renn nie spuszczała jednak oczu z łosia. Przyglądając się łosiowi odpędzającemu cienie

szerokim porożem, zacisnęła usta w wąską linię. Torak widział, że w duszy na nowo przeżywa atak.

Łoś przypadkiem przeszedł na drugą stronę ogniska i teraz komar mierzył w niego spiczastym dziobem. Zwierzę odepchnęło go rogami od niechcenia, a komar wrócił, bzyząc natarczywie, jak to mają one w zwyczaju.

Właśnie wtedy, kiedy komar szykował się do kolejnego ataku z flanki, spośród ludzi wstał młody człowiek, chwycił delikatnie żądło jedną ręką i udawał, że drugą policzkuje owada. Zrobił to tak zabawnie, że kobieta z klanu Żmii dała się wciągnąć w tę zabawę i bzyząc, odfrunęła obrażona, a wszyscy się roześmiali.

Renn spojrzała z wdzięcznością na młodego człowieka, który wzruszył ramionami i wrócił na swoje miejsce. Wtedy Torak zauważył pofalowane tatuaże na jego ramionach -znak klanu Foki. Z trudem powstrzymał okrzyk.

To był Bale. Jego krewniak.

Przybyło mu mięśni od minionego lata. W blasku bijącym od ogniska widać było

początki zarostu na twarzy, ale poza tym Bale się nie zmienił. Te same długie, jasne włosy z wplecionymi w nie muszelkami i ościami gromadnika, ta sama inteligentna twarz. Te same błękitne oczy, w których płonęło światło słońca odbitego od Morza.

Ostatni raz, kiedy się widzieli, rozmawiali o tym, że będą wspólnie polować, a Torak zażartował, mówiąc, że Foka wreszcie znajdzie się w Lesie. Teraz sama myśl o tym była bolesna.

Nagle noc rozdarł dźwięk rogu.

Chmara kruków sfrunęła z gałęzi drzew.

Tańczący, widzowie – wszystko zamarło.

Opierając się na kosturze, Saeunn kołyszącym krokiem podeszła w krąg światła.

–Pożeracz Dusz! – krzyknęła. – Jest między nami Pożeracz Dusz! Strach rozszedł się jak fala po zebranych tłumie.

–Wyczytałam to w kościach – mówiła chropawym głosem Czarownica Kruków, krążąc wokół ognia, patrząc w ich twarze. – Widzę to w dymie. Jest wśród nas Pożeracz Dusz, Pożeracz Dusz do szpiku kości.

Ludzie chwycili mocniej swoje dzieci i ścisnęli dłońmi amulety i broń. Twarz Fin-Kedinn pozostała nieruchoma, kiedy przyglądał się, jak jego Czarownica szuka tego, w którym jest zło.

Kryjący się w ciemności za drzewami Torak z przerażeniem zrozumiał, co wyczuła Saeunn. Pożeracz Dusz do szpiku kości!

Za długo nosił znak na piersiach. Wżarł mu się w kości i teraz był jednym z nich. Już nigdy nie będzie wolny.

Rytuał nie zadziałał.

Wokół ognia z sosnowych bali podniosła się wrzawa. Psy szczekały, głosy dźwięczały jak bzyczenie trzmieli. Na twarzach zebranych pojawił się odpychający wyraz lęku, ludzkie oczy zamieniły się w puste oczodoły. Fin-Kedinn zawołał, żeby się uspokoił, i wrzawa opadła.

–Ale musimy wyruszyć i natychmiast go złapać! – krzyczał Aki. – Jeżeli tego nie zrobimy...

–Jeśli teraz wyruszysz, pójdziesz na ślepo – powiedział przywódca klanu Kruków. – Pamiętaj, mamy tu nie tylko wyrzutka. Co z Czarownikiem Dębu? Z Czarownicą Żmii? Czarownicą Puchacza? Trójka Pożeraczy Dusz o olbrzymiej mocy może być wszędzie. Czy czujesz się wystarczająco silny, żeby sam z nimi walczyć, Aki? Czy któryś z was czuje się aż tak silny?

Aki się nie odezwał, a jego ojciec warknął na niego i chłopiec skulił się, skurczył, jakby chciał zmniejszyć siłę ciosu.

Torak uznał, że zobaczył już wystarczająco dużo. Uciekł. Był głupcem, wierząc, że przyjmą go z otwartymi ramionami. Już nigdy nie przyjmą go z powrotem.

Ruszył, a ledwie zasklepią rana na klatce piersiowej otworzyła się z chrzęstem. Wstrzymał oddech z bólu. Przyciągnie cię jednym drgnieniem – syczała Czarownica Żmii.

Odnalazł śpiwór i ruszył inną ścieżką, by rozproszyć swój zapach. Pośród drzew zamigotały mu w oddali szalasy Kruków. Były opuszczone.

Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą, a on nie był w stanie odejść. Zostawiał ich na zawsze, to wiedział, ale chciał być blisko po raz ostatni. Musiał się pożegnać.

Odnalazł szalę przywódcy Kruków i zajrzał do środka. Toporek Fin-Kedinna stał oparty o framugę drzwi, obok był jego łuk i oścień do łowienia ryb. Nie było tam jednak nic, co należało do Renn, co wydało mu się dziwne.

Jego toporek.

Był piękny, miał ostrze z wypolerowanego zielonego kamienia umocowane na solidnej jesionowej rękojeści. Idealnie pasowała do dłoni Toraka. Kiedy zacisnął wokół niej palce, poczuł moc przywódcy klanu Kruka, jego siłę woli. Torak zgubił swój toporek na Dalekiej Północy, a Fin-Kedinn miał mu zrobić nowy. Jeszcze dużo miał się nauczyć od Fin-Kedinna.

Palce Toraka same zaciskały się na rękojeści toporka. Ukraść człowiekowi toporek to chyba najgorsze, co można zrobić. A ukraść toporek Fin-Kedinnowi...

Ale go potrzebował.

Ledwie wierząc w to, co robi, zatknął toporek za pas i ruszył dalej, szukając szalę, w którym spała Renn. Dłuższe pozostawanie tutaj było czystym szaleństwem, ale nie mógł odejść, dopóki go nie znajdzie.

Zdziwił się, kiedy odkrył, że Renn śpi teraz w tym samym szalę co Saeunn - rozpoznał go po wielodniowym smrodzie starej kobiety. Renn na pewno trudno było go znieść.

Bolało go, kiedy oglądał jej rzucone byle jak w kącie rzeczy. Jej ukochany łuk zwiślał z belki pod sufitem. Kiedy go dotykał, wydawało mu się, że słyszy jej głos – kpiący, łagodny. Tego dnia, kiedy się poznali, kiedy Kruki były wrogami i kiedy musiał walczyć o życie, podała mu puchar z sokiem z dzikich jagód. „Tak jest uczciwie” – powiedziała wtedy.

Na macie utkanej z gałęzi wierzby leżał nowy woreczek z lekami, którego nigdy wcześniej nie widział; musiała go zrobić po tym, jak dała mu swój. Podniósł go, a między zasuszonymi grzybami i pęczkami włosów ze zdziwieniem ujrzał biały kamyczek, na którym sam zeszłego lata namalował swój tatuaż klanowy. Nosila go przy sobie cały czas.

Jego dłoń zacisnęła się na kamyczku. Dzięki temu Renn zrozumie, że Torak już nigdy nie wróci.

Poruszał się szybko, nisko pochylony, kierował się ku górnemu biegowi rzeki, trzymając się zagajników przy wodzie. Daleko nie zaszedł, kiedy usłyszał delikatne, stłumione odgłosy pogoni.

To nie mógł być Aki, bo Aki robiłby znacznie więcej hałasu. Ktokolwiek szedł za nim, był dobry, poruszał się niemal bezgłośnie, nie wychodził z cienia.

Był dobry, ale on był lepszy.

Rzeka płynęła głęboko, wolnym biegiem między na wpół zatopionymi olchami. Torak zdjął buty i zawiązał je wokół szyi. Trzymając niepewnie kołczan, łuk i zrolowany śpiwór na głowie, wszedł powoli do wody. Chłód kazał mu wstrzymać oddech, ale zacisnął zęby i szedł dalej, aż woda sięgnęła mu do piersi.

Zaparł się mocno, żeby nie dać się porwać prądowi, i czekał. Słyszał chlupot wody

między drzewami. Po chwili usłyszał ciche kroki.

Z brzegu ktoś delikatnie zawołał go po imieniu.

Zamarł.

–Torak! – szepnęła jeszcze raz Renn. – Gdzie jesteś? Nie odpowiedział. Wtedy usłyszał ten drugi głos:

–Krewniaku, to ja! Torak się wzdrygnął.

–Jesteśmy sami, daję słowo! – powiedział Bale chropawym szeptem. – Wyjdź! Nie chcemy ci zrobić krzywdy! Renn mi wszystko opowiedziała. Wiem, że jesteś wyrzutkiem, ale wciąż jesteśmy braćmi jednej krwi! Chcę ci pomóc!

Torak zacisnął zęby. Renn już ryzykowała życie, żeby mu pomóc, i na nic się to nie zdało. Nie mógł ani jej, ani Bale'a narażać na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Jak wszyscy myśliwi Renn i Bale potrafili czekać. Torak też potrafił. W końcu usłyszał, jak Bale głośno wzdycha.

–Chodźmy – zwrócił się do Renn.

–Nie! – zaprotestowała. Torak usłyszał szelest gałęzi, kiedy podchodziła bliżej, i nagle była na samym brzegu rzeki. – Torak! – mówiła teraz nieostrożnie głośno.

–Wiem, że tu jesteś, czuję, że słuchasz! Proszę! Proszę! Musisz nam pozwolić sobie pomóc!

Trudno było nie odpowiadać na wołanie Bale'a, ale zachowanie milczenia, kiedy Renn prosiła, by się odezwał, było jedną z najcięższych rzeczy, jaką kiedykolwiek uczynił. Tak bardzo chciał krzyknąć – dać jakiś znak, który tylko ona zrozumie!

Wracaj do obozowiska

–błagał ją w myślach. Nie mogę tego znieść.

Bale położył dłoń na ramieniu Renn.

–Chodź. Albo go tu nie ma, albo nie chce, żebyśmy go znaleźli.

Odepchnęła go ze złością, ale kiedy ruszył w kierunku obozowiska, poszła za nim.

Torak odczekał, by się upewnić, że już ich nie ma, i powoli przedzierając się przez wodę, dotarł na suchy ląd. Zmarznięty, zdrętwiały, założył buty. Strup na piersi był otwarty, czuł, że cieknie z niego coś ciepłego. Dobrze. Niech krwawi!

Szedł w górę rzeki, biegł, jakby chciał się ukarać, szybko, żeby nie myśleć, ale w końcu musiał się zatrzymać. Opadł bez sił pod gruszą na skraju polany. Niedługo świt. Z dala usłyszał psy.

Okazało się, że wciąż ścisną w dłoni kamyczek, który wyjął z woreczka z lekami Renn. Przyglądał się kropkowanym liniom, które, jak sądził, były jego tatuażem klanowym, ale które teraz stały się nic nieznaczącymi maźnięciami.

To dawny Torak, pomyślał.

Zdał sobie sprawę, że przez ostatnie pół księżyca tylko bawił się w wyrzutka, szukał usprawiedliwień i wymówek, żeby być blisko Kruków. Był jak ten młody łoś, ryczący za swoją matką. Jeżeli się nie nauczy, jak przeżyć na własną rękę, zginie. Postanowił, że nie popełni już błędu młodego łosia.

Jego dłoń zacisnęła się na kamyczku. Lepiej go zostawić. Zostawić wszystko za sobą.

Wcisnął kamyczek w rozwidlenie gałęzi gruszy i pobiegł dalej.

Mgła osiadła kroplami na zagajniku i użyczyła liściom gruszy mroźnego połysku. Kamyczek Toraka tkwił w gładkich ramionach drzewa bezpiecznie jak w gnieździe.

Na polanę wszedł młody jeleni i zaczął grzebać w trawie. Rozległ się głos drozda. Obudził się kos. Wschodzące słońce wygoniło mgłę ciepłymi promieniami.

Nagle młody jeleni uniósł głowę i uciekł. Drozd i kos również odfrunęły, niespokojnie ćwierkając.

Cień padł na gruszę.

Las wstrzymał oddech.

Skądś wychynęła zielona dłoń i zabrała kamyczek leżący w rozwidleniu gałęzi drzewa.

On tu gdzieś jest – powiedział Aki. – Czuję to.-A ja nie – odparła, dysząc, dziewczyna z klanu Wierzby walcząca z szybkim nurtem, żeby nie zostawać z tyłu.

–Czy nie poszedłby na południe, zamiast na wschód? Przecież stąd właśnie przyszedł – dodała.

–Tam poszli inni, żeby odciąć mu drogę – warknął Aki.

–Jesteśmy za daleko w górnym biegu rzeki – odezwał się niepewnie Raut. – Powinniśmy wracać.

–Nie – rzucił krótko Aki.

–To chociaż zatrzymajmy się na odpoczynek – zaprotestował inny chłopiec. – Jeszcze trochę wiosłowania i ręce mi odpadną.

–Mnie też – sapała dziewczyna. – Tam gdzieś strumień wpływa do rzeki.

Popłynemy tam.

Rozległ się szmer głosów na zgodę, w końcu Aki, choć niechętnie, pozwolił na to, i skierowali dzioby dłubanek ku brzegowi.

Usadowiony na wierzbie Torak westchnął głęboko. Kiedy był już pewien, że to nie taktyczna sztuczka, wszedł do wody i ruszył ku brzegowi.

Tam czekał na niego Wilk. Przypatrywał się z zainteresowaniem, jak Torak wciska trawę do butów, żeby mu było cieplej w stopy. Po chwili ruszyli w górę rzeki.

Myśliwi tropili ich cały dzień – na wschód od Dwóch Rzek i w górnym biegu Rękojeści Topora. Kiedy Torak próbował iść na północ, druga grupa myśliwych zapędzała go z powrotem. Tylko trzymając się w zagajnikach przy rzece, udawało mu się mylić tropy.

Było mu zimno, mokro i nie spał już drugą noc. Zaczynał nie dostrzegać tego, na co powinien zwrócić uwagę. Jakiś czas temu omal się nie potknął o dzika, który taplał się w błocku. Dlaczego nie widział jego śladów? Zauważyłoby je pięcioletnie dziecko.

Ze względu na Akiego pożegnał się z myślą o wędrówce na południe. Miał jedynie nadzieję, że przejdzie w bród wody Rękojeści Topora i wyruszy w kierunku żlebów odchodzących na północ od rzeki. Była to dzika kraina, z niewielką ilością zwierzyny łownej, niewielu też się tam zapuszczało poza dziwadłami i samotnymi wędrowcami. To mu odpowiadało.

Rzeka stawała się coraz bardziej gniewna, a Torak słyszał już z oddali ryk wodospadów. Kończył się ranek. Wilk przystanął i napiął mięśnie. Wtedy Torak też to

usłyszał – wiosła zanurzające się w wodę, dyszenie psów na tej samej wysokości rzeki, co dłubanki. Aki i jego przyjaciele długo nie odpoczywali.

Torak przedarł się przez podmokłe tereny z wierzbami, chlupocąc buciorami, przeszedł przez gęstą, ostrą trawę, unikając bładozielonego mchu, który był tak delikatny, że odcisk stopy pozostawał na nim przez kilka dni. Wilkowi szło lepiej, bo jego ogromne, lekkie łapy pozwalały mu biec bez wysiłku, zupełnie jakby unosił się nad powierzchnią gruntu.

Ku swojemu rozczarowaniu Torak zobaczył, że jego prześladowcy nie płyną dalej wzdłuż rzeki, ale przekraczają ją, jakby odgadli jego plan. W dłubankach było im łatwiej. Patrzył, jak zarzucają łodzie na ramiona i wspinają się na brzeg. Chcieli przenieść łodzie przez wodospady i czekać na niego wyżej. Nie miał wyboru, musiał iść naprzód. Bieg rzeki był teraz szybszy, woda rozbijała się o głazy i Torak był mokry od tych rozbryzgów. Kiedy wspinał się, mijając wodospady, rozglądał się, czy nie widać pogoni po drugiej stronie. Pamiętał, że zbliża się do miejsca, gdzie na drugim brzegu schodzą ku rzece dwa żleby z doliny Rękojeści Topora. Dwie jesienie temu on i Renn znaleźli tam powalony pień i po nim przedostali się na drugą stronę. Może...

Pnia dębu nie było, zmyły go powodzie.

Przez chwilę Torak nie wiedział, co robić. Miał mętlik w głowie. Dzwoniło mu w uszach i nie mógł już myśleć.

Musi być jakiś sposób przedarcia się na drugą stronę.

Rzeczywiście był. Tuż przed nim dolina zwężała się, a zatopione zagajniki ustępowały miejsca głazom i porozrzucanym bezładnie drzewom. Woda i wiatr powaliły sosnę, która zaledwie dziesięć kroków od niego łączyła oba brzegi rzeki. Mało obiecujący pomost – kora była śliska i wilgotna, gałęzie wystawały na wszystkie strony, a kiedy Torak oparł dłoń na pniu, drzewo się zachybotowało.

Jest wystarczająco stabilne – powiedział sobie.

Jakaś część jego wiedziała, że to błąd, ale, co dziwne, nie zatrzymał się.

Wilk bez trudności przebiegł po pniu, przeskakując nad gałęziami. Kiedy dotarł na drugą stronę, odwrócił się do Toraka i pomachał ogonem.

–To łatwe!

Wcale nie – chciał mu powiedzieć Torak. Nie kiedy człowiek idzie na czworakach, ubrany w śliską zwierzęcą skórę, ze śpiworem, łukiem i kołczanem na plecach. Kiedy nie ma pazurów.

Był już niemal po drugiej stronie, kiedy usłyszał głosy. Spojrzał w dół i mało nie wpadł ze zdziwienia do wody. Woda wirowała i bulgotała białą pianą wokół omszałych głazów. Na jednym z nich, dokładnie pod nim, stali Aki i Raut.

Torak wstrzymał oddech. Jeśli któryś z nich spojrzałby w górę...

–Ja mam już dosyć – powiedział Raut. – Wracam.

–A ja nie – warknął Aki. Torak próbował ruszyć naprzód, ale bransoletka z jarzębiny od Renn, którą miał na

nadgarstku, zaczepiła się o gałąź. Próbował ją odczepić. Drzewo zadrżało.

–Reszta wróciła – mówił Raut. – My też powinniśmy wrócić. Wyszliśmy daleko

poza nasz teren.

Torak znów pociągnął bransoletkę. Rozerwała się. Kulki jarzębiny odbijały się od kamieni. Na szczęście Aki był zbyt zaaferowany, żeby to zauważyć.

–Chcesz iść, to idź, ale piechotą. Ja zostaję z łodzią!

–Bardzo dobrze – odparł Raut. Po chwili ciszej zapytał: – Aki, tak nie można.

Dlaczego tak go nienawidzisz?

–Wcale nie – rzucił Aki.

–Więc po co to wszystko robisz?

–Powiedziałem, że go dopadnę! Powiedziałem to tacie. Nie mogę wrócić, jeżeli mi się nie uda.

–W takim razie będziesz musiał go ścigać beze mnie. Podzielimy zapasy i zostajesz sam!

Torak z ulgą patrzył, jak idą w dół rzeki. Już miał ruszyć po oślizgłej korze drzewa, kiedy usłyszał dźwięczny głos Akiego:

–Wiem, że gdzieś tu jesteś, Pożeraczu Dusz! Znajdę cię, przysięgam na moje dusze! Znajdę cię i wytropię.

Wilk czekał po drugiej stronie, ale Torak ledwie go przywitał. Czując chłód mokrego ubrania, myślał o groźbie Akiego. Co za determinacja!

Popatrzył na Wilka. Z każdą chwilą, którą spędzali razem, narażał go na niebezpieczeństwo. Prawa klanowe zabraniają zabijania łowcy, chyba że w samoobronie. Jeżeli doszłoby do walki i Wilk próbowałby bronić swojego brata ze stada, a Aki by go ustrzelił?

Przez chwilę poczuł, że ogarnia go panika. Nie mógłby żyć bez Wilka.

Jest tylko jeden sposób – powiedział sobie. To przecież nie na zawsze.

Rozdzielmy się – zwrócił się do niego Torak w wilczej mowie.

Wilk spojrzał na niego ze zdziwieniem.

Trudno było wytłumaczyć, że to nie na zawsze, że to tylko na czas, kiedy Aki jest blisko. Kosztowało go to sporo wysiłku, ale Torak zacisnął zęby, a potem powtórzył raz jeszcze:

–Rozdzielmy się!

Wilk wyglądał na obrażonego. Po chwili otrzepał się z wody i truchtem pobiegł w kierunku wysokich paproci.

Przez jakiś czas Torak nie słyszał psów Akiego, nie widział nawet śladu Wilka.

Raz po raz słyszał dzwonienie w uszach, rana na piersi pulsowała. Nieustannie smarował ją przeżutymi włóknami kory wierzby, ale nie chciała się goić. Ból przypominał mu cały czas, że nie tylko Aki na niego poluje. Pożeracze Dusz złapali go na niewidzialny harpun i przyciągali coraz bliżej.

Grunt zrobił się bardziej kamienisty. Tam, skąd stał, widział brzeg rzeki spadający urwiskiem ku Rękojeści Topora. Już jakiś czas temu minął wodospady, ale ich grzmot wciąż brzmiał mu w uszach.

Oparł się o pień brzozy i przełknął ostatni kawałek krwawej kiszki, którą dostał od Renn. Nie zamierzał składać niczego w ofierze; musiał zjeść tyle, ile może.

Chciało mu się pić, ale dojść do rzeki byłoby ciężko, rozplątał więc pień brzozy i

zaczął pić. Zostawił korę, z której ściekała krew drzewa, i z trudem, potykając się, poszedł dalej. Wiedział, że tak nie wolno, ale już go to nie obchodziło. Coś weszło między niego a Las. Był zbyt zmęczony, żeby z tym walczyć.

Rzeka pod nim płynęła szybkim, głębokim nurtem. Czy powinien być tak blisko wody, czy raczej znaleźć jakąś osłonę? Postanowił zostać blisko wody.

Źle wybrał. Głazy były zdradzieckie, porośnięte mokrym mchem, Torak upadł, objął boki, lecąc w dół, ku rzece.

Przestał się toczyć tuż przy samym brzegu. Było tu niewiele drzew, a kiedy z trudem wstał na równe nogi, wyraźnie zobaczył, co się dzieje poniżej – dłubankę wypływającą zza zakrętu rzeki. Aki zobaczył go i wydał okrzyk tryumfu.

Torak rozejrzał się desperacko wokół siebie. Nie miał czasu, żeby się dostać wyżej na brzeg. Piargi stały mu na drodze. Był w pułapce. Za to Aki miał kołczan pełen strzał.

Torak rzucił swoje rzeczy i wskoczył w nurt. Chłód rzeki był jak cios w piersi, prąd zerwał mu buty z nóg i oślepił go jego własnymi włosami. Kaszląc i prychnając, wyłonił się wśród rzecznych wierzb. Jednej się chwycił. Nie dała mu osłony. Wziął głęboki wdech i znów zanurkował pod wodę. Rzeka była mroczna, chciała za wszelką cenę go porwać i pchnąć w ramiona Akiego. Zdrętwiałe palce straciły uchwyt, prąd okręcał go wkoło, kątem oka zobaczył pniak, w który zaraz uderzy.

Próbował zanurkować, ale nie udało mu się wejść głęboko pod wodę i coś uderzyło go w skroń. Wierzgnął i wystawił głowę nad powierzchnię. Oślepiły go promienie słońca i oścień na ryby wymierzony prosto w pierś. To nie w pień drzewa uderzył, to była dłubanka Akiego.

Torak olbrzymim wysiłkiem okręcił się i zanurkował pod łódź. Wyłonił się po drugiej stronie. Aki już na niego czekał. Znów oścień dźgnął w wodę. I znów Torak zanurkował pod łódź.

Nogi miał jak obciążone kamieniami, woda dławiła mu oddech. Pewna, myśl zaświtała mu w głowie. Przypomniał sobie rurkę z łodygi czarnego bzu, której używał do sączenia żywicy brzozonej. Trzeba było ją zatrzymać, powinien był o tym pomyśleć...

Wynurzył się jeszcze raz, ale teraz, kiedy Aki dźgnął, Torak chwycił za trzon ościenia i pociągnął z całej siły. Aki zawył i wypadł za burtę. Walczyli szczepieni, jeden próbował wyrwać drugiemu oścień. Aki wcisnął rękę pod szczękę Toraka i przygwoździł, go do burty łodzi. Dławiącemu się Torakowi udało się uderzyć Akiego kolanem między nogi. Aki ryknął z bólu i puścił oścień. Torak próbował go złapać, ale porwał go prąd wody.

Ten skok po broń niemal kosztował go życie. Kiedy sięgał po oścień, Aki chwycił go za włosy i wciągnął pod wodę. W panice Torak chwycił się wszystkiego – kurtki Akiego, jego nogawic. Nie mógł chwycić śliskiej skóry, nie mógł wyrwać się z mocnego uchwytu za włosy. Zrobiło mu się ciemno w oczach, otworzył usta, żeby krzyknąć, a rzeka zabrała mu bąbelki powietrza. Wykręcił się i wywinął w ostatniej chwili. Zatopił zęby w udzie Akiego.

Rozległ się stłumiony okrzyk i Aki go puścił. Torak wyprysnął z wody, chwytając

powietrze jak łosoś wyrzucony na brzeg.

Znów zmusił się do zanurkowania i po chwili wynurzył się przy kępie olch powyżej dłubanki. Aki był niżej, ostrzyżona głowa wystawała nad wodę, trzymał się kurczowo drzewa i walczył o oddech. Dłubanka była między nimi, tkwiła w wierzbach. To podsunęło Tomkowi pewien pomysł.

Zanurzył się pod powierzchnię wody i pozwolił, by rzeka go poniosła, po czym wyłonił się bezgłośnie bliżej dłubanki, ale wciąż w górnym biegu rzeki. Słyszał ciężki oddech Akiego po drugiej stronie łodzi, chociaż go nie widział. Miał wrażenie, że chłopak z klanu Dzika jest wyczerpany, i się zawahał. Po chwili bezwzględność, jak odprysk kości, wbiła mu się w serce.

Opierając się plecami o wierzbę, kopnął dłubankę obiema nogami. Wierzgnęła jak leśny konik. Kopnął ją jeszcze raz i tym razem uwolnił ją z objęć wierzby – zabrała ją rzeka.

Na chwilę przed tym, zanim dłubanka uderzyła Akiego, Torak chwycił pień drzewa i podciągnął się wystarczająco wysoko, żeby zobaczyć, co się dzieje. Widział, jak głowa chłopca podskakuje, oczy ma szeroko otwarte ze strachu. Widział, że ciężka, dębowa dłubanka uderza w niego jak taran i topi. Chłopak zniknął w szybkim nurcie. Nawet nie miał czasu, żeby krzyknąć.

Torak trzymał się drzewa, wbijając w wodę ponury wzrok. Fale rzeki były łagodne. Gdzieś poniżej słyszał tylko ryk wodospadów.

Odwrócił się i odpłynął w górę rzeki do miejsca, gdzie zostawił swoje rzeczy. Wyczołgał się na brzeg i padł jak martwy. W ustach miał błotnisty smak rzeczno-mułny, w nozdrzach kwaśny zapach mchu. Rana na piersiach bolała.

Podniósł swoje rzeczy. Zobaczył ścieżkę prowadzącą na skały, której wcześniej nie zauważył, i zaczął się wspinać. Granit drapał go w boscie stopy – Torak przypomniał sobie, że rzeka zabrała mu buty. Wzruszył ramionami.

Kiedy dotarł na szczyt, zrobił pętlę i zawrócił, żeby się przyjrzeć spienionemu nurtowi. Żeby się upewnić.

Dłubanka uderzyła z całą siłą w głaz na środku rwącej rzeki. Między głazem a łodzią Torak zauważył dłoń. Nie ruszała się. Może Aki był nieprzytomny? Może się topił? Może już nie żył? Nawet nie chciało mu się o tym myśleć.

Wyjął nóż i wyciął pasek z kory czarnego bzu, po czym przyciął go tak, żeby zrobić sobie rurkę do oddychania. Wsadził ją za pas i ruszył w górę rzeki, zostawiając Akiego swojemu losowi.

Coś było nie tak z Wysokim Bezogonem.

Wilk już od pewnego czasu wyczuwał to w swoim bracie. Wysoki Bezogon nie słuchał już Wilka, nie słuchał nawet Lasu i zaczął robić złe rzeczy.

Było coraz gorzej. Coś go gryzło od środka tak jak zło, które wżarło się w czubek ogona Wilka w Wielkim Chłodzie.

Niespokojny Wilk szedł za bratem ze stada, trzymając się poza zasięgiem jego wzroku, bo Wysoki Bezogon kazał mu odejść, ale on i tak go obserwował.

Wilk trzymał się na jego wysokości, kiedy szli wzdłuż Szybkiej Wilgoci w kierunku Gór. Przemykając między drzewami, zwietrzył trop wydry i bobra, łapał też woń

Inności, która ukrywała swój prawdziwy zapach. Nie wiedział, co z tym zrobić, zaczął więc żuć gałąź jarzębiny i po chwili poczuł się lepiej.

Nagle zwietrzył wilki.

Ten zapach wypchnął z jego głowy wszystkie inne myśli. Tak, świeży zapach wilka i silne, słodkie oznaczenia zapachowe przywódcy stada.

Serce zabiło mu mocniej. Znał ten zapach! To stado z Gór.

Oszalały z radości Wilk szczechnął krótko dwa razy: Gdzie jesteście?

Wiatr przywiał w odpowiedzi wycie – a Wilk pofrunął ku niemu. Teraz znów będzie między wilkami i poza tym pomoże Wysokiemu Bezogonowi! O to chodzi – tego trzeba Wysokiemu Bezogonowi – być wśród swoich, być wśród wilków!

Długo nie musiał ich szukać, bo zatrzymały się, żeby zmyć krew z pysków, przy małej Szybkiej Wilgoci. Wilk, pędząc w ich kierunku, zrozumiał wszystko w mgnieniu oka. Polowanie się udało – czuł zapach krwi jelenia na ich futrach, zobaczył brzuchy pełne mięsa niesionego z powrotem do Jamy.

Na czele stała ta sama para przewodników, ale nastąpiło kilka zmian, jak zawsze w stadzie. Starego wilka już nie było wśród nich, a ten, który uwielbiał wykopywać myszy z

ziemi, był kulawy i stał się wilkiem niższego rzędu. Szczenięta, które bawiły się z Wilkiem na Górze, były teraz tak jak on dojrzałe, choć trochę od niego mniejsze.

Jednym z nich była piękna samica o ciemnym futrze, z którą tak świetnie można się było bawić w „złap leminga”. Zwęszyła zapach Wilka i podekscytowana poruszyła ogonem, ale nie podeszła się z nim przywitać, bo to przywódcy stada mieli zdecydować, czy go przyjmą z powrotem.

Zatrzymując się w miejscu z pełnego biegu, Wilk podszedł do przywódcy stada tak, jak młody dorosły wilk powinien podejść, żeby pozdrowić starszego. Spuścił po sobie uszy i podczołgał się do niego na brzuchu, przeprasząc, że tak długo go nie było.

Przywódca dumnie odwrócił głowę. Z przerażającą szybkością chwycił pysk Wilka w szczęki, przewrócił go na plecy i stanął nad nim, warcząc.

Wilki uderzały ogonem o ziemię i popiskiwały.

Stado przyglądało się tej scenie.

Przywódca puścił Wilka i uniósł głowę, zwężając oczy w szparki. Wilk zrozumiał, o co mu chodzi, i polizał pysk przywódcy, popiskując z szacunkiem i poruszając tylną częścią tułowia w podziękowaniu, że wolno mu wrócić. Teraz przywódczyni stada odsunęła przywódcę i pozwoliła się sama przywitać, po czym wszystkie pozostałe wilki witały się z nim, delikatnie go gryząc i ocierając się bokami o jego boki.

Ciemne Futro położyła łapę na ramieniu Wilka, zapraszając do zabawy, ale odepchnął ją ciałem samiec z czarnym uchem – przywódca młodych wilków. Czarne Ucho próbował chwycić Wilka za pysk, ale Wilk wydobył się z jego uścisku, sam chwycił go za pysk i rzucił na ziemię tak, że tamten leżał na boku, po czym stanął nad nim, warcząc, aż Czarne Ucho wyciągnął się w przeprasającym geście. Wilk uwolnił go i polizał w nos, żeby pokazać, że przeprosiny zostały przyjęte.

Widzicie. Teraz ja jestem wyżej od niego w stadzie. To już postanowione.

Przez cały czas Wilk wdychał cudowny, słodki zapach małych wilczków wplątany w futra stada. W jego piersi zapłonęła gorąca miłość do wilczych szczeniąt. O, cóż to byłaby za radość pobiec do Jamy i je poznać! Wąchać je, bawić się z nimi i pozwolić, żeby się na niego wspinały!

–Dlaczego odszedłeś? – spytała Ciemne Futro spojrzeniem i poruszeniem ogona.

–Dlaczego jesteście tak daleko od Góry? – odparł pytaniem Wilk. Cała reszta tłoczyła się wokół niego i było tyle odpowiedzi, ile wilków:

–Grzmoty. Olbrzymi Miękki Chłód. Wilczęta. Starożytna Jama. Wielka Wilgoć. Zły Zapach. Musieliśmy. Coś poszło...

Nagle przywódczyni stada uniosła pysk i posmakowała powietrze. Podniosła ucho w kierunku Wilka.

–Będziesz teraz z nami polował. Wilk pomachał ogonem.

–Przyprowadzę mojego wilczego brata. Wilczyca stężała.

–Jesteś teraz z tego stada. Nie z innego. Zaniepokojony Wilk opuścił łeb.

–On jest moim wilczym bratem. Jest... On nie ma ogona. Biega na tylnych łapach.

Przywódca stada poirytowany zmarszczył pysk.

–To jest nie-wilk!

Wilk pisnął i opuścił uszy, żeby pokazać, jak tylko się da uprzejmie, że to nieprawda. Przywódca stada i wilczyca spojrzeli po sobie. Ciemne Futro obrzuciła Wilka

zdziwionym spojrzeniem.

Przywódca stada odsunął się, a następnie odwrócił sterany łeb.

–Żaden wilk nie może należeć do dwóch stad. Wilk opuścił ogon. Zrobiło się ciemno i zaczęła padać Wilgoć. Wilk stał w Wilgoci, patrząc, jak stado z Góry truchtem biegnie w kierunku drzew i znika w lesie.

Lało i Torak był przemarznięty do kości. Bał się, nie chciał rozniecać ognia. Osuwające się kamienie przywalały jego sząłas. Ledwie uciekł. Przez pół księżycy udało mu się przetrwać w żlebie Rękojeści Topora. Wydawało mu się, że to pół księżycy, chociaż stracił poczucie czasu, stracił też umiejętności tropienia zwierzyny. Kiedy przy jego boku był Wilk, wszystko szło lepiej, ale Torak zaczął się martwić, że Wilk jest w niebezpieczeństwie i znowu go odesłał – robiło się coraz gorzej.

Zsuwające się z piargów kamienie wyгнаły go ze żlebu. Może to byli Ukryci Ludzie? Byli przecież wszędzie – w drzewie, w skale i w strumieniu. Może teraz też go obserwowali...

Założył łuk na ramię i ruszył dalej. – Krok za krokiem – mruczał pod nosem. – To jedyny sposób.

Zmarszczył czoło. Takiego myślenia nauczył go kiedyś Fin-Kedinn. Ale Fin-Kedinn go wyrzucił. Sama myśl o tym bolała. Bolało go, kiedy myślał o Renn. Miała teraz Bale'a. Widział ich razem. Już go nie potrzebowała.

U brzegu Rękojeści Topora zatrzymał się, żeby się napić, a dusza jego imienia patrzyła na niego w odbiciu tafli rzeki. Cofnął się zdumiony. Wyglądał jak Wędrowiec. Brudny. Szalony. Czy właśnie tak skończy?

Potyając się, szedł brzegiem w górę rzeki, gadał do siebie, badał palcem ranę na

piersi. Już wyrwał szwy, ale rana nie chciała się goić.

Szedł bardzo długo, aż dotarł do samego skraju Lasu. Znalazł się na zboczu wzgórza, chłodny, wschodni wiatr jak oddech z Krainy Lodu owiewał mu twarz. Przed nim aż do Wysokich Gór ciągnęła się olbrzymia połać Wewnętrznego Morza – niekończący się przestwór mglistej, pobłyskującej w świetle szarości. Jezioro, mgła, deszcz. Nie wiedział, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Cały świat zamienił się w wodę.

Jezioro Rękojeści Topora, pomyślał niepewnie. To musi być Jezioro Rękojeści Topora.

Dziwny, przesywający okrzyk rozdarł powietrze.

Torak się wzdrygnął.

Krzyk ustał. Tylko jego echo kołatało się w głowie Toraka.

–Jezioro Rękojeści Topora jest... inne – powiedziała mu kiedyś Renn. – Wydry też są inne.

Torak widział kilku ludzi z klanu Wydry zeszłej zimy podczas uczty, ale nie wiedział, jacy oni są, wiedział tylko, że Wędrowiec jest z klanu Wydry i że go wyrzucili.

Gdzieś pod nim Rzeka Rękojeści Topora wypływała, ciurkając, z Jeziora przez bagniste połacie szuwarów. Spojrzał na południe i zobaczył pełgającą po wodzie, przebijającą przez mgłę zieloną poświatę. Tam z pewnością jest obozowisko Wydr. Przypomniawszy sobie, że obozują tylko na południowym brzegu. Nie wiedział dlaczego.

Lepiej będzie unikać południowego brzegu i trzymać się północnego.

Pojawił się Wilk i pozdrowił go przepraszająco, pocierając mokrym bokiem o udo Toraka. Razem zeszli w dół zbocza.

Ziemia zrobiła się błotnista. Przeskakiwali mokrą trawę z kępy na kępę, chlapiąc srebrnymi kroplami wody. Tatarak, który przedtem rósł tylko do wysokości kolan, teraz był wyższy niż najwyższy człowiek. Torak nie znosił tataraku. Nie znosił błotnistej, ciemnej,

śmierdzącej zgnilizną wody ochlapującej te wysokie badyle, nie znosił ich groźnych liści w kształcie noży i brązowych głów, które patrzyły drwiąco, kiedy przechodził.

Dotarł do kępy trawy wyglądającej jak przykucnięty człowiek, który lada chwila wstanie. Między trzcinami wił się pomost znikający za kępą. Był zrobiony z pni drzew powiązanych sznurem z kory, ale Torak czuł jego moc i słyszał niemal niesłyszalne, delikatne buczenie.

Nic go nie zmusi, żeby tam poszedł.

Po prawej miał połać trzcin, ruszył, kłaskając w błocie, na północ. Ulżyło mu, kiedy Wilk znalazł twardszy grunt – ścieżkę łosi biegnącą wzdłuż brzegu jeziora. Wkrótce mgła opadła, przykryła wszystko wokół i Torak stracił ducha. Wilk, który biegł truchtem tuż przed nim, również wydawał się czymś przygnębiony. Nagle połknęła go mgła i Torak został sam. Nie odważył się zawyć. Drżał na myśl, co może mu odpowiedzieć. Wyciągnął ręce przed siebie i macał na ślepo w gęstym mleku.

Nagle wyskoczył na niego przestraszony Wilk. Przebiegł obok Toraka i zniknął

tam, skąd przyszli. W tym samym momencie palce Toraka zatopiły się w czymś lepkiem i śmierdzącym. Odskoczył przerażony. Coś czerwonego uderzyło go, mocząc mu twarz. Zdarł to z siebie. Mgła się przerzedziła. Uniósł głowę. Nie dało się dalej iść – przez ścieżkę była przewleczona sieć mięsistych, pobłyskujących tłusto zwojów. Jak ze złego snu. W jego nozdrza wdarł się smród krwi, zobaczył ogromne, wijące się larwy. Wszedł w sieć. W sieć z wnętrzości.

Uciekł przerażony, trąc twarz w miejscach, gdzie dotknął policzkiem sieci. Z pluskiem wody wybiegł na bagna, zapadł się po kolana, a trzciny zafalowały drwiącym śmiechem.

Był znów na pomoście z bali.

–Nie – szepnął. – Nie tam. Pobiegnął na południe. Łatwo było przejść błotnistą Rzekę Rękojeści Topora, z Wilkiem

u boku, jego szerokie łapy prawie nie zanurzały się w błocie. Nie zaszli daleko, kiedy usłyszeli głosy, zobaczyli światła skaczące w górę i w dół. Myśliwi klanu Wydry. Ujrzał ich -niewielkich, uzbrojonych w dzidy i ościenie szczupłych ludzi o nieprzejednanych zielonkawych twarzach. Płynęli zwrotną łodzią z żółtego tataraku, w dłoniach mieli krótkie wiosła.

–Tam! – krzyknął jeden z nich. – Przy trzcinach! Tatarak z lewej. Z prawej zbocza wzgórze pokryte zaroślami, nie ma się gdzie ukryć.

Torak szczechnął komendę Wilkowi, każąc mu pójść w inną stronę – Wilk posłuchał -rozdzielili się, a on wszedł w wysokie trzciny. Z grymasem na twarzy, bo stopy topiły mu się

w lepkiem mule, zmuszał się, by brnąć jeszcze głębiej, aż zanurzył się po szyję. Tu go nie znajdują.

Mgła się podniosła i okazało się, że to koniec trzcin. Dotarł do otwartej wody. Zauważył unoszącą się na wodzie gałąź brzozy, którą wiatr musiał złamać podczas burzy. Ukrył się za nią.

Coś śliskiego prześliznęło się nad jego stopą. Krzyknął.

Znów rozległy się wrzaski Wydr – usłyszeli go. Teraz płynęli przez mgłę, ich trzciniowe łodzie były zakrzywione na dziobie i na rufie, wyglądały jak wodne ptaki. Zobaczył dwóch łowców w łodzi, jeden z wiosłem, drugi z łuczywem i ościeniem na ryby z osadzonym na drzewcu grotem z zielonego łupku.

Torak zanurzył się głębiej, schował za gałąź i patrzył przez liście. Gdzieś za nim uniósł się w powietrze dziwny, rozedrgany okrzyk. Kiedyś już go słyszał. Wydry zamarły. Kobieta w środkowej łodzi zanurzyła wiosło w wodzie i pchnęła ją naprzód, zatrzymując się najwyżej dwa kroki od gałęzi Toraka. Nie ważył się zanurkować, bojąc się, że dostrzeże jego ruch kątem oka. Kiedy uspokajała kołysanie łodzi, jej towarzysz przyglądał się trzcinom nieświadom, że ofiarę mają tuż pod nosem. Tak jak kobieta, miał na sobie długą tunikę bez rękawów wplecioną ze złocistej trawy. Kasztanowe włosy spływały rozpuszczone luźno do ramion, tylko wokół głowy przewiązane opaską ze srebrnej skóry rybiej, drugi kawałek rybiej skóry miał wpleciony w brodę przypominającą kształtem rybi ogon. Uszy miał przebite haczykami na ryby wyrzeźbionymi w formie skaczących łososi, a jeden kolczyk był

przyozdobiony kawałkiem futra wydry. Twarz mężczyzny pokrywała zielona glina – Torak zobaczył delikatne pęknięcia wokół oczu i ust. Tatuaze klanowe w kształcie błękitnozielonych fal wspinały się po jego gardle, przez co głowa mężczyzny przypominała dziwaczny strąk wyłaniający się spośród trzciny. Jego oczy zaniepokojone odbiciami na wodzie przesunęły się po gałęzi, za którą skrył się Torak, a po chwili wróciły, żeby się jej jeszcze raz przyjrzeć.

Gdzieś w oddali zawył wilk.

Mężczyzna z Klanu Wydry syknął, a jego towarzyszka dotknęła futra opiekuna klanu.

Znów rozległo się wycie. Torak wiedział, że to Wilk, ale nie rozumiał, co mówi. Usłyszał tylko, że to coś bardzo pilnego.

Wycie wyprowadziło Wydry z równowagi. Kobieta zanurzyła wiosło w wodzie i odpłynęła od gałęzi, a Torak w cichości ducha podziękował Wilkowi. Gdzieś za sobą usłyszał plusk, odwrócił się i zobaczył dużego szarego ptaka, który wpatrywał się w niego szkarłatnymi oczami. Ptak odleciał, klucząc pętlą nad Wydrami. Kobieta popłynęła za

ptakiem i kiwnęła głową tak, jakby do niej przemówił. Uniosła dłoń i przekazała coś sygnałem innym łodziom, a Torak zobaczył, że łodzie się rozdzielają.

Jeżeli zostawiłyby teraz gałąź, nie miałyby za czym się schować i Wydry by go zobaczyły. Jeżeli by tu został, otoczyłyby go kręgiem.

Chyba że...

Wciąż miał rurkę z łodygi czarnego bzu, krótszą niż długość przedramienia, nie pamiętał jednak, czy cała jest dobrze wydrażona. Zaraz się przekona. Chwycił jeden koniec między zęby i zanurzył się pod powierzchnię. Woda wypełniła mu nozdrza, ale zmusił się do oddychania przez usta, modląc się, żeby go nie usłyszeli. Powoli podpłynął bokiem do trzciny, mając nadzieję prześliznąć się przez ich kordon.

Utrzymywanie się na właściwej głębokości było trudniejsze, niż myślał. Ubranie ścigało go na dno, a żeby utrzymać łodygę w pozycji pionowej, musiał, idąc przez wodę, odchyłać głowę do tyłu. Z obolałą szyją wpatrywał się w las trzciny. Skóra Jeziora nad nim była jasna i twarda jak lód nakrapiany unoszącymi się konstelacjami pyłu.

Słyszał ryby pogryzające rośliny, kątem oka zobaczył czerwony rozbłysk, kiedy tuż obok niego przepłynęła ławica golców. Popatrzył w dół i zorientował się, że dno Jeziora ma w zasięgu stóp. Promienie światła przepląwały nad głazami i powalonymi pniami drzew obrosniętymi wodorostami i mchem. Stopy zapadły mu się w szlam, z którego wybuchały obłoczki piasku i zielony dym. Wolną dłonią dotknął siatki trzciny. Poddała się pod naciskiem palców i odskoczyła z powrotem.

To nie były trzciny, to była sieć. Sieć utkana z miękkiej kory drzew, zawieszona na pływających kawałkach drewna, obciążona kamieniami – za mocna, żeby ją przeciąć, i tak długa, że nie widział końca.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył drugą. Wydry go otaczały. Odrzucił pustą łodygę, przez którą oddychał, i zanurkował.

Usłyszał okrzyki – zauważyli go.

Popłynął głębiej, pod sieciami, bojąc się, że dźgną go ościeniem między łopatkami. Pod zaciśniętymi powiekami widział rozbłyśki światła, okrzyki ucichły, w uszach miał tylko głuchy łoskot, kiedy płynął coraz niżej i niżej. Nagle uświadomił sobie, że z oddali słyszy przenikliwy dźwięk. Biegł ku niemu szybciej niż myśl, był coraz głośniejszy, jak lodowa igła przebijająca mu mózg.

Obok niego przeleciał strumień bąbelków powodujący zawrót głowy, przeciął go następny, później jeszcze jeden. Kątem oka zobaczył odblask światła na płetwach, poczuł falę wodnego śmiechu. Ogarnął go strach. Już to kiedyś słyszał, wtedy kiedy przepływał nad

Wodogrzmotami. Szli po niego Ukryci Ludzie z Jeziora. Tłoczyli się wokół, palce bez kości przesuwaly się po oczach i ustach Toraka.

–Jesteś już nasz, chłopcze o dryfujących duszach! – gulgotali. – Oddaj nam srebrne bąbelki swojego oddechu, a my wciągniemy cię w głębinę!

Czuł, że dłoń wody ściska jego piersi, łamiąc mu żebra. Przed oczami miał plamy ciemności. Wijąc się jak węgorz, strząsnął z siebie śpiwór, który Ukryci Ludzie zabrali ze sobą na dno.

Następny był jego łuk, ale rzemień kołczana zahaczył o pasek Toraka. Wyciągnął nóż i odciął go – czuł, jak opada w mrok ciągnięty przez dziesiątki rąk. Łapiąc jedyną szansę, wierzgał nogami w wodzie, płynąc ku poświacie nad powierzchnią Jeziora. Nie zważając na łowców i ościenie, wyskoczył nad powierzchnię.

Wokół niego były trzciny – ciche i nieruchome. Wtedy rozpoznał kępę traw w kształcie pochylonego człowieka. Znalazł się z powrotem przy ścieżce z bali. Była wąska jak dłoń, zapraszała go do tunelu ociekającego zielenią. Gdzieś w oddali usłyszał głosy. Przyciszone, przerażone.

–Arrin znalazł łuk – mówił jakiś mężczyzna. – Trochę na wschód od południa.

–Zabrali go Ukryci Ludzie – rzekła kobieta.

–Albo Jezioro – wtrącił inny mężczyzna, starszy niż ten pierwszy.

–Cicho, bo nas usłyszą – powiedział młodszy mężczyzna. – Chodźmy, bo nas też zabiorą.

–Jeżeli teraz odejdziemy, wrócimy z pustymi rękami – odparła kobieta. – Ananda nie wysłała nas po łuk topielca ani broń wyrzutka.

–Jeżeli Ananda tak bardzo pragnie uzdrawiającej wody, może sobie ją sama przynieść – warknął starszy mężczyzna. – Ja nie mam teraz zamiaru zbliżać się do źródła!

Głosy zrobiły się niewyraźne, kiedy odpływali trzciniowymi łodziami

–Trzeba tu trzymać straż, na wypadek gdyby chciał wrócić na południe... Torak niechętnie wpełzł na twardszy grunt i wpatrywał się w drewniany pomost. Na południe były Wydry. Na północ ta straszliwa, śmierzdząca sieć. Nie miał wyboru. Z mgły wyłonił się Wilk i stanął tuż przy nim. Wydawało się, że nie jest przestraszony, ale od jakiegoś czasu coraz trudniej było Torakowi odczytywać jego nastroje. Wiedział teraz, że do tego miejsca ciągnęło go od chwili, kiedy został wyrzucony z klanu. Na wschód, cały czas na wschód, aż dotarł tutaj.

Rana na piersi pulsowała. Wydawało mu się, że przez szum tataraku słyszy głos

Seshru, Czarownicy Zmii: Jak zadziór na harpunie wbitym w skórę fokii. Przyciągnie cię

jednym drgnieniem – nieważne, jak mocno byś walczył. Już nie miał siły się opierać. Potykając się, przeszedł obok Wilka i ruszył chybotliwym pomostem.

Wysoko nad północnym brzegiem Jeziora, na skalistym brzegu wylaniającym się ostro z mgły bulgotał strumień. Tuż przy strumieniu płonął krąg zielonego ognia.

W kręgu leżał kamyczek, a na nim kontur tatuażu klanu Wilka.

Na kamyczku leżał kawałek skóry Toraka z wytatuowanym znakiem Pożeracza Dusz.

Wokół kamyczka i skóry ułożył się kręgiem zielony gliniany wąż. Glina powoli wysychała. Wąż nieuchronnie zamykał w uścisku skórę i kamień.

Zielona dłoń przesunęła się nad kamieniem – jeden raz, dwa, trzy razy. Mamrotanie mieszało się z sykiem płomieni, było jak demon wślizgujący się i wyslizgujący ze złych snów.

Gdy zadrzą trzciny, gdy wybuchnie burza, przypomnij sobie o mnie. Gdy zagrzmie błyskawica, gdy zawieje wiatr, przypomnij sobie o mnie. Ja jestem trzcina i burzą, gromem i wiatrem. Wzywam cię, wiązę twe dusze z moją.

Nigdy nie będziesz wolny. Należysz do mnie.

Wąski pomost zachybotał, omal nie zrzucając Toraka do wody. Chłopak musiał uklęknąć i przytrzymać się drewnianych bali. Wilk stał tuż za nim wczepiony pazurami w drewno. Nie cierpiał tego.

Torak nie miał miejsca, żeby się obrócić, zerknął przez ramię na Wilka, dodając mu otuchy. Ten opuścił po sobie uszy i, nieszczęśliwy, machnął ogonem.

Pomost przestał się kolebać i Torak wstał. Powiązane ze sobą pniaki drzew były zdradzieckie, a trzcina tak gęsta, że idąc, musiał ją odpychać na boki. Kulił się pod dotykiem jej długich, lepkich palców.

Mgła opadła na Jezioro. Pomost skurczył się, były to już tylko pojedyncze pniaki przywiązane do siebie końcami, przytrzymywane przez zagłębione w trzcinnie paliki. Dróżka tyle razy skręcała, że Torak stracił orientację. Nie wiedział, czy idzie w głąb Jeziora, czy wzdłuż brzegu.

Przez chwilę kwaśno pachnąca brązowa woda przelewała mu się nad stopami. Innym razem przekraczał śmierdzące bagnisko. Trzciny też się zmieniały – od łodyg koloru popiołu o czerwonych, pierzastych końcach, do trzeszczących, suchych, zakończonych brązowo, przypominających maczugi, które uderzały go raz po raz, delikatnie, ale zniechęcająco, po ramieniu. Nie chciały, żeby tu był. Jeżeli wpadnie, przytrzymają go, aż utonie albo Ukryci Ludzie wciągną go głęboko w cuchnący szlam. Raz już to widział. Kiedyś razem z Tatą znaleźli jelenia tkwiącego po szyję w bagnie. Był na wpół martwy z wyczerpania, ale nie mogli zakończyć jego cierpienia. Wtrącanie się w to, co chcą zawłaszczyć Ukryci Ludzie, przynosi pecha. Tata tylko ukląkł i pogłaskał go po łbie, mruczając modlitwę, żeby mu pomóc odejść w spokoju. Torak pamiętał, że później prześladowały go te oczy – puste, brązowe, wyprane z nadziei. Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim jeleni umrze.

Ostrzegawczy szczek Wilka przywołał go do rzeczywistości.

Tuż przed nim coś przycupnęło na pomoście.

Ręka Toraka powędrowała ku ramieniu, ale oczywiście nie znalazł tam skóry opiekuna klanu. Nie miał nic, co mogłoby go uchronić przed demonem lub strzygą. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że to nie stworzenie, ale pachołek wbity w dno jeziora tuż przy pomoście i sięgający mu do piersi. Jego powierzchnia była chorobliwie szara, pomalowano go w maleńkie zielone punkciki tworzące wzór rybich ości. Torak poczuł, że robi mu się słabo. Na samej górze zobaczył dziwną głowę z zielonej gliny, w którą ktoś wcisnął dwoje oczu z białych muszli ślimaka. Pełgające zielone punkty przyprawiły Toraka o zawrót głowy, ale nie mógł od nich oderwać wzroku. Moc tego przedmiotu zalewała mu umysł jak bezgłośnie echo rozlegające się w powietrzu po uderzeniu pioruna.

Wilk też czuł tę moc i położył uszy po sobie. Nawet trzcina się odchyliła, bojąc się dotknąć szarego pachołka.

Torak przypomniał sobie, że wciąż ma woreczek ze stopy łabędzia, który podarowała mu Renn, a w nim leki i kosmyk jej włosów. Co ona by teraz zrobiła?

Znak dłoni. Może to coś pomoże?

Ochra w rożku z lekami była poklejona od wilgoci, musiał napluć na wnętrze dłonie, żeby ją rozrzedzić. Za nic w świecie nie zaczerpnie wody z Jeziora. Wlał do ręki czerwony płyn i narysował sobie znak dłoni na policzku. Próbował taki sam narysować na czole Wilka,

żeby ten nie mógł go zlizać, ale udało mu się tylko zaznaczyć niewyraźną linię. Kiedy skończył, buczący dźwięk w uszach jeszcze się nasilił. Temu czemuś nie spodobało się, że Torak sięgnął po czerwoną glinę.

Wstrzymując oddech, powoli przechodził obok słupka. Wilk szedł za nim z najeżoną sierścią. Kiedy minęli przeszkodę, trzciny poruszyły się gniewnie, a szum w uszach Toraka przybrał na sile.

Chłopiec doszedł do zakrętu na pomoście, a tam, otoczone strażą trzciny zakończonych pałkami w kształcie maczug, stały trzy słupki, a białe oczy wpatrywały się w niego z pozbawionej ust twarzy z zielonej gliny.

Coś prześliznęło mu się po policzku. Odepchnął to ruchem dłoni, a pomost dziko zachybotał. Było już za późno, teraz zobaczył, że jego koniec nie jest do niczego przywiązany i unosi się swobodnie na powierzchni wody. Rzucił się do przodu, wyprostował, zatoczył i wpadł na Wilka, który szczerknął i mało nie wpadł do wody. Stali tam drżący, wokół nich słychać było tylko szum tataraku.

–Czego chcecie? – krzyknął Torak.

Trzciny ucichły. To było jeszcze gorsze. Nie powinien był krzyczeć. Postanowił ruszyć dalej i... wstrzymał oddech.

Słupki znikły. Trzciny też były inne. Te, które otaczały słupki, miały przedtem brązowe pałki w kształcie maczug, a teraz były pierzastopurpurowe. Torak był wstrząśnięty, bo zdał sobie sprawę, co to znaczy. To nie słupki się poruszyły, to przesunął się drewniany pomost z krótkich bali. Podczas gdy on walczył, żeby złapać równowagę, ktoś poprzestawiał bale.

Po raz pierwszy, odkąd wszedł na chybotały pomost, naszała go myśl, żeby

zawrócić. Nie mógł jednak, a to jeszcze bardziej go przeraziło. Jego myśli nie były już jego własnymi myślami. Mgła wirowała mu w głowie.

Tutaj, w półświecie zamkniętym jak w muszli, który nie był ani lądem, ani jeziorem, Torak zapominał, kim jest.

Wilk trącał go nosem w udo i popiskiwał nerwowo. Torak spojrział na niego i zmarszczył brwi. Wilk próbował mu coś powiedzieć, ale on go nie rozumiał. On, Torak, który nauczył się wilczej mowy jeszcze jako dziecko – nie mógł go zrozumieć!

Ruszył niepewnie dalej, a Wilk za nim, ostrożnie stawiając łapy na chybotliwych deskach pomostu. Daleko nie zaszli, kiedy pomost rozdzielił się na lewo i prawo. I z jednej, i z drugiej strony był słupek. Słupek po lewej był bez głowy, ten po prawej miał głowę z zielonej gliny. Ktoś wyrwał z niej oczy, zostawiając ślepe oczodoły. Wokół czoła

przewiązано skórę, którą zrzuciła żmija. Do skóry szpilką z kości było przyłączone maleńkie, zasuszone serce.

Seshru, Czarownica Żmii.

Torak otarł zimny pot z czoła. Gdzieś za sobą dostrzegł ślad ruchu znikającego w trzcinach. Gdzieś tam, między liśćmi. Białka oczu.

–Kto tu jest? – spytał. Oczy zamrugały, po chwili pojawiły się po drugiej stronie drewnianej ścieżki –

białoblękite, pełgające jak płomień.

–Kto tu jest? – szepnął Torak. Wszędzie wokół świeciły oczy. Brzęczenie w uszach stało się rozdzierającym głowę wyciem.

Na wpół jęcząc, na wpół szlochając, Torak ruszył biegiem ku najbliższej kładce, tej ze skórą żmii. Unosząca się na wodzie belka zachwiała się, poddała naciskowi i zrzuciła go w głębinę. Mętna woda Jeziora zamknęła się nad jego głową. Opadał coraz niżej, próbując chwytać trzcinowe łodygi, złapać za bał na ścieżce, cokolwiek. Wszystko wyślizgiwało mu się z rąk, nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Kiedy Wilk skoczył za nim, rozległ się plusk i powstała chmura pęcherzyków powietrza. Torak za wszelką cenę chciał dopłynąć do jego łap, ale Wilk przepadł.

Wilku! – krzyczało mu w głowie. Ale jego brata ze stada już nie było.

Płynął na oślep przez oślizgłą masę szuwarów.

Nagle skończyły się szuwały, woda była zimna jak lód, a on posuwał się niezdarnie nad bezdenną ciemnością.

Obudziło go coś oślizgłego, co przesuwano się nad jego twarzą. Otrząsnął się i ocknął. Kątem oka zobaczył znikający w poszyciu ogon pokryty uskami. Leżał na stosie gnijących sosnowych igieł na skraju milczącego Lasu. Tuż pod nim

plaża wysypana kamykami koloru węgla drzewnego schodziła ku krzemiennym rozbłyskom wód Jeziora.

Jak się tu dostał? Nie pamiętał.

Wschodni wiatr wył nad skałami, a Torak drżał z zimna. Jego ubranie było szorstkie i mokre, wciąż słyszał buczenie w uszach. Był głodny, brakowało mu Wilka, ale nie ośmielił się zawyć. Już nawet nie wiedział, czy potrafi. Mgła ustąpiła, ale

siwoszara mgiełka unosząca się nad wodą okradała słońce z ciepła. Na południowym krańcu plaży na straży stała trzcina. Jezioro rozciągało się aż po horyzont, ukośne, krzywe i niezachęcające. Torak wstał. Igły sosen leżały wzdłuż brzegu szerokimi łachami, jakby wymył je potężny potop. Drzewa zaś, chociaż Torak nie był tego do końca pewny, rosły, odchylając się od Jeziora. Pobiegł do Lasu.

Ptaki nie śpiewały, drzewa obserwowały go z ponurą zawziętością. Znalazł jakiś potok z mętną wodą i napił się, zobaczył kilka wysuszonych jagód – jeszcze z zeszłej jesieni – i je przełknął. W błocie zobaczył tropy – pajęczynę śladów, a za nimi ogon. Wiedział, co to za zwierzę, ale nie mógł sobie przypomnieć. Był tym przerażony. Kiedyś potrafił odczytać tropy każdego stworzenia w Lesie. Zastanawiał się, jak przeżyje. Nie miał śpiwora, łuku, strzał i jedzenia. Miał tylko toporek, nóż, na wpół opróżniony róg z lekami i woreczek ze zmoczonym krzesiwem. Na dodatek zapomniał, jak się poluje.

Teren piął się ostrzej w górę, a Torak dotarł do maleńkiego, smaganego wiatrem jeziora, przy którym słońce kłuło go w oczy, a od skrzeku żab bolała go głowa. Niepewnie, zataczając się, wrócił między drzewa, ale przewróciły go i podrapały mu twarz. Nawet Las zwrócił się teraz przeciwko niemu.

Skończyły się drzewa. Był z powrotem przy trzcinach. Powłócząc noga za nogą, ruszył skrajem Lasu, aż doszedł do miejsca, w którym pas trzcin zwęzał się do skrawka cienkiego jak strzała.

Za nim wznosiła się wysoka, granitowa skała. Wyglądała dziwnie pociągająco. Jarzębina i jałowiec trzymały się kurczowo jej pęknięć, a paprocie i orchidee drżały w mgiełce wodospadu. Krążyły nad nią jaskółki i kruki, po obu stronach Torak zauważył wyryte w skale postacie ludzi, łosi, ludzi – wykute młotkiem w kamieniu i pomalowane na zielono. Domyślił się, że woda wypływa z leczniczego źródła Wydr. Gdyby mógł tam dotrzeć... Pałki tataraku wydały z siebie grzechocący dźwięk, ostrzegając, żeby się nie ruszał z miejsca.

Słońce zaczęło zachodzić, ścieżka skręciła na południe, a on znalazł się nad Jeziolem, przedzierał się przez opadłe szpilki sosen na plaży koloru węgla drzewnego. Zatrzymał się. Rozpoznawał tę plażę. Stąd zaczął marsz.

Przyszła mu do głowy straszna myśl.

Chciał się przekonać, czy ma rację i ruszył do lasu po własnych śladach. Szedł, aż dotarł do tataraku, tym razem jednak skręcił na południe, a nie na północ. Już zmierzchało, kiedy w końcu dotarł do plaży. Ta sama plaża. Te same ślady. Jego własne. Wyspa. Jezioro wyrzuciło go na wyspę, na którą nawet Wydry bały się przyplýwać. Był w pułapce – Jezioro odcinało mu drogę na wschód, a szuwary na zachód.

Wiatr poruszał gałęziami drzew. Spojrzał na nie. Jak one się nazywają?

– Sosna – mruknął niepewnie – brzoza... jarzębina?

Słuchaj, co ci mówi Las – tak mówił mu Tata. Ale Las już do niego nie przemawiał.

Zebrał gałązki chrustu na podpałkę, wrócił na ślepo ku plaży i złożył je w zagłębieniu głazu, żeby Wydry go nie zauważyły. Na początku krzemień nie chciał krzesać iskier, ale w końcu mu się udało. Mruczając coś do siebie, pochylił się nad

ogniem.

Samotny krzyk rozległ się nad Jeziorem. To czerwonooki ptak, który go zdradził przy szuwarach. Przyłączyły się do niego inne głosy. Nie ptaków. Wilków. Torak skoczył na równe nogi i wyciągnął nóż. Zawsze uwielbiał pieśń wilków. Teraz go jednak przeraziła.

Inny wilk zawył do stada. Torak znał to wycie. To był Wilk, jego Wilk – nie rozumiał jednak, co mówi. Znany głos stał się tak niezrozumiały jak miauczenie rysia.

–Wilku – krzyknął Torak. – Wracaj! Wilk jednak nie wrócił.

Wilk go porzucił. Torak zacisnął dłonie opuszczone po bokach. Niech więc tak będzie.

Wilk biegł przez Las. Gdzie jest Wysoki Bezogon?

W jednej chwili byli razem, walczyli z Wielką Wilgocią a w następnej już go nie było! Wilk próbował wyć, ale Wilgoć z rykiem wdarła mu się w gardło i spanikował. Zapomniał o Wysokim Bezogonie, zapomniał o wszystkim, myślał tylko o tym, żeby przebierać jak najszybciej łapami – aż dotarł do suchego łądu.

Teraz biegał tam i z powrotem, zataczał koła, łapiąc tropy. Zwąchał paproć i bobra, wydrę i żurawinę; słyszał bezogony na ich pływających trzcinach, Ukrytych wślizgujących się z Wilgoci i wślizgujących się w nią z powrotem. Zżerał go niepokój. Może Wysoki Bezogon jest już Bez Oddechu?

Między drzewami rozbrzmiał okrzyk – rozpaczliwe wycie bezogona.

Wilk zatrzymał się, poruszył uszami, podniósł pysk. Złapał zapach. Wysoki Bezogon! Wilk ruszył biegiem wzdłuż ścieżki zapachowej. Kluczył między drzewami, długimi skokami

pokonywał kępy paproci i w końcu odnalazł brata ze stada skulonego za głazem na skraju Wielkiej Wilgoci, tuż przy małej Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Gorąco.

Wilk wyprysnął spomiędzy drzew, Wysoki Bezogon odwrócił się ku niemu i patrzył.

Wilk kilkoma długimi skokami przefrunął nad czarnymi kamieniami i rzucił się na swojego brata, opierając łapy na piersiach i liżąc go po pysku.

Wysoki Bezogon go odepchnął.

Po czym zamachnął się na Wilka swoim wielkim pazurem.

Wilk odskoczył.

Wysoki Bezogon znów zaatakował, krzycząc coś w bezogoniej mowie.

Wilk usłyszał w tym krzyku przerażenie, ujrzał je w pięknych, srebrnych oczach. Jak to możliwe? Przecież Wysoki Bezogon nie może się go bać!

Zdumiony Wilk usiadł. Czuł, że z piersi wyrywa mu się popiskiwanie.

Nagle Wysoki Bezogon chwycił ramię Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Gorąco i rzucił się na Wilka – rzucił się na niego z Jasną Bestią w dłoni! Wilk odskoczył, ale Jasna Bestia uderzyła go w pysk, aż zawył z bólu.

Wysoki Bezogon odsłonił zęby, warcząc, i zaatakował raz jeszcze. Wilk nie mógł zrozumieć, co mówi, ale wiedział, co znaczą jego okrzyki: Wynoś się! Nie jesteś już moim wilczym bratem! Wynoś się!

Wilk umknął, czując ból i przerażenie.

Wilk zniknął, a Torak stał drżący na plaży.

Był wyczerpany, ale nie odważył się zasnąć. Gdyby zasnął, przyszliby po niego.

Wilki. Klan Wydry. Ukryci Ludzie. Pożeracze Dusz. Wszyscy, wszyscy byli przeciwko niemu. Ściskając w dłoniach toporek i nóż, kołysał się do przodu i do tyłu, patrząc w płomień. Był głodny. Powinien pozostawiać pułapki i rzucić linki do wody, żeby coś się złapało, ale nie pamiętał jak.

Zaczął przysypiać.

Przyszły do niego czerwone oczy. Obudził się z krzykiem. Oczy były prawdziwe.

Nie czerwone, ale żółte. Wilcze oczy.

Chwycił płonąca gałąź, zaatakował, wycinając cienie pobłyskującym ogonem iskier.

Wilki się wycofały. Oczy miały puste i przerażające. Nie wydawały z siebie żadnego dźwięku. Między nimi był Wilk. Wilk, który kiedyś był jego bratem, ale teraz go opuścił.

Głowę miał opuszczoną, zamiatał ogonem, Wilk zbliżał się do niego coraz bardziej ze złymi zamiarami.

Torak czuł, że coś go ściska za serce. Wilk przyszedł, żeby go drażnić. Widzisz, mam teraz nowe stado! Już cię nie potrzebuję!

–Odejdź i zostaw mnie w spokoju – szepnął Torak. Wilk postawił uszy. Ogon mu znieruchomiał.

–Wynoś się – warknął Torak. Zamachnął się gałęzią na Wilka, który uskoczył mu z drogi. Wilki przyglądały się

temu nieruchomo, bez mrugnięcia okiem. Później, jeden za drugim, odwróciły się i truchtem pobiegły do Lasu. Wilk był ostatni. Przez chwilę jeszcze patrzył na Toraka. Później zniknął jak mgła.

Kiedy odszedł, zrobiło się zupełnie cicho.

Wielki czarny ptak przeleciał Torakowi nad głową, wydając z siebie pełne niechęci krakanie. Próbował sobie przypomnieć, jak się nazywa. Kruk. Klan Kruka... Renn. Kiedyś była jego przyjaciółką. Może nie? Nie mógł sobie przypomnieć jej twarzy.

Dotknął rozognionej rany na klatce piersiowej. Było coś, co miał zrobić... Pożeracze Dusz. Miał zamiar udowodnić, że nie jest jednym z nich. Żeby klany go przyjęły. Wydawało mu się, że wszystko to działo się tak dawno temu.

Słońce schowało się za drzewa, cienie wypełzły na plażę, a on siedział przy dogasającym ognisku. Brzęczenie w uszach przybrało na sile. Było nie do wytrzymania. Wyczuwał wokół siebie Ukrytych Ludzi przyglądających się, czekających. Gorączkowo zaczął dorzucać gałęzi do ognia.

Blady księżyc wszedł na błękitnym niebie i Torak przypomniał sobie, że dziś jest Noc Środka Lata. Tej nocy się urodził.

–Mam czternaście lat – mruknął. Nawet własny głos wydawał mu się szorstki i nierozpoznawalny. – Masz czternaście lat. Wszystkiego najlepszego, Torak.

Zaczął się śmiać jak szaleniec.

Zataczał się ze śmiechu i nie mógł przestać.

Fin-Kedinn zanurzył oszczep w ogniu i obłok iskier otoczył poroże, które miał

przytwierdzone do głowy. Kruki zakrzyknęły radośnie, a dumne, szczęśliwe drzewa zaszeleściły liśćmi, przypieczętowując ich radość. Trwała Noc Przesilenia, noc, podczas której klan czczą Las, chodząc wokół ognia zgodnie z kierunkiem ruchu słońca, przyozdabiając drzewa naszyjnikami z kości i jagód. Wszyscy byli szczęśliwi oprócz Renn. Wzięcie udziału w radosnej uroczystości byłoby dla niej równoznaczne ze zdradzeniem Toraka. Dzisiejsza noc była jasna jak dzień. Jak może siedzieć tu, cieszyć się zapiekanką z wątroby łosia i mięsem z dzika pieczonym na ogniu? Minała bez mała księżyc od spotkania klanów, prawie dwa od chwili, gdy Torak został wyrzucony. Bez przerwy za nim tęskniła. Cały czas czuła się nieszczęśliwa, jakby miała kamień w sercu.

–Jeżeli coś mu się stanie? – spytała dziś rano Fin-Kedinna. – Jeżeli spadnie z czegoś i złamie sobie nogę, nie będzie mógł polować.

–Jest twardy – odparł jej wuj. – Już kiedyś przeżył sam w lesie, to i teraz da sobie radę.

–Ale jak długo?

Na to Fin-Kedinn nie miał odpowiedzi. Od czasu spotkania klanów Kruki przeniosły się na wschód wzdłuż Rzeki Rękojeści

Topora, a Renn, kiedy tylko mogła, w tajemnicy przed innymi przeczesywała las, próbując znaleźć ślady Toraka. Na próżno. Czasami budziła się nocą i zastanawiała, co będzie, jeżeli nigdy nie wróci. Nie miała pojęcia, czy odprawił rytuał, ale czuła, że coś poszło nie tak. Znaki źle wróżyły. Żałowała, że nie wie, co oznaczają.

Dotknęła blizny w miejscu, gdzie róg łosia rozdarł jej przedramię. Rana się już zablizniła, ale wspomnienia o tym wydarzeniu były wciąż świeże. Gdyby znajdujący się w pobliżu myśliwi nie usłyszeli wtedy jej krzyku...

Wkrótce po spotkaniu klanów nagle zniknął Aki. Jego przyjaciele nie znaleźli niczego oprócz resztek łodzi. Renn miała okropne przeczucie, że Torak maczał w tym palce. Wydawało się, że nikogo to nie obchodziło. Wszyscy udawali, że Torak nie istnieje.

Po drugiej stronie ogniska Bale skręcał powróż z jeżyn na girlandy. Związał włosy z tyłu kawałkiem foczej skóry i dzisiaj wydawał się bardzo przystojny. Renn go nie znosiła. Został z klanem Kruków, kiedy reszta jego ludzi wróciła na wyspy, ale zamiast próbować znaleźć Toraka, tylko polował na wybrzeżu w swojej bezcennej łodzi obciążonej skórą. Dziewczyna była rozczarowana. Spodziewała się po nim czegoś więcej.

–Oby Duch Świata chodził pod twoimi gałęziami – Fin-Kedinn zwracał się do Lasu. – Obyś rósł silny i siał wiele ziaren, z których wyrastają młode drzewka!

Nagle Renn stwierdziła, że dłużej tego nie zniesie. Zerwała się na równe nogi i uciekła z obozowiska.

Czarownica Kruków siedziała przykucnięta na brzegu rzeki jak żaba. Odeszła od świętujących, żeby rzucić wróżebne kości. Teraz patrzyła na Renn bez emocji.

–No, tak. W końcu przyszedłeś do mnie po pomoc.

–Nie – odparła Renn. – Nigdy nie pragnęłam twojej pomocy.

–Ale i tak po nią przyszedłeś. Dziewczyna zacisnęła zęby. Usiadła gwałtownie

między kępami paproci i strząsnęła z siebie liść łopianu.

–Widzę znaki. Nie wiem, co oznaczają. Naucz mnie, jak je odczytywać.

–Nie – powiedziała Saeunn. – Jeszcze nie jesteś gotowa. Renn popatrzyła na nią przeciągle.

–To ty zawsze mnie zmuszałaś, żebym się uczyła Magii!

–Jeżeli spróbujesz teraz odczytywać znaki, może ci się stać krzywda.

–Co ty powiesz! – rzuciła z przekąsem. Czarownica Kruków narysowała kosturem okrąg w błocie i umieściła w nim trzy matowe białe kamyczki.

–Twój talent polega na łączeniu znaków tak, żeby układały się we wzór.

Dotychczas rozwiązywanie podsuwały ci sny. Jeżeli chcesz to robić z własnej woli i za dnia, będziesz musiała całkowicie otworzyć umysł.

Renn uniosła dumnie brodę.

–To potrafię.

–Głupia dziewczucha! – Saeunn uderzyła kosturem o ziemię. – Niczego się nie nauczyłaś? Twoja moc straszliwie urosła wraz z pierwszym miesięcznym krwawieniem, ale ta

moc jest surowa, niewypróbowana! Otwarcie umysłu może się skończyć śmiercią! Dla ciebie i dla innych!

Przez chwilę wpatrywały się w siebie niechętnie – starucha i dziewczyna, połączone jedynie więzami Magii, która nie wybaczała żadnego potknięcia.

Renn pierwsza odwróciła wzrok.

–Dlaczego mu nie powiedziałaś, że jest bez klanu?

–Jego czas jeszcze nie nadszedł.

–Jak mogłaś zatrzymać dla siebie taką informację?

–Ty też nie wszystko mu zdradziłaś. – Renn się wzdrygnęła. – Chłopakowi jest pisany jego własny los – ciągnęła Czarownica Kruków. – To zaś część jego losu. Podobnie jak wyrzucenie poza obręb klanu.

Renn chciała zapytać o więcej, ale wtedy na ścieżce pojawił się Bale. Kazała mu odejść, ale jej nie posłuchał.

–Jeżeli chodzi tu o Toraka, mam prawo posłuchać – zwrócił się do Saeunn. – Jestem jego krewnym.

–Dlaczego nie zachowasz się więc jak krewny? – zapytała oskarżycielskim tonem Renn – Czemu nie ruszysz mu na pomoc?

–Dlaczego ty siedzisz na tyłku? – odparował.

–Nikomnie nie wolno pomagać wyrzutkowi – przypomniała im Saeunn.

–Dziecinne spory i przepychanki też nikomu nie pomogą – powiedział Fin-Kedinn, stając za plecami Bale'a.

Saeunn wskazała palcem Renn.

–Ona mówi, że widzi znaki. Dziewczyna się zjeżyła. Nie była jeszcze gotowa, żeby rozmawiać o tym z wujem, a

już na pewno nie z Bale'em.

–Jakie znaki? – spytał Fin-Kedinn, siadając na brzegu rzeki i nakazując Bale'owi

gestem uczynić to samo.

Renn skubała dziurę na kolanie skórzanej nogawicy.

–Zabrał ci toporek. Sięgnął do mojego woreczka z lekami i wziął kamyczek, który dał mi zeszłego lata. Wędrował duchem w ciele łosia i... zaatakował mnie.

–Nigdy w życiu nie uwierzę, że to Torak – powiedział Bale.

–Naprawdę, nie zmyślam – warknęła.

–Ten kamyczek – wtrąciła się Saeunn. – Czemu nikt mi nie powiedział?

–Dlaczego miałabym ci mówić? – mruknęła Renn.

–To opowiedz mi o tym teraz – rzekła Czarownica Kruków. Dziewczyna przełknęła ślinę.

–Zrobił na nim swój znak. Sokiem z olchy.

–Swoj znak? – spytała Saeunn. – Tatuaz klanowy?

–Aż do blizny na policzku.

–Och – westchnęła ciężko Czarownica Kruków. Renn poczuła się niepewnie.

–Ja... zatrzymałam ten kamyczek. Ale podczas spotkania klanów Torak wszedł do szału i wziął go ze sobą.

Wiem dlaczego, pomyślała nieszczęśliwa. Zabrał go, żeby mi powiedzieć, że już nie wróci.

–No tak. – Saeunn podniosła jeden z trzech białych kamyczków rzecznych i obracała go w palcach. – Teraz wszystko jasne.

–Co jest jasne? – spytała Renn. Czarownica Kruków pochyliła się i Renn zobaczyła pajęczynę śliny oklejającą jej bezzębne dziąsła.

–Wyrzutek zapadł na chorobę dusz – powiedziała Czarownica Kruków. Przez moment panowała cisza, po czym Bale i Renn odezwali się równocześnie.

–Co to takiego? – spytał Bale.

–Czy to przez tatuaże Pożeracza Dusz? – spytała Renn. – Próbował wyciąć znak, to nie poskutkowało i dlatego zachorował?

–Przez tatuaże? – prychnęła Saeunn. – Nie, nawet bez tatuaży dusze zapadają na choroby, jak ciało. Stają się ofiarami demonów. Zakłęcz.

Potrząsając dłońmi, wyjęła z woreczka z lekami trzy małe, nieregularne w kształcie kości i ułożyła je na czarnej ziemi. Dotknęła pierwszej pokrzywionym palcem wskazującym.

–Jeżeli zachoruje dusza twojego imienia, zapominasz, kim jesteś. Jesteś jak duch. – Dotknęła drugiej.

–Jeżeli choroba zaatakuje twoją duszę klanu, przestajesz rozróżniać dobro i zło. Jesteś jak demon. – Jej szponiasty paznokieć przesunął się nad ostatnią kość.

–Jeżeli choroba porazi twoją duszę świata, tracisz łączność z innymi istotami żyjącymi, z myśliwymi, zwierzyną, Lasem. Stajesz się Zagubionym. – Pochyliła dłoń, upuściła kamyczek, który uderzył w kość duszy świata, a ta podskoczyła, jakby była żywa. – Jeżeli kamyczek z jego imieniem trafi w niewłaściwe ręce...

Renn zacisnęła powieki.

–Nie wierzę w to – stwierdził Bale. – Torak nie jest chory. Jest wściekły. Ja też

byłbym wściekły, jeżeli wyrzucono by mnie za coś, czym nie zawiniłem.

Czarownica nastroszyła się, jak rozgniewany kruk, ale Fin-Kedinn włączył się:

–Uważam, że Saeunn ma rację. Torak zapadł na chorobę dusz. Ale kto mu to zrobił? Który z trzech?

–Masz na myśli Pożeraczy Dusz – domyśliła się Renn.

–Troje z nich przeżyło bitwę na lodzie – powiedział Fin-Kedinn. – Thiazzi, Eostra, Seshru. Podczas spotkania klanów rozmawiałem z ludźmi z całego Lasu i z tymi, którzy mieszkają daleko za nim, szukałem oznak i wskazówek, dokąd mogli się udać. Nikt nie widział nawet śladu po nich. – Przerwał. – Wydaje mi się jednak, że sposób, w jaki ujawnił się tatuaż Toraka, to, że wędrował duchem w ciele łośia, to widome znaki jakiegoś silnego umysłu, który działa całkiem niezależnie.

Saeunn skinęła głową.

–Jednego umysłu, ale którego? Przez całe dni pościłam i czytałam z kości. Czuję, że Czarownik Dębu i Czarownica Puchacza są bardzo daleko. Jedyłą, która nawiedza Las, która przyciąga wyrzutka, jest Seshru, Czarownica Żmii.

Fin-Kedinn pochylił głowę. Renn wbiła paznokcie w skórę dłoni. Bale był zdezorientowany.

–Ale... to tylko jedna kobieta. Ile złego może wyrządzić?

–Więcej, niż ci się wydaje – odparł Fin-Kedinn. Saeunn zwróciła się teraz do Renn.

–Ty ostatnia ją widziałaś. Powiedz mi, jaka ona jest. Dziewczyna nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa. Była znów w kamiennym lesie, otoczona pełgającym światłem łuczywa, wokół siebie czuła smród jatki, wpatrywała się w kręcącą się w kółko wężową, kosmatą maskę Czarownicy Żmii, wirującą, syczącą w poszukiwaniu Innego Świata, wypatrującą go martwymi, pustymi oczami...

–Renn – przywołał ją cicho Fin-Kedinn. Dziewczyna westchnęła głęboko.

–Ona robi wszystko tak jakoś bokiem, jak wąż. Bez przerwy kłamie. Każe ci widzieć rzeczy, których naprawdę nie ma. Każe ci robić różne rzeczy...

–Nie rozumiem – stwierdził Bale. – Rozmawiałem z ludźmi z klanu Żmii podczas spotkania, a oni mówili, że nigdy nie mieli czarownicy, która zamieniła się w Pożeraczkę Dusz. Więc jak ta Seshru może być...

–Ona jest jak wąż – przerwał mu Fin-Kedinn. – Zrzuca z siebie jedną osobę i staje się inną.

Bale nie potrafił tego zrozumieć.

–Zmieniła sobie imię? Nikt przecież nie może tego zrobić, bo to jak śmierć!

–To właśnie oznacza bycie Pożeraczem Dusz – odparła Renn. – Poświęca się wszystko, czym się było. Żyje się tylko dla władzy i mocy.

Bale spojrzał na nią, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Fin-Kedinn podniósł kości i przesypywał je powoli z jednej dłoni do drugiej.

–Teraz już wiemy. Torak zapadł na chorobę dusz. Jest na łasce i niełasce Czarownicy Żmii.

–Czarownica Żmii nie zna łaski – powiedziała Saeunn.

Następnego dnia Renn obudziła się wcześniej rano i poszła porozmawiać z Fin-

Kedinnem. Znalazła go łowiącego szczupaki na mieliznach tam, gdzie potok wpadał do Rzeki Rękojeści Topora. Kiedy ją zobaczył, wciągnął linkę. Haczyk był pusty.

–O co chodzi, Renn? – spytał surowo. Domyślał się, po co przyszła.

–Nie chcę cię okłamywać – odrzekła. – Nie chcę się wymykać jak złodziej. Ale muszę spróbować...

–Nie, nic nie mów – ostrzegł. – Nie mów mi nic, czego nie mogłabyś powiedzieć przywódcy innego klanu.

Przygryzła wargi.

–On gdzieś tam jest. Sam. Zapadł na chorobę dusz.

–Wiem.

–Dlaczego więc nie pójdziesz ze mną?

–Bo wtedy ludzie powiedzą, że złamałem prawo klanowe. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Ze wszystkich ludzi na świecie właśnie tobie nie wolno tego robić. Co będzie, jeżeli już jest w jej mocy? Chłopak, który jest wędrującym duchem w rękach Pożeraczki Dusz. Nie umiem wymyślić groźniejszej mieszanki.

–Jest moim przyjacielem. Muszę spróbować. Rozumiesz, prawda? Fin-Kedinn nie odpowiedział.

–Rozumiesz?

Nagle wydał jej się zmęczonym starym człowiekiem.

–Już nie jesteś dzieckiem, Renn. Jesteś na tyle dorosła, że możesz sama dokonywać życiowych wyborów.

Nie, nie jestem! – chciała krzyknąć. Musisz mi pomóc! Powiedz, co mam robić!

Tamtej nocy, siedząc przy małym, dymiącym ognisku na brzegu Rzeki Rękojeści Topora, Renn czuła się samotna i przerażona. Łamanie prawa klanowego było jeszcze gorsze, niż myślała. Jeżeli to uczyni, odetnie się od swojego klanu i od Fin-Kedinna. Zbliżyła się do ognia i zadęła w gwizdek z kości pardwy, ale nie usłyszała odpowiedzi. Torak i Wilk byli daleko.

Czuła moc, która się w niej kotłowała. Jej tajemnice wychodziły na powierzchnię jak drzazgi wbite w skórę. Nie chciała się zajmować Magią, nienawidziła jej, ale czuła w głębi duszy, że jeśli ma pomóc Torakowi, będzie zmuszona spróbować. Gdzieś tam na wolności krążyła Seshru.

Nienawiść wypełniała jej serce. Rozumiała plan Pożeraczki Dusz tak jasno, jakby sama go wymyśliła. Seshru polowała na Toraka w ten sam sposób, w jaki opiekun jej klanu poluje na swoją zdobycz. Żmija zatapia trujące zęby w ciele ofiary, a następnie rusza za nią przez Las, jest tam, dokąd idzie ofiara, która powoli słabnie. Żmija jest cierpliwa. Czeka, aż upolowane zwierzę padnie. Dopiero wtedy zaczyna się pożywiać.

Dźwięk kropel z sykiem wpadających do ognia przywołał Renn do rzeczywistości. Nad nią stał Bale, trzymając na ramieniu obciążoną skórą łódź, z której kapłała woda. Renn usiadła poirytowana, że przyłapał ją na przysypianiu.

–Sądziłam, że wróciłeś na swoją wyspę – odezwała się zagniewana. Pomiął tę uwagę milczeniem.

–Myliłem się, a ty miałaś rację. Torak zapadł na chorobę dusz. Jest jednak gorzej, niż myśleliśmy.

Aki był ledwie żywy – powiedział Bale. – Udało mu się jakoś wyczołgać z wody i padł jak martwy w zarośla. Kilka dni później znalazł go ktoś z klanu Wilka.-Kilka dni? – spytała Renn. – Przecież zaginął prawie księżyc temu.

–Nie. Klan Dzika po prostu nie uważał za stosowne przesłać nam wiadomości, że Aki żyje.

–To typowe dla nich – stwierdziła oburzona. – Co klan Wilka robił tak daleko na wschodzie?

–Tropili Toraka – wyjaśnił Bale ponuro. – Żeby „raz na zawsze zmazać plamę na honorze”.

Renn pokręciła głową.

–Powiedzieli, dokąd zaprowadził ich ślad?

–Na wschód. Stracili go na polach trzcinowych przy Jeziorze Rękojeści Topora. Poczuela, że robi jej się zimno.

–Jezioro Rękojeści Topora? Dlaczego tam?

–Nie rozumiesz, co to znaczy? – zapytał Bale, pomijając jej pytanie. – Torak zostawił Akiego na pewną śmierć!

–Może nie wiedział, że Aki tam jest.

–Nieprawda, wiedział. Aki mówi, że widział, jak Torak patrzy na niego z półki skalnej. Później odwrócił się i odszedł. – Chłopak potarł policzek. – Wiem, że Aki na niego polował, ale tak go zostawić na pewną śmierć... To niepodobne do Toraka!

Renn wpatrywała się w ogień. Bale ma rację. Ale dlaczego Jezioro Rękojeści Topora? W tym jest gdzieś ukryty jakiś sens, ale ona nie potrafiła go dostrzec. Wiedziała tylko, że ze wszystkich miejsc w znanym jej świecie najmniej chciaaby odwiedzić właśnie to jezioro. Jej ojciec stracił życie na jego wschodnim skraju. Obiecywała sobie, że nigdy tam nie wróci.

Bale położył łódź na ziemi i ściągnął skórzaną kurtkę.

–Będziesz próbowała go odnaleźć, prawda? Nie odpowiedziała.

–Dlaczego teraz, jeżeli wcześniej nie chciałaś?

–Chciałam. Opowiedziała mu o poszukiwaniach w Lesie.

–Ja też go szukałem – odparł, zaskakując ją.

–Ty? Byłam pewna, że polujesz z klanem Orła Bielika.

–Polować? – Bale był obrażony. – Kiedy Torak został wyrzucony z klanu?

Zastanawiała się przez chwilę. Wreszcie się odezwała:

–Czy wiesz, że łamiemy prawo klanowe? Jeśli powiesz komukolwiek...

–Oczywiście, że wiem. To dotyczy przecież i ciebie. Przyglądali się sobie niepewnie. W końcu Bale powiedział:

–Złapałem rybę. Mogę ją upiec na twoim ognisku? Renn wzruszyła ramionami. Był to imponującej wielkości leszcz. Bale zaproponował

jej kawałek – najpierw odmówiła, ale później zmieniła zdanie, kiedy poczuła zapach ryby

pieczonej na ogniu. W zamian dała mu trochę swojego suszonego mięsa i pokazała, jak smarować je zimnym sosem z jagód jałowca i tłuszczu ze szpiku kostnego.

Jedząc, rozmawiali, ale uważali na każde słowo. Bale opowiedział jej, jak przygotował swoją obciążoną skórą łódź na „przeprawę” przez słodką wodę, nasączając ją foczym tłuszczem i popiołem z wodorostów, a Renn pokazała mu osłonę na łuk z foczej skóry, którą podarowano jej na Dalekiej Północy. Nie wspomniała jednak nic o tym, że odgadła plany Seshru. Bale był krewnym Toraka, ale przecież niezbyt dobrze go знаła, a jeżeli dojdzie do bitwy na siłę woli między nią a Czarownicą Żmii, on będzie chciał się wtrącić. Z drugiej strony... Jest silny i ma skórzany kajak.

Zastanawiała się jeszcze nad tym wszystkim, kiedy Bale wstał, podniósł swój worek i zarzucił kajak na ramię.

Spytała, dokąd się wybiera.

Na Jezioro Rękojeści Topora. Możesz wracać do swojego klanu. Ja znajdę Toraka.

Co takiego?

W mojej łodzi na pewno nie popłyniesz.

Nawet mi to przez myśl nie przeszło – skłamała.

Jeżeli będziesz szła lądem, nie dotrzymasz mi kroku. – Zobaczył wyraz jej twarzy i westchnął. – Tam, skąd ja pochodzę, kobiety zostają na łodzi. Mężczyźni polują i walczą.

Ale nie w Lesie – prychnęła Renn.

Może i nie. Ja jednak jestem z klanu Foki i postępuję według naszych zwyczajów. Wracaj do obozowiska, Renn. Ze mną nie płyniesz.

Z niedowierzaniem patrzyła, jak znika w cieniu.

Nawet jeżeli dotrzesz do Jeziora, co wtedy zrobisz?! – zawołała za nim. – Nic o nim nie wiesz! Nic nie wiesz o Wydrach.

Zarzykuję – odparł.

Doskonale! Jedno ci powiem: nie pobijesz Pożeraczy Dusz swoim wiosłem!

To się jeszcze zobaczy!

tf _____

Na pewno – warknęła Renn, przedzierając się przez kolczaste zarośla. Wzdłuż tej części Rzeki Rękojeści Topora nie było szlaku – przynajmniej takiego, który Renn potrafiłaby znaleźć – było jej gorąco, była podrapana i wściekła. Nie pomagało jej to, że wyobrażała sobie Bale’a, który zadowolony z siebie pędzi kajakiem w górę rzeki.

Odpoczęła nad wodospadami, później z trudem przedzierała się przez rosnący na podmokłym gruncie olchowy zagajnik. W tym miejscu rzeka się rozlewała i wiele klanów przychodziło tu łowić ryby. Renn zauważyła, że ktoś w kilku rozlewiskach ustawił pułapki na ryby i zarzucił linki. Zastanawiała się kto to, kiedy na brzegu dojrzała błysk jasnych włosów.

Bale jej nie zauważył. Klęczał przy kajaku odwróconym dnem do góry i naprawiał małe rozdarcie w kadłubie.

–Jakieś problemy? – zawołała.

–Zahaczyłem o pułapkę na ryby – odparł, nie oglądając się za siebie.

–To straszne – odezwała się Renn przekornie.

–To niesprawiedliwe – wybuchnął. – Tak zastawiać pułapki, żeby każdy mógł na nie wlecieć! Powinni byli zostawić jakiś znak!

–Zostawili. Widzisz te strzępy kory sosnowej przywiązane do gałęzi? To właśnie ludzie Lasu zostawiają jako znak ostrzegawczy, kiedy łowią ryby.

Bale zacisnął tylko zęby.

–No, to życzę szczęścia – pożegnała go Renn z uroczym uśmiechem. – Mam nadzieję, że ta przygoda nie zwolni tempa twojej podróży!

Rzucił jej piorunujące spojrzenie. Wciąż się uśmiechała, kiedy zostawiała go nad rozlewiskiem.

Ale uśmiech długo nie gościł na jej twarzy. Po drugiej stronie rzeki zobaczyła początek żlebu, gdzie ona i Torak pierwszy raz spotkali Wędrowca – dwie jesienie temu. Wilk był wtedy szczeniakiem. Kiedy bolały go łapy od chodzenia po skale, Torak niósł go na rękach.

Renn poczuła dojmującą tęsknotę.

Sosny ustępowały powoli wysokim jak wieże dębom i las stawał się czujny. Renn żałowała, że Bale nie przemyka obok niej w swoim kajaku. Przecież zaszycie tego rozdarcia nie mogło mu zająć aż tyle czasu?

Nieco dalej dwa małe jelonki wychynęły z zagajnika i kołyszącym się krokiem ruszyły w jej kierunku na maleńkich kopytkach. Były niemal w zasięgu jej ręki, kiedy przestraszyły się i uciekły.

Renn położyła dłoń na kruczych piórach. Gdy jakieś leśne stworzenie specjalnie wchodzi ci w drogę, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę, to często jest znak. Co to miało znaczyć?

Było późne popołudnie, kiedy wspinała się na szczyt, który klany nazywają Grzbietem Wieprza, a później stała na grani, spoglądając na Jezioro Rękojeści Topora. Słońce nisko

wiszące nad horyzontem zalewało wodę oślepiająco złotym kolorem. Renn zobaczyła kruche jak liście wysepki rozproszone na wodzie, a tuż pod sobą olbrzymią połąkę szuwarów stojących na straży zachodniego wybrzeża. Dalej na południe dostrzegła czarne kropki obozowiska Wydr, a na wschód okrutną białą linię przecinającej krajobraz Rzeki Lodu.

Kiedy stała tu ostatni raz, miała zaledwie osiem wiosen – przestraszona, zdumiona, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej ojciec już nigdy nie wróci. Wydry znalazły jego ciało, a Fin-Kedinn i Saeunn ruszyli uratować jego rozproszone dusze. Fin-Kedinn nalegał, żeby Renn poszła z nimi. Stali wtedy na szczycie Grzbietu Wieprza i wpatrywali się w to olbrzymie, wewnętrzne Morze.

–Dlaczego odszedł tak daleko? – pytała wuja. – Na Rzece Lodu nie ma żadnej zwierzyny.

–Nie polował na zwierzynę – mruknął Fin-Kedinn.

–Dlaczego więc?

–Powiem ci, jak będziesz starsza.

Wziął ją za rękę, poczuła jego mocny, ciepły uścisk i trzymała się kurczowo dłoni wuja.

Teraz była znów na Grzbiecie Wieprza, ale Fin-Kedinn nie stał u jej boku i nie mogła się do niego przytulić.

Kiedy zeszła w dół zboczem, zaczęła sobie zdawać sprawę z beznadziejności swojego zadania. Nie miała pojęcia, dokąd poszedł Torak, i nie było kogo spytać. Wzdłuż brzegu nie prowadziła żadna ścieżka, bo Wydry nie potrzebowały ścieżek – zawsze podróżowały wodą. Nawet jeśli dotrze do ich obozowiska piechotą co dalej?

Zaczynała się rozglądać za drogą na południe, kiedy usłyszała w trzcinach jakieś poruszenie.

–Bale? – spytała niepewnie.

Żadnej odpowiedzi. Tylko szelest i trzask w tataraku, jakby coś się ku niej przeciskało. Zrobiła krok w tył na grząskim gruncie.

–Bale! – szepnęła. – Jeżeli to ty, to pokaż się natychmiast, bo to nie jest śmieszne! Wiatr się odwrócił, zalewając ją smrodem, który zakleił jej gardło. Szuwary zadrżały,

rozdzieliły się, a w jej kierunku płynęła łódź. Z wnętrza gapił się na nią zielony człowiek zrobiony z mokrego tataraku. Renn odskoczyła i wpadła na coś twardego.

–Cóż to jest? – powiedział stojący za nią Bale.

–Co to było? – powtórzył, kiedy wycofali się na bezpieczną odległość do zatoki na południowym brzegu trzciny.

–Zrobiły to chyba Wydry, żeby oddać cześć Jezioru – odparła Renn. – Wkładają do łodzi pożywienie, wypychają na wodę, żeby popłynęła, dokąd chce. Jest święta. Nie powinniśmy byli jej oglądać.

Bale przygryzł wargi.

–Cieszę się, że cię znalazłem. To miejsce... w ogóle go nie rozumiem. Renn wzruszyła ramionami.

–Co mogę powiedzieć? Potrzebuję łodzi, więc ja też – się cieszę, że mnie znalazłeś. – To nie zabrzmiało tak przyjaźnie, jak chciała, mówiła więc szybko dalej: – Zanim cokolwiek zrobimy, musimy oddać cześć Jezioru. Wydry proszą je o pozwolenie na wszystko.

Bale skinął głową.

–Co mamy robić? Nieco zakłopotana Renn zostawiła przy trzcinach ofiarę z ciasta łososiowego.

Następnie zrobiła pastę z czerwonej gliny i jeziornej wody, nałożyła sobie część na czoło, a część na łuk, prosząc w ten sposób Jezioro, żeby pozwoliło im iść w pokoju. Bale pozwolił jej naznaczyć swoje czoło i – po dłuższym przekonywaniu – również swój skórzany kajak. Zjedli posiłek złożony z suszonego mięsa jelenia, Bale zrobił pułapkę na ryby z wierzbowych gałązek i ustawił ją w wodzie.

Słońce zeszło jeszcze niżej i wiatr ustał. Powierzchnia Jeziora zrobiła się gładka jak wypolerowany bazalt.

–Czarownica Żmii – odezwał się cicho Bale – chce schwytać Toraka, bo on jest wędrującym duchem. Prawda?

–Tak – odparła Renn. Wolałaby, żeby Bale nie wspominał imienia Seshru.

–Jej chodzi też o opal ognia.

–Tak – powtórzyła, ścisząc głos, i dodała: – Została ostatnia cząstka. Jedna zaginęła w czarnym lodzie razem z Czarownicą Nietoperza. Jedną zabrało Morze, kiedy utonął Czarownik Fok.

–Czarownik Fok? – Bale był zdumiony. – On miał cząstkę opalu ognia?

–Jak inaczej mógłby stworzyć tokoroga? Bale zmarszczył czoło. Renn domyślała się, że przypomina sobie złe czasy na wyspie,

kiedy Czarownik Fok rzucił chorobę na ludzi. Młodszy brat Bale’a był jedną z ofiar zarazy. Samotny, drżący krzyk odbił się echem nad Jeziorem. Bale skoczył na równe nogi.

–Co to?

–To ptak nurek – wyjaśniła Renn. – To najlepsi pływacy w Jeziorze. Im również Wydry składają ofiary. – Przerwała. – Fin-Kedinn mówi, że Wydry są takie, jak opiekun ich klanu. Zostawiają zawsze trochę na wpeł przeżutego rybiego mięsa na skraju wody.

Gdzieś zatrzepotał pstrąg, a oni podskoczyli. Bale się otrząsnął i poszedł sprawdzić pułapkę na ryby. Dziewczyna pozostała na brzegu nieszczęśliwa.

–Renn – zawołał Bale zmienionym głosem.

–Co takiego?

–Lepiej chodź i zobacz.

Olbrzymia ryba rzucała się i wiała w pułapce, próbując złapać oddech. Byłby to świetny połów, ale zdobycz miała dwie głowy. Druga, dziwacznie ukształtowana głowa bez pyska była wybrzuszeniem podobnym do wielkiego kasztana i walczyła wraz ze swoim bliźniakiem ze zdumiewającym wigorem. –Czyje to dzieło? – skrzywił się Bale.

–Zabij to – powiedziała Renn.

–Nie! – rozległ się za nimi rozkazujący głos. – Wyrzuć to do wody. Nie dotykaj! Odwrócili się i zobaczyli kilka zielonych twarzy i ostrych dzid. Bale wyszedł przed Renn, ale ona zrobiła krok w bok. Trzymając zaciśnięte pięści przy sercu, zwróciła się do kobiety, która – sądząc z naramiennika z wydrzego futra – była ich przywódczynią.

–Jestem z klanu Kruka – powiedziała. – Mój przyjaciel jest z klanu Foki. Nie chcemy nikomu zrobić krzywdy.

–Nie gadać! – rozkazała kobieta. Następnie zwróciła się do pozostałych: – Zwróćcie tę przeklętą rzecz Jezioru. Bierzemy obcych do obozowiska.

–Ale dlaczego, Anando? – zaprotestował jakiś mężczyzna. – W takiej chwili jak ta...

–W takiej chwili jak ta, Yolunie – przerwała mu przywódczyni – nie możemy ich puścić wolno, bo wszystko popsują.

Człowiek o imieniu Yolun zacisnął usta i zamilkł, a dwóch pozostałych zniszczyło pułapkę i uwolniło potwora.

Później wszystko działo się bardzo szybko. Renn i Bale zostali pochwyceni i wepchnięci do trzcinowej łodzi razem z Yolunem i innym mężczyzną. Kiedy próbowali się opierać, przytknięto im noże do pleców. Mogli tylko patrzeć, jak ich rzeczy

wędrują do skórzanego kajaka, który przywiązano do rufy innej łodzi i wyciągnięto na wodę.

Skierowali się na południe. Renn czuła, że siedzący przy niej Bale trzęsie się z wściekłości. Spojrzała na niego znacząco i pokręciła głową. Walka byłaby bezsensowna. Wydry były uzbrojone po zęby w dzidy z ostrzami z zielonego kamienia i strzały zakończone dziobami nurów. Próba ucieczki byłaby bezsensowna. Nie związali ich tylko dlatego, że nie musieli.

Renn przyglądała się uważnie Yolunowi, kiedy siedział skulony na dziobie, dźgając wiosłem wodę. Jego kurtka z rybiej skóry była przy szyi i u dołu obrębiona i wyszyta wzorami przypominającymi trzcinę. Oczy miał podkreślone czerwoną glinką, dzięki czemu przywodziły na myśl czerwone spojrzenie nurkującego ptaka. Raz po raz rzucał niechętnie spojrzenie przez ramię, ale pod maską wrogości Renn wyczuwała coś jeszcze.

Bale pochylił się i szeptał jej teraz do ucha:

–Ich łodzie są ciężkie i powolne. Jeżeli uda nam się dotrzeć do mojego kajaka, moglibyśmy im uciec.

–Dokąd byśmy wtedy popłynęli? – szepnęła. – Oni znają Jezioro, a my nie. Poza tym uważam, że nie są wściekli, ale raczej przerażeni.

–Dlatego są jeszcze bardziej niebezpieczni. Miał rację. Może i łódź z trzciny nie miała prędkości kajaka obciążonego skórą, ale

Wydry posuwały się wciąż naprzód, klucząc między wyspami, którymi usiane było jezioro. Trwała letnia noc i wśród jej granatowej ciemności coraz wyraźniej widzieli obozowisko. Podobnie jak Bale, Renn oglądała je po raz pierwszy w życiu. I podobnie jak on aż otworzyła usta ze zdumienia.

–Dlaczego oni tak żyją? – mruknął.

–Żeby być blisko Jeziora – wyjaśnił Yolun. Przestał wiosłować i przez chwilę jego surowe rysy rozświeciły się wewnętrznym ciepłem. – Jezioro jest dla nas Matką i Ojcem. Daje nam życie. Do niego całe życie musi powrócić. – Znow odezwała się jego niechęć. – Nie spodziewam się, że obcy to zrozumieją.

–Nie jestem obca – wtrąciła się Renn. – Jestem z Otwartego Lasu, tak jak ty.

–Ale nie jesteś z klanu Wydry! – rzucił ostro. – Więcej mi tu nie otwieraj gęby!

Zatopione w zielonkawym dymie obozowisko Wydr unosiło się nad Jeziorem, połączone z lądem jednym wąskim pomostem.

–Zbudowali je na palach – stwierdził zdumiony Bale. W wodzie zasadzono las poucinanych drzew, a na nich ustawiono drewniane

platformy, na których przycupnęło mnóstwo okrągłych, trzciniowych kopuł. Dobiegł ich gorzki zapach dymu, w którym mocno czuć było rybę. Zobaczyli tłące się żagwie zamocowane na palach – mężczyźni i kobiety patrzyli na nich z góry, ich oczy w pomalowanych na zielono twarzach były szeroko otwarte ze zdumienia.

Renn nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Wydry zawsze były znane jako lud wesoły, skory do zabawy, jak opiekun ich klanu. Coś się musiało zmienić. Wszyscy mieli na sobie warstwę zielonej glinki. Renn nigdy przedtem tego nie widziała, chociaż wiedziała, że glinka jest dla Wydr czymś świętym, bo czerpią ją z sekretnego

miejsca na północnym wybrzeżu i mieszają z rybim tranem. Stosowali ją jednak tylko, by chronić chorych i umierających. Zastanawiała się, dlaczego potrzebował jej teraz cały klan.

Towarzyszka Yoluna przycumowała łódź przy jednym z zewnętrznych pali i nad ich głowami otwarto właz. Ktoś spuścił drabinkę sznurową i Yolun kazał im się wspiąć do góry.

Wyłonili się w gryzącej mgle. Renn zorientowała się, że to, co brała wcześniej za żagwie, było w rzeczywistości kawałkami grzyba podkownika, który palono, jak zgadywała, żeby odpędzać komary i owady. Wszystkie Wydry wciąż się na nich gapily.

Popchnięto ich w kierunku największego szałasu – kurnej chaty oświetlonej łuczycami. Weszli do środka, gdzie uderzył ich w nozdrza smród gnijących ryb. Wydrom chyba to nie przeszkadzało, a Bale tylko zmarszczył nos. Renn również uprzejmie udawała, że tego nie zauważa. Kiedy wszyscy zgromadzili się w środku, Ananda kazała przynieść jedzenie. Widząc zdziwienie Renn, powiedziała:

–Mamy na Jeziorze takie przysłowie: obcy jest moim gościem, dopóki nie udowodni, że jest moim wrogiem.

Yolun prychnął, jakby miał dosyć dowodów.

–Nie jesteśmy wrogami – oznajmił Bale.

–Skoro tak mówisz... – rzekła Ananda. – Jedzcie. Zapanowała cisza i chłopak oraz młoda kobieta wnieśli naczynie w kształcie ryby z ciasno splecionej turzycy, wypełnione kaszą z nasion trzciny i tataraku oraz kosz pełen pieczonych łodyg trzciny – zwęglonych na zewnątrz, a białych i mącznych, kiedy się obrało skórę. Renn rozpoznała młodą kobietę z klanu Kruka, która zeszłego lata wzięła sobie mężczyznę z klanu Wydry.

–Dyrati?

Kobieta unikała jej spojrzenia.

–Jedz – rzekła, nakładając szarą masę na kaszę Renn. Wyglądała jak gęsty miód, ale smród zgniłej ryby sprawił, że dziewczynie łzy stanęły w oczach.

–To tran z ciernika – powiedziała Dyrati. – Jedz!

–Jedz! – rozkazał Yolun. – Co, jesteś wybredna i nie smakuje ci nasze jedzenie? Wszyscy się jej przyglądali. Dźgnęła łyżką śmierdzącą masę, choć czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Bale przyszedł jej na pomoc.

–Ona jest nieprzyzwyczajona do pływania łodzią, zrobiło jej się niedobrze. Przełał zawartość jej naczynia do swojego i zaczął jeść z wielkim apetytem, a Wydry się uspokoiły.

–Jak możesz! – szepnęła Renn.

–Mnie to smakuje – mruknął, wzruszając ramionami. – Na wyspach robimy to samo, ale z tranu dorsza.

–Pewnie się zastanawiacie, dlaczego nie częstujemy was rybami – powiedziała Ananda. – Nawet ten tran jest z zeszłej wiosny. – Przyglądała się uważnie ich twarzom. – Ktoś sprawił, że Jezioro jest chore.

Wydry zaczęły się kiwać w tył i w przód i jęczeć, wielu dotknęło kępek futra

zwierzęcia opiekuna klanu, zwisających na kolczykach z uszu.

–Jakiś czas temu zachorowało dziecko, a nasza Czarownica wysłała nas po świętą glinę – mówiła dalej Ananda. – Odkryliśmy, że ktoś splądrował lecznicze źródło. Jakiś obcy ukradł to, czego tylko Wydra ma prawo dotknąć. Wtedy zaczęły się nasze kłopoty. – Wzruszyła ramionami. – Ludzie zapadali w sen przypominający śmierć i budzili się z krzykiem, gryzieni w snach przez demony wijące się jak węże. Wtedy też po raz pierwszy nie zadziałała pułapka na ryby. Yolun pokręcił głową.

–Dawniej, zdarzało się, mieliśmy tyle ryb, że można było wyjść z łodzi i głaskać je po grzbietach, aż do samego brzegu. Ale tej wiosny... Nie było prawie żadnej. Wszystko to, co łowimy, jest pokrzywione. Przeklęte.

–Każdej wiosny Rzeka Lodu zsyła ze wschodu do Jeziora dużo wody – powiedziała Ananda. – Są to czasy wielkiej łaski, kiedy woda podnosi się tak wysoko, że jej chlupot pod podłogami naszych domostw kołysze nas do snu. Ale nie tej wiosny. Poziom Jeziora się obniża.

–Kłopoty zawsze przychodzą do nas z zachodu! – wykrzyknął Yolun i utkwiał w obcych oczy obrysowane czerwoną gliną. – Słyszeliśmy opowieści o wyrzutku, który zmierza w kierunku Jeziora. Później go zobaczyliśmy. To on ukradł świętą glinę, to on

przysporzył nam kłopotów! Teraz przychodzą inni obcy, żeby wszystko jeszcze bardziej popsuć.

Na wzmiankę o Toraku Renn i Bale zeszywnieli. Żadne z nich nie ośmieliło się spojrzeć na drugie. Przywódczyni klanu natychmiast się na nich rzuciła.

–Znacie tego wyrzutka. Kim jesteście?

–Ja jestem Bale z klanu Foki – odparł dumnie Bale.

–Ja jestem Renn z klanu Kruka. Jestem córką brata Fin-Kedinna. Dyrati mnie zna. Dyrati skrzyżowała ręce na piersi i nie odezwała się ani słowem. Renn pokazała im swoją bransoletkę.

–Widzicie? To zielony kamień. Fin-Kedinn zrobił to dla mnie tak, jak robią Wydry, nauczył się tego, kiedy żył razem z waszym klanem.

Jakiś stary człowiek podniósł załzawione oczy znad swojej miski.

–Pamiętam. Wściekły młody człowiek, ale szanował Jezioro.

–Nawet jeżeli dziewczyna jest tym, za kogo się podaje, co z tym chłopcem? Foka na Jeziorze? Jak to możliwe? – zapytał Yolun.

–Radzi sobie na wodzie – odparła szybko Renn. – Popatrzcie na trzciny wytatuowane na jego ramionach.

Tatuaze Bale'a przedstawiały wodorosty, ale miał tyle oleju w głowie, żeby się nie odzywać.

–To wszystko bez znaczenia! – stwierdził dobitnie Yolun. – Wszyscy widzieliście, jak podskoczyli, kiedy wspomniałem o tym wyrzutku!

Przywódczyni klanu wpatrywała się w twarz Bale'a.

–Znasz tego wyrzutka? Bale uniósł w górę brodę.

–Tak. Ale to nie zbrodnia.

–Pomaganie mu to zbrodnia – warknął Yolun. Bale zeszywniał.

–Widzicie! – krzyknął Yolun. – Są z nim w zмовie, a to dowodzi, że sami są wyrzutkami! Anando, musimy ich zabić, w przeciwnym razie będziemy mieli jeszcze większe kłopoty.

–Nie! – zaprotestowała Renn. – Nie mamy nic wspólnego z waszymi kłopotami. Ale... Ale wiem, kto za tym stoi.

–Skąd możesz wiedzieć? Dlaczego tu przysłaś?

Ananda nachyliła się ku Renn. Miała dziwne, szarozielone oczy, w których pełgało światło Jeziora. Renn czuła, że jej serce bije jak oszalałe. Jeśli skłamię, przywódczyni klanu będzie wiedziała, że kłamię. Jeśli przyzna się, dlaczego tu przybyli...

–Zło, o którym mówicie... – zaczęła Renn ostrożnie – pułapki, które nie działają, kłające demony, to wszystko rozszerzy się na cały Las, jeżeli się ich nie powstrzyma... -Przerwała. – Na Jeziorze jest Pożeracz Dusz. Stąd to wszystko. Dlatego tu przybyliśmy.

Pod trzcinowym dachem zapanowała cisza. Słyszać było tylko tryskające iskrami łuczywa i wodę uderzającą o pale pod podłogą.

–Ona łże – powiedział Yolun. – Pożeracz Dusz? Gdzie dowody? Przywódczyni klanu nie spuszczała oczu z Renn.

–Mówi prawdę – rzekła w końcu. – Ale nie całą prawdę – kiwnęła głową uprzejmie. – Czarownik odkryje całą resztę.

Nic nie mów – szepnęła Renn Bale'owi do ucha, kiedy Yolun popychał ich po owiewanym dymem pomoście. Bale pochylił ku niej głowę.

–Słyszałaś Anandę. Ich Czarownik odkryje prawdę. Jak go powstrzymamy?

–Nie wolno ci myśleć o Toraku – odparła. – Skup umysł na najsilniejszym uczuciu, jakie znasz. Na gniewie. Nienawiści. Smutku.

Bale zmarszczył czoło.

–To wszystko złe uczucia. Dym się rozwiął i znaleźli się na okrągłej platformie, na której stał mały szałas z

trzciny. Framuga wejścia była wyłożona zębami olbrzymiego szczupaka. Nad nią płynęła wydra przepięknie wyrzeźbiona w połyskującym drewnie olchy.

Yolun kazał im uklęknąć, po czym Ananda zmusiła ich, by weszli do środka. Pełni złych przeczuc wczolgali się na kolanach do szałas.

Renn poczuła zapach wilgotnych trzciny, chlupotanie i plusk jeziora. Przez szczeliny w podłodze wpadały do środka odbite od wody rozbłyski. Usłyszała, jak Bale wstrzymuje oddech. Wtedy zobaczyła dlaczego.

W mroku na podłodze siedziało ze skrzyżowanymi nogami dwoje dzieci. Głowy miały pochylone, ich jasne włosy spływały falą na podłogę. Miały na sobie szaty bez rękawów ze srebrnej rybiej skóry zszyte kawałkami zabarwionej na zielono skóry przypominającej wzorem rozkołysane na wietrze trzciny.

Bliźnięta, pomyślała Renn. Na tę myśl zadrżała ze strachu. Najpierw dwa jelonki, później dwugłowa ryba. Teraz to. Co to wszystko znaczy?

Ananda i Yolun zmusili ją i Bale'a, żeby jeszcze niżej pochylili głowy, a następnie sami dotknęli czołami podłogi.

–Czarownik – odezwali się. Bliźniaki uniosły głowy, jakby były jedną osobą. Ich

włosy miały kolor zielonkawego złota jak pleśń na trzinie, a skóra połyskiwała bladością człowieka, który niedawno utonął. Oczy chłopca świeciły jasnym światłem słońca odbitego od wody, ale oczy dziewczyny były zamglone i pokryte bielmem niewidomej.

–Ona widzi świat duchów – rzekł Yolun z czcią.

–Jak to możliwe? – spytał Bale. – Nie mogą mieć więcej niż dziesięć wiosen.

Chłopiec ściągnął wargi, odsłaniając szpiczaste, szare zęby.

–Wiek nie ma znaczenia – stwierdził cienkim, łamiącym się głosem. – My jesteśmy duchem odrodzonym. My jesteśmy Czarownikiem.

Renn poczuła dreszcz na plecach.

–Byliśmy tutaj na Początku – rzekł chłopiec. – Widzieliśmy, jak Wielka Powódź zmywa wszystko z powierzchni ziemi. Widzieliśmy, jak z niczego stawało się Jezioro.

Niewidoma dziewczynka jęknęła. Twarz chłopca raptownie się wykrzywiła.

–Ale teraz zło bruka czystość Jeziora. Lęk i strach przychodzą nocą!

–Czarowniku, obcy przyznają się, że wiedzą, kim jest wyrzutek, który ukradł świętą glinę – odezwała się Ananda.

–Wyrzutek jej nie ukradł – oznajmił chłopiec. – Sprawił, że została ukradziona.

–Ale, Czarowniku, to jedno i to samo – wtrącił Yolun.

–Nie – powiedział chłopiec.

–Powiedz nam więc, dlaczego oni tu przyszli? – spytała Ananda – Co powinniśmy z nimi zrobić?

Niewidoma dziewczynka położyła dłoń na kolanie brata bliźniaka, a ten skinął głową tak, jakby przemówiła.

–Każemy im mówić. – Na jego twarzy pojawił się na chwilę szary uśmiech. –

Popłyniemy w podróż z głosem nurkującego ptaka i szumem trzin. Wyciągniemy z nich prawdę. – Następnie odezwał się do Yoluna: – Zamknij ciemność wewnątrz szalasu.

Mężczyzna rozwinął matę i zasłonił wejście.

Renn poczuła się jak w pułapce. Jeżeli te dziwaczne dzieci odkryją, że chce pomóc Torakowi, jeżeli naprawdę potrafią dostrzec jej myśli...

W półmroku zobaczyła, że chłopiec sięga po miszkę zrobioną ze skóry całego łososa. Spomiędzy rybich szczęk wyciągnął kawałek łydgi tataraku, którą rozciął na pół paznokciem. Delikatnie dmuchnął przez rozdarcie i szalasa wypełnił się echem niespokojnego krzyku nurkującego ptaka.

Teraz dziewczynka wyciągnęła długi powróż ze skręconej turzycy i zaczęła przeplatać go między palcami. Renn zobaczyła tworzące się formy – sieć, łódź, mały Pomost Śmierci. Myśli zaczęły same płynąć. Otrząsnęła się, żeby się obudzić.

–Cicho, cicho – szeptał chłopiec. – Nadchodzi. Najpierw to usłyszeli, jak chlupocząc i chlapiąc, zbliża się do szalasu. Później poczuli.

Poczuli wodę obmywającą im nogi. Renn się wyprostowała. Bale przesunął się zaniepokojony.

–Nie ruszajcie się – ostrzegł chłopiec. Teraz Renn poczuła śliski chłód wodorostów okręcających się wokół jej skóry.

Spojrzała na stopy. W szalacie było sucho. Czuła jednak wodorosty owijające się wokół jej nóg, pasa, wokół ramion. Otrząsnęła się. Nie mogła się ruszyć.

Mogła tylko patrzeć, jak niewidoma dziewczyna dotyka obiema dłońmi Bale'a. Próbował się odsunąć, ale niewidzialne wodorosty trzymały go, jakby był przywiązany. Koniuszki palców dziewczyny były białe i pomarszczone, jakby za długo trzymała dłonie w wodzie. Ocierały mu się o policzki jak płatki, przesuwają po linii szczęki, po mięśniach szyi. Niewidoma dziewczyna otworzyła usta, a jej głos był jak szum fal przepływających nad rzecznyimi kamykami.

–Twojemu bratu jest już lepiej – mruknęła. – Śmierć uleczyła jego ból. Bale westchnął głęboko. Białe palce przesunęły się nagłym ruchem na kark Bale'a, a chłopak odsunął się z jękiem.

–Och! Musisz dobrze wykorzystać dany ci czas. Puściła go, a Bale zwiesił głowę, oddychając ciężko.

Renn przygotowała się i zwarła w sobie, kiedy dziewczynka zwróciła się w jej kierunku. Zamknęła oczy i poczuła trzepotanie na twarzy, coś miękkiego i chłodnego jak dotknięcie żaby. Próbowała odwrócić myśli od Toraka, ale cienkie palce sięgnęły prosto w głębinę jej umysłu, wyciągnęły Toraka na powierzchnię, więc tylko o nim mogła teraz myśleć.

Zobaczyła go nie takiego, jakim widziała go ostatnio, skulonego w wierzbowym zagajniku, ale takiego, jakim go pamiętała z pewnego wiosennego dnia, kiedy razem polowali. Torak przyklęknął na kolanie, przyglądając się odgryzionej gałązce buczyny. Ciemne włosy przysłaniały mu oczy, na twarzy miał wyraz czujności, jak zawsze, kiedy był na tropie zwierzyny. Chwycił jej spojrzenie i rzucił jej jeden ze swoich nielicznych uśmiechów.

Niewidome dziecko sięgnęło po ten obraz. Z całą siłą Renn wyrzuciła to wspomnienie głęboko w odmęty umysłu.

–O! – odezwała się niewidoma dziewczynka. – Ta tutaj jest silna! Palce dziewczyny przesunęły się na nadgarstki Renn i zatrzymały na zygzakowatych tatuażach.

–W jej wnętrzu toczy się bitwa – szepnęła. – Musi uważać, inaczej bitwa rozedrze ją na strzępy.

Oczami wyobraźni Renn znów zobaczyła Toraka, tym razem stojącego na czarnym brzegu, a twarz miał tak zdziczałą, że ledwie go rozpoznała. Znów chłodne palce sięgnęły w głąb, by chwycić ten obraz. Olbrzymim wysiłkiem woli Renn wypchnęła Toraka i skupiła myśli na Czarownicy Żmii. Rozdmuchała uśpioną w sercu iskierkę nienawiści i roznieciła w niej życie – pojawił się olbrzymi, gorący płomień. Na tym skupiła umysł.

Niewidome dziecko westchnęło.

Renn wstrząsnął dreszcz i otworzyła oczy.

Ananda odezwała się przyciszonym głosem:

–Co z wyrzutkiem? Czy oni są z nim w zмовie?

–Nie – mruknęła niewidoma dziewczynka. – Ale są z nim związani. On to kość z kości, a ona sercem.

Ananda zmarszczyła brwi.

–To nie przestępstwo. Musimy ich odesłać do Lasu.

–Nie! – krzyknęły jednym głosem bliźniaki. – Jezioro ich potrzebuje! Siły chłopca i mocy dziewczyny! Są potrzebni, żeby walczyć z lękiem przychodzącym nocą!

Dziewczynka odwróciła twarz i popatrzyła na Renn zamglonym, niewidzącym wzrokiem.

–Znasz ten lęk. Masz w sobie moc, żeby z nim walczyć, ale się jej boisz.

Dlaczego? Dlaczego boisz się swojej mocy?

Yolun patrzył na Renn.

–Czy ty też jesteś Czarownicą? Potrząsnęła głową.

–Mów. Mów – nalegały bliźniaki. Po raz trzeci Renn poczuła, że dziewczynka bada jej myśli, wnika jeszcze głębiej,

chce oglądać jej najskrytsze tajemnice.

Nie! – krzyknęła bezgłośnie. Walczyła, ale wodorosty trzymały ją w silnych więzach. Nie wiedząc, co robić, jeszcze raz dmuchnęła w maleńki płomycek nienawiści. Rozjarzył się – utopił szalas w morzu ognia...

Niewidoma dziewczynka krzyknęła. Chłopiec upadł na plecy. Renn poczuła, że wodorosty pękają i ześlizgują się z niej jak węże.

Chłopiec usiadł niepewnie.

–Puśćcie ich wolno. Dajcie im odpowiednią żywność i ubrania, puśćcie na Jezioro i wyślijcie ich na wschód.

Yolun zerwał się na równe nogi.

–Nie! Do tego nie można dopuścić!

–Czarowniku! – krzyknęła Ananda. – Jesteś pewny?

–Widzimy, jak podróżują na wschód – powiedział chłopiec, ciężko oddychając. – Na wschód, do Rzeki Lodu. Ona sięgnie po swoją moc, a on jej pomoże. Znajdą to, czego szukają.

–Nie! – zaprotestował Yolun.

–Wypuśćcie ich – rozkazał chłopiec. – Jeżeli zrobią coś złego, zabierze ich Jezioro, a wy znajdziecie ich kości toczące się po plaży w Zatoce Zagubionych Rzeczy.

Yolun wyglądał, jakby za chwilę miał wybuchnąć, Ananda była bezgranicznie zdumiona. Rozedrgana Renn podczołgała się na kolanach do wyjścia z szalasu. Nagle niewidoma dziewczynka chwyciła ją za nadgarstek. Renn próbowała się wyrwać, ale kościste palce były silne.

–Strzeż się zimnego, czerwonego ognia – dyszała dziewczynka. – Strzeż się Jeziora, które zabija!

Renn wyrwała rękę i zataczając się, wyszła na zewnątrz.

Dlaczego nas puszczają? – spytał Bale. – Za łatwo poszło. Wcale mi się to nie podoba. Renn milczała. Spotkanie z bliźniakami wyssało z niej resztki sił, była przerażona tym, co mogły zobaczyć w jej myślach.

Znajdowali się teraz w głównym szalasiu, gdzie zostawiła ich Ananda. Do środka zajrzał Yolun i kiwnął głową na Bale'a.

–Wychodzić – warknął. – Mam wam dać jedzenie i ubrania na jezioro. Renn wstała, żeby pójść za Bale'em, ale Yolun ją zatrzymał.

–Nie ty! Jakaś kobieta chce się z tobą zobaczyć. Renn wkrótce odkryła, że nie tylko Yolun nie może znieść myśli, że są wolni. Dyrati przyniosła jej nowe ubrania i odwracając wzrok od Renn, rzuciła rzeczy na matę. –Nie będziesz już potrzebowała ubrań z byczej skóry – powiedziała głosem pełnym pretensji. – Są za ciężkie, kiedy namokną, a za sztywne, kiedy wyschną. Załóż te. – Wskazała jej parę nogawic do pół łydki z miękkiej skóry łosia i kurtkę bez rękawów z drobno utkanej turzycy. – Będziesz musiała sama sobie naszyć na to pióra opiekuna twojego klanu.

W niezręcznej ciszy Renn przebrała się i odcięła od kurtki pióra opiekuna klanu, żeby je później przyszyć. Kiedy próbowała podziękować Dyrati, kobieta ruszyła do drzwi.

–Dyrati? – spytała Renn. – Co ja takiego zrobiłam? Tamta zacisnęła usta.

–Jakbyś nie wiedziała... Może i udało ci się okłamać naszego Czarownika, ale mnie nie okłamiesz.

–Co ty mówisz? Dyrati odwróciła się, czyniąc znak ręką.

–Trzymaj się ode mnie z daleka! Powiedziałam im, kim jesteś! Powiedziałam im, co szeptaliśmy za twoimi plecami. Ty, z twoimi kruczoczarnymi oczami i ze snami, które się spełniają! Przynosisz pecha. Wszyscy to wiedzą. Wszyscy wiedzą, że jeśli się do kogoś zbliżysz, spotyka go nieszczęście!

Renn poczuła, że robi jej się niedobrze.

–To nieprawda!

–Sama wiesz, że to prawda! Twój ojciec. Twój brat. Torak. Ktoś powinien ostrzec tego chłopca z klanu Fok, zanim będzie za późno!

Już jej nie było, Renn została sama jak palec.

Była wstrząśnięta. Jeżeli Dyrati ma rację?

Nie, to nonsens, powiedziała sobie. Dyrati jest tylko złośliwą dziewczyną, która nigdy cię nie lubiła.

Jednak problem polegał na tym, że nikt za bardzo jej nie lubił. Tolerowano ją, bo była z krwi i rodu Fin-Kedinna, ale ludzie bali się jej talentu do Magii.

Czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa, tęskniła za Torakiem. Tylko Torak był jej prawdziwym przyjacielem.

Na pomoście spotkała Bale'a, który teraz miał na sobie nogawice ze skóry łosia i kurtkę ze srebrzystej skóry ryby.

–Wszystko w porządku? – spytał, widząc jej minę.

–Nie – odburknęła.

Uniósł brwi, ale nic nie odpowiedział. Pod czujnym wzrokiem Anandy i grupki milczących Wydr udali się w kierunku kłapy,

otworzyli ją i zeszli drabinką sznurową w dół wprost do jego obciążonego skórą kajaka.

–Zapakowali już nasze rzeczy – powiedział Bale, kiedy odcumowywał kajak i odpychał się od pała. – Płynimy, zanim zmienią zdanie.

Jeziro było zdradliwe, przepływały w nim ukryte podwodne prądy i kajak dziko wierzgał na wodzie. Renn kilka razy mało nie wypadła.

–Nie lubi słodkiej wody – rzekł Bale, przepraszając za dziwne zachowanie swojej łodzi. – To moja wina. Kajak jest teraz znacznie głębiej zanurzony niż w Morzu, a ja nie jestem do tego przyzwyczajony.

Skulona za nim Renn już wkrótce była przemoczona mimo kurtki z bobrowej skóry, którą znalazła w jednym z plecaków. Miała wrażenie, że jest głazem, który obciąża kajak. Bale był znacznie silniejszy i lepiej mu szło wiosłowanie, a kiedy próbowała pomagać, kończyło się na tym, że uderzała wiosłem w jego wiosło.

Co jakiś czas próbowała się na coś przydać, wyjmowała też gwizdek z kości pardwy i nawoływała Wilka. Ani razu nie otrzymała odpowiedzi, co tylko pogarszało jej nastrój. Kiedy rozmyślała nad tym, co ich czeka, czuła lęk w sercu. Ona wykorzystała swoją moc -powiedziała Czarownica Wydry. Ale Renn nie chciała nigdy wykorzystywać swojej mocy, przenigdy.

Rozbili na noc obóz w osłoniętej zatoczce. Skończyło się jedzenie, które wzięli z Lasu, ale Wydry dały im zapas łososiowych skór wypełnionych prażonymi pyłkami tataraku, zjedli więc ten nieapetyczny posiłek.

Wydawało się, że Bale jest czymś zaniepokojony. Kiedy już zjadł, zapytał Renn: –Co miała na myśli Czarownica Wydr, mówiąc, że boisz się swojej mocy? Renn spięła się w sobie.

–Chodziło jej o Magię, prawda? – Kiedy Renn nie odpowiadała, Bale dorzucił: – Jeżeli nie uda nam się znaleźć Toraka, to może być jedyny sposób. Ty masz tę umiejętność. Dlaczego by jej nie wykorzystać?

–Łatwo ci mówić – mruknęła.

–Przecież to dla Toraka. Zrobiłabyś to dla Toraka, prawda? Renn milczała.

–Czego się tak boisz?

–Wcale się nie boję. Później już nie rozmawiali. Bale odwrócił skórzany kajak, postawił go na palikach,

przykrył sosnowymi gałęziami i w ten sposób zrobił szałas, wtoczył się do środka w swojej kurtce z bobrowego futra i odwrócił do niej plecami. Renn jeszcze długo nie mogła zasnąć.

Cały następny dzień wiosłowali na wschód, ale nie było ani śladu Toraka. Renn nie czuła, że się do niego zbliżają, wyczuwała za to, że coraz bardziej zbliżają się do czegoś nieokreślonego. Lęk w jej duszy narastał.

Słońce już zachodziło, gdy uderzył w nich silny wschodni wiatr i Bale musiał ciężko pracować, żeby kajak w ogóle posuwał się naprzód. Kiedy otaczali łukiem jakąś wyspę, Renn poczuła chłód na twarzy – zobaczyła ją – zobaczyła surowy blask bijący od Rzeki Lodu. Węzeł lęku w jej wnętrzu zacisnął się jeszcze bardziej. Gdzieś tam, na brzegu, jej ojciec spotkał swoją śmierć.

Bale obrócił się, żeby na nią spojrzeć.

–Coś tu jest nie tak. Dlaczego miałby tu przyplwać? Tu nie ma żadnej zwierzyny, nic!

–Czarownica Wydr powiedziała, że to, czego szukamy, znajdziemy na wschodzie.

Renn wiedziała jednak lepiej niż inni, że przepowiednie czarowników bywają bardzo zwodnicze, mogą mieć wiele różnych znaczeń.

Kiedy podpłynęli bliżej, chłód zmienił się w mroźny podmuch, a lód stał się błękitny. Renn przekręciła głowę, żeby przyjrzeć się lśniąącym klifom górującym nad ich głowami.

Słyszała delikatny plusk roztopionej wody, ale jej nie widziała. Nie było wodospadów spływających po klifach, tylko ten oślepiający, błękitny lód.

– Jesteśmy za blisko – stwierdził Bale. – Lepiej wracajmy i rozbijmy obóz w zatoce, obok której przepływaliśmy. Dalej na wschód już nie da się popłynąć.

Tamtej nocy Renn zobaczyła we śnie Toraka.

Przycupnął na plaży z czarnego piasku. Miał ubranie w strzępach, zdziczałą twarz i oczy wyprane z nadziei. Przyczajony, atakował płonąca gałęzią – atakował Wilka!

Renn westchnęła głęboko i się obudziła. Bale'a nie było.

Wyszła z szałasu i zobaczyła, że przygląda się dwóm trzcinowym łodziom odbijającym od ich zatoki.

– Miałam sen – powiedziała mu. – Z Torakiem jest coraz gorzej, już dłużej nie wytrzyma.

Bale pokiwał ponuro głową.

– Problem w tym, że Torak jest daleko stąd.

– Skąd wiesz? Pokazał na łodzie.

– Byli tu pięć dni, szukając ryb, nie wiedzą więc, kim jesteśmy. Bardzo mi pomogli. Opowiedzieli mi wszystko to, co przed nami ukrywano. Ktoś znalazł łuk Toraka na polu szuwarów.

– Na polu szuwarów? – Renn była przerażona.

– Niedaleko Wyspy Ukrytych Ludzi. Czarownica Wydr wysłała nas w złą stronę. – Uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Renn, byliśmy tak blisko! Gdybyśmy wiedzieli, moglibyśmy już go odnaleźć.

– Posłali nas w złą stronę! Dlaczego?

– Czy to teraz ważne? Jesteśmy dalej niż kiedykolwiek. Jeżeli twoje sny są prawdziwe, Torak ma coraz mniej czasu.

Zacząła szybko myśleć.

– Jak długo może potrwać, zanim się tam dostaniemy?

– Lotem kruka pewnie z dzień. Ale w kajaku, z tymi wszystkimi wyspami po drodze? Dwa dni, może trzy.

– To płynimy!

– Jeszcze nie – wskazał ręką na wschód. Nad Rzeką Lodu gromadziły się purpurowoszare chmury. Duch Świata był niespokojny.

–Przecież możemy spróbować! – jęknęła łamiącym się głosem.

–Gdybym znał Jezioro, to tak, ale wypływać na wodę, kiedy zbliża się sztorm? Nie, na nic się nie przydamy Torakowi jako topielcy.

Renn podbiegła do brzegu. Teraz widziała, że wszystko się zmówiło, żeby ich tu sprowadzić. Może dlatego Czarownica Wydr wysłała ich na wschód – żeby ją zmusić do tego, czego miała nigdy nie robić, bo tak sobie kiedyś postanowiła. Odwróciła się od Rzeki Lodu i patrzyła na zachód. Czarne punkty wysp unosiły się na powierzchni bursztynowego Jeziora. Gdzieś tam, za nimi, Torak umierał na chorobę dusz.

–W takim razie nie mam wyboru – popatrzyła wprost na Bale’a. – Będziemy musieli pomóc mu stąd.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Będę musiała posłużyć się Magią – westchnęła dziewczyna.

–Renn, to szaleństwo! – krzyczał Bale, próbując na wszelkie sposoby utrzymać kajak na wodzie pośród sztormu. – Powinniśmy wracać do brzegu!

–Jeszcze nie! – krzyknęła Renn. – Trzeba przepłynąć za tę wyspę. Muszę mieć dobry widok na zachód, w przeciwnym razie pomoc do niego nie dotrze!

–Nabieramy wody!

–Jeżeli zależy ci na Toraku, wiosłuj!

Niebo pociemniało, wiatr wył jej w uszach, szarpał ubranie i rozwiewał włosy, zakrywając twarz, mieszając wody jeziora i podrywając je wirami tak, że stawały się białe od piany. Kajak unosił się na falach i opadał i tylko umiejętności Bale’a utrzymywały go na powierzchni.

Jakoś udawało jej się utrzymać w pozycji klęczącej na ławeczce, chwyciła się łodzi jedną ręką a drugą włożyła do woreczka z lekami. Wszystko, co mogła, zrobiła na brzegu. Został jej do rzucenia ostatni czar.

Kiedy wyjęła to, co było jej potrzebne, i uniosła to w powietrze, poczuła dreszcz ponurej satysfakcji. Może i Czarownica Żmii ma kamyczek z imieniem Toraka, ale Renn ma coś dającego równie wielką moc.

–Co to jest?! – krzyknął Bale.

–Jego włosy! – odkrzyknęła. – Zeszłej zimy musiał udawać kogoś innego, obcięłam mu włosy, ale ich nie wyrzuciłam!

Stała niepewnie, zataczając się, z trudem utrzymując się na nogach. Uniosła zamkniętą pięść, a długie, ciemne loki Toraka powiewały na wietrze.

Bale przytrzymał ją za pas, żeby nie upadła.

–Mówię ci po raz ostatni, musimy wracać do brzegu! Zbliża się chmura gradowa! Jeżeli wybiję nam dziury w burtach, to utonęliśmy!

–Jeszcze nie!

Renn odrzuciła głowę do tyłu i zawyła słowa zaklęcia prosto w głąbię sztormu -wzywała siłę opiekuna wszystkich Kruków unoszącego się nad lodem i górą Lasem i Morzem – wezwała tę moc i posłała ją na poszukiwanie Toraka, a wiatr wyrwał jej zaklęcie z ust i poniósł na zachód nad powierzchnią Jeziora.

Ale w środku zaklęcia, kiedy zapierała się mocno nogami o ramę wierzgającej na wodzie łodzi i przytrzymywała się mocno ramienia Bale'a, żeby nie upaść, poczuła ogromnie silną wolę, która opierała się jej woli.

Czuję, twój cel... Nie uda ci się.

Renn poczuła, że kolana się pod nią uginają i że lada chwila upadnie.

Nie uda ci się, zobaczysz.

Próbowała odpędzić te słowa daleko, ale były zbyt silne. Ta wola była silniejsza od tej, którą miała Czarownica Wydr, silniejsza nawet niż Saeunn – miała straszliwą moc Pożeracza Dusz i nie mógł jej pokonać jakiś głupawy czar dziewczyny, która ledwie liznęła magii.

Duch Świata otworzył chmury jednym uderzeniem młota i puścił na wodę grad, obsypując ich twarze lodowymi pociskami. Bale wykręcił łodzią.

–Skąły! Przed nami skąły! Renn po raz ostatni uniosła dłoń.

–Lećcie! – krzyknęła. – Lećcie na pomoc temu, którego dusze są chore!

Wiatr wyrwał spomiędzy jej palców włosy Toraka i rozproszył je nad Jeziorem, a Renn upadła, zataczając się do tyłu, kiedy łódź gwałtownie zadarła dziób, wśliznęła się w dolinę między falami, a później znów wyskoczyła nad wodę.

–Uderzyliśmy w skałę! – krzyknął Bale. – Trzymaj się burty. Nie puszczaj!

Bijąca gromami burza gradowa popłynęła na zachód, zabierając ze sobą zaklęcie Renn. Przemknęła nad Jeziorem, przygięła trzcinę do wody, uderzyła w Wyspę Ukrytych Ludzi.

Na skraju czarnej plaży uginały się sosny, a zbudowany pod nimi byle jak szałas Toraka chwiał się na wietrze. Spadały szyszki i gałęzie. Wtem coś ciężkiego spadło z drzewa i uderzyło w dach...

i Torak się obudził.

Torak kulił się na szorstkim pościeliu z sosnowych igieł, słuchając, jak Duch Świata wymierza karę drzewom. Był przerażony gradem, czy co tam spadało na dach szałas. Był przerażony wszystkim – Jeziorem, bał się Ukrytych Ludzi, ale przede wszystkim wilków. Czekwały na niego w Lesie. Od czasu do czasu widział takiego wielkiego, szarego, czającego się o rzut kamieniem, tylko czekającego, żeby skoczyć.

Właśnie przez wilki nie odważył się wchodzić do Lasu. Utrzymywał się przy życiu, jedząc pokurczone mrozem jagody i przyczernione grzyby, pożywiał się

też niekiedy tymi oślizgłymi, zielonymi, skaczącymi rzeczami, jeżeli udawało mu się którąś złapać.

Świat nie miał już sensu. Niebo wrzeszczało na niego otwartą gębą, a małe, czerwone, skaczące rzeczy waliły w niego z drzew zdrewniałymi owocami. Tuż obok strzelały zielenią rozbłyski światła, śmiejąc się z niego, a oślizgłe, brązowe stworzenia kołysały się na powierzchni wody i szydziły z Toraka. Kiedy spał, przyszedł jakiś potwór i zaczął żuć jego szałas, a kiedy się obudził, zobaczył gałęzie płynące w górę rzeki.

Jeszcze raz coś spadło z hukiem na dach. Tym razem zapiszczało. Torak mocno zacisnął powieki.

W końcu burza przeszła i przestało walić w niego gradem. Trzęsąc się ze strachu, chłopak chwycił toporek i wyczołgał się na zewnątrz.

Lód przygniółł poszycie do ziemi i pozrywał gałęzie, przykrył plażę twardymi, przezroczystymi kamyczkami, które kruszyły się pod gołą stopą. Na ścieżce pokrytej dywanem połamanych paproci coś się poruszyło.

Nie. Dwa cosie. Para wielkich, czarnych ptaków.

Chwyciwszy toporek, Torak ostrożnie przysunął się bliżej.

Ten większy wydał z siebie przerażony pisk i załopotał skrzydłami, a ten mniejszy wtulił głowę w ramiona i udawał, że go tam nie ma.

Torak zobaczył gdzieś wysoko na drzewie rozbite gniazdo. Ptaki musiały wypaść, odbiły się od jego szałasu i spadły w poszycie.

Zrobił jeszcze jeden krok, co sprawiło, że zaczęły szaleńczo machać skrzydłami i wydawać z siebie przeraźliwie wysokie dźwięki.

Mrugnął oczami. To one bały się jego.

Zobaczył, że kąciki dziobów mają różowe, a chociaż ich rozłożone skrzydła były tak szerokie jak jego rozciągnięte ramiona, całe to machanie niczego nie dawało.

–Nie potraficie latać – powiedział głośno. W odpowiedzi pomachały skrzydłami. Skuliły się i patrzyły w niego, trzęsąc się ze strachu. Poczł skurcz w żołądku. Tyle mięsa. A ptaki nie potrafią latać – to będzie łatwe.

Ku swojemu rozczarowaniu nie potrafił po nie sięgnąć. Przypominały mu coś. Albo kogoś. Nie pamiętał, co to było.

Nagle „kra, kra, kra” rozdarło niebo, a Torak rzucił się na czworakach.

Gdzieś wysoko krążył inny wielki, czarny ptak, ale ten umiał latać. Wylądował na pozostałościach gniazda i patrzył na niego z niechęcią.

Pióra na głowie ptaka były nastroszone jak uszy, skrzydła rozłożone szeroko. Torak ułamał w gniewie gałązkę i rzucił w niego. Potem strącił kilka zdrewniałych

szyszek. „Kra, kra, kra!”

–Zostaw mnie w spokoju! – krzyknął Torak. Czując, że pozwala sobie na bardzo dużo, podniósł z ziemi szyszkę i rzucił w ptaka. Ptak oderwał się od gałęzi, uleciał w niebo i zniknął.

Kiedy Torak był już pewien, że ptaszysko nie wróci, zostawił młode swojemu losowi i poszedł czegoś poszukać na brzegu. Jeżeli nie może ich zjeść, na nic mu się nie przydadzą.

Znalazł rozmiękły grzyb, który dało się zjeść, nie smakowały mu tylko te elementy, które się wiły i chrupały w zębach, bo zapomniał wytrząsnąć z niego robaki. Później złapał dwie oślizgłe, zielone, skaczące rzeczy, które zabił kamieniem. Jedną zjadł na surowo, a drugą przywiązał sobie do pasa na później.

Wrócił do szałasu i znalazł dwa młode ptaki tam, gdzie je zostawił. Kiedy zobaczyły u jego pasa tę zieloną rzecz, zaczęły machać skrzydłami i wydawać z siebie żalosne popiskiwanie.

–Nie! – powiedział. – To jest moje! Popiskiwanie przeszło w pełen oburzenia skrzek. Ptaki nie przestawały.

Może, jak zrobi im szałas, to się zamkną.

Oparł kilka gałązek o rozwidlenie drzewa, chwycił większego ptaka i posadził go na gałęzi. Ptak dziobnął jego rękaw i pociągnął.

–Puszczaj! – zaprotestował.

Potężny dziób był większy niż środkowy palec Toraka i bez trudu rozdarł mu rękaw. Trzymając kawałek byczej skóry w wielkich szponach, ptak wziął się do uczt i zaczął rozdzierać zdobycz, spoglądając na Toraka z ukosa tak, jakby chciał powiedzieć: Nie musiałbym tego robić, gdybyś mnie nakarmił tak, jak prosiłem.

Mniejszy ptak w zaroślach tylko się śmiał. Torak zgarnął go i wrzucił do gniazda. Ptak podziękował mu, potrząsając kuperkiem i zrzucając na niego deszcz białych odchodów.

–No, no! Przestań! – krzyknął chłopiec.

–O! O! Kreeestań! – zakrakał ptak.

Torak zamrugał zdziwiony. Przecież ptaki nie mówią. Czy aby na pewno? Jeżeli potrafią mówić, może nie powinien ich głodzić?

Ruszył w poszycie leśne, złapał kilka pajaków i zmiażdżył je w dłoni. Ptaki połknęły pajaki i zaczęłyby mu dziobać palce, gdyby na to pozwolił.

Nakarmił je nogą tej zielonej rzeczy. Później dał im drugą. Uznał, że tyle wystarczy. Większy ptak popatrzył na niego z wyrzutem, po czym odwrócił głowę, wtulił ją w pióra ogona i zasnął. Mniejszy zrobił to samo.

Torak też zamierzał się położyć, ale najpierw odciął skrawek skóry z zielonej

skaczącej rzeczy i położył go na dachu. Nie miał pojęcia, dlaczego to robi, ale czuł, że to ważne.

Poziewując, zjadł resztę zielonej skaczącej rzeczy, następnie wczołgał się do szalasu i zakopał w sosnowe igły. Tuż przed zaśnięciem powiedział głośno:

–Żaba. Ta oślizgła, skacząca rzecz to żaba.

Młode czarne ptaki ustalały teraz porządek jego dni.

Były hałaśliwe i głodne, a jeśli ich odpowiednio często nie karmił, robiły się jeszcze bardziej hałaśliwe. Miały jednak dobre uszy i oczy, wystraszyły gryzącego potwora, który przyszedł nocą straszyły czerwone, przeskakujące z gałęzi na gałąź rzeczy na drzewach.

Po kilku dniach zaczął je wyjmować z gniazda. Podskakując i pokracznie przewalając się z nogi na nogę, łąziły za nim, nie opuszczając go na krok, i ku własnemu zdumieniu Torak zaczął im pokazywać różne rzeczy, przypominając sam sobie, czym są.

–To jest szyszka sosny. Trudno to zjeść. A to jest czarna jagoda. Bardzo dobra, pycha! A to jest wierzbówka. Jak się to obierze, można skręcić sznurek. Widzicie?

Ptaki przyglądały się wszystkiemu, wpatrując się w niego uważnie czarnymi oczami, dotykały wszystkiego dziobami, żeby sprawdzić, co rzeczywiście da się zjeść.

Przeważnie się dawało. Jadły jagody, żuki, żaby, odpadki, jego ubranie, jeżeli im pozwolił. I chociaż nabrały sporej zręczności w posługiwaniu się ogromnymi dziobami, wołały jednak kraść jedzenie, niż same je łapać.

Ale w łapaniu też były dobre. Kiedy Torak złapał swoją pierwszą małą rybkę za pomocą przywiązanego do linki haczyka z gałęzi ostrokrzewu, był tak dumny, że nieopatrznie ją im pokazał. Następnego dnia zobaczył, jak większy ciągnie dziobem za linkę, gdy tymczasem mniejszy patrzy na to z nadzieją w oczach.

Aby je zniechęcić, Torak położył przy lince swój nóż, ale chociaż zostawiły linkę w spokoju, zaczęły dziobać trzonek okręcony ścięgnem zwierzęcym. Zamienił nóż na toporek i to w końcu podziałało.

Następnego dnia, kiedy Torak wyłonił się z szalasu, większy ptak zakrakał, pozdrawiając go z gniazda, i podfrunął do niego.

–Przeleciałeś – zdziwił się Torak. Zdziwiony swoim osiągnięciem ptak siedział, drżąc, u jego stóp. Następnie rozpostarł

skrzydła i poleciał na sam szczyt drzewa, tam stracił odwagę i osamotniony błagał Toraka o ratunek. Chłopcu udało się w końcu zwabić go na dół garścią posiekanego żabiego mięsa i kilkoma rybimi oczami, a odtąd większy ptak siedział i śmiał się ze swojej siostry, która wciąż dziko trzepotała skrzydłami w

gnieździe. Dopiero późnym popołudniem odważyła się na swój pierwszy lot.

Ptaki szybko się uczyły i wkrótce krążyły po niebie, kracząc i wrzeszcząc, robiły kółka, ósemki i beczki w powietrzu. Miały czarne, błyszczące pióra z pięknymi tęczowymi przebłyskami fioletu i zieleni, a kiedy szybowały w powietrzu, lotki wydawały z siebie głośny, suchy szelest jak wiatr w trzcinach. Zasmucało to Toraka zupełnie tak, jakby i on kiedyś potrafił latać, ale wiedział, że już nigdy więcej nie wzięci.

Pewnego ranka ptaki wzbiły się w niebo i już nie wróciły.

Torak wmawiał sobie, że to bez znaczenia. Zastawił sidła – była to jedna z odzyskanych umiejętności – zjadł kilka jagód, pamiętając, żeby kilka zostawić też na głazie jako ofiarę.

Brakowało mu jednak kruków. Polubił je. Przypominały mu coś, choć nie potrafił sobie przypomnieć co, wiedział jednak, że to dobre wspomnienie.

Kiedy zapadł zmierzch, Torak sprawdził sidła, które zastawił poprzedniej nocy. Miał szczęście – złapał wodnego ptaka. Rozniecił ogień i upiekł go, ale nie miał specjalnie ochoty na jedzenie.

Nagle usłyszał znane krakanie, później silne, rytmiczne bicie skrzydeł i ptaki zleciały z nieba, żeby z łąpaniem usiąść mu na ramionach.

Torak krzyknął, bo ptaszyska miały ostre pazury, a później zdjął je i postawił na ziemi. Był jednak zadowolony, że wróciły.

Tego wieczoru urządzili sobie ucztę we trójkę. Kruki, które nazwał Rip i Rek, zjadły tak dużo, że stały się zbyt ciężkie, by się wzbić w powietrze, i musiał je zanieść do ich starego gniazda.

Kiedy zasnęły, Torak siadł nad Jeziorem i patrzył na młode jaskółki, latające i ćwierkające nad jego głową, zobaczył dzięcioła, który przefrunął tuż obok niego jak zielony rozbłysk burzy, zobaczył też czerwoną wiewiórkę zwisającą jedną nogą z gałęzi, by sięgnąć po niedojrzały orzech na innej. Kiedy wzeszedł księżyc, z Lasu wyłonił się bóbr, rzucił Torakowi niepewne spojrzenie i zasiadł do pogryzania młodej wierzby. Drzewko się zważyło, bóbr odgryzł gałąź i popłynął w górę rzeki, ciągnąc ją za sobą.

Po raz pierwszy od wielu dni Torak czuł się niemal pogodzony ze sobą i ze światem. Rana na jego piersi w końcu zaczęła się goić, już się nie bał. Wiedział, że wielu rzeczy jeszcze nie pamięta, ale świat zaczynał wreszcie nabierać sensu.

Jeziro się uspokoiło, Las znieruchomiał na krótką letnią noc.

Torak poczuł na sobie czyjeś oczy i obejrzał się przez ramię.

Spośród drzew wychynęło na niego bursztynowe spojrzenie.

Zerwał się na równe nogi.

Szary cień odwrócił się i zniknął między drzewami.

Żaden wilk nie może należeć do dwóch stad. Wilk smakował gorycz tego stwierdzenia. Nie mógł jeść ani spać, ani porządnie zawycć razem z innymi. Od tej strasznej chwili, kiedy Wysoki Bezogon ugryzł go w pysk Jasną-Bestią-która-Kąsa-Gorąco, nieszczęście biegło za nim wszędzie tam, gdzie on biegł.

Teraz, kiedy przecinał truchtem Las, biegła z nim i zawiść. Co Wysoki Bezogon robi z tymi krukami? Wilki i kruki czasami razem się bawią i pomagają sobie w polowaniu, ale nie są braćmi ze stada.

Kiedy dotarł do miejsca, gdzie wilki urządziły sobie legowisko, reszta stada już wróciła z łowów, małe wilczki zostały nakarmione i poszły spać do Jamy. Wilk podbiegł, żeby dotknąć się nosami z parą stojącą na czele stada, później przywitał się z resztą, następnie wszyscy zajęli swoje miejsca na drzemkę. Biała Łapa, który został wcześniej w Jamie ze szczeniętami, pobiegł do Lasu sprawdzić, czy nie ma tam rysiów i niedźwiedzi oraz Inności, która chodziła po Wielkiej Wilgoci, a Wilk położył się ciężko, by pilnować młodych.

Wysoki Bezogon już nie chciał, żeby Wilk był jego bratem ze stada. Ani nie zawył, żeby go przywołać, ani nie szukał go w Lesie.

A teraz te kruki.

Młode wilczki wypadły z Jamy i popędziły w kierunku Wilka, poszczekując szaleńczo – przez krótką chwilę nie czuł się nieszczęśliwy. Skoczył na równe nogi, przywitał się z każdym z młodych. Dotykały go swoimi tępo zakończonymi pyszczkami, on zaś machał ogonem, oddając im mięso renifera, które przyniósł w brzuchu. Wilczki szybko rosły, wkrótce stado przeniesie się z Jamy do miejsca wiele wilczych skoków stąd, gdzie młode będą się uczyły polować. Kiedy Wilk o tym pomyślał, znów poczuł się nieszczęśliwy. Będzie daleko od Jamy, ale jeszcze dalej od Wysokiego Bezogona.

Położył się na ziemi i wsadził pysk między łapy. Ponieważ jego zadaniem było pilnowanie wilczków, jedno ucho miał podniesione, żeby słuchać, co robią, i wkrótce zdał sobie sprawę, że czają się na niego, jakby był zwierzyną łowną.

Warkot, ten najbystrzejszy, udawał niewiniątko i bawił się, obracając kij w łapach, ale cały czas się do niego zbliżał. Chaps, najmniejszy, ale najbardziej zaciekły, leżał na brzuchu, podczołgując się do Wilka z tyłu, a spokojniejsza Grzebułka czekała, żeby na niego naskoczyć, kiedy ruszą dwa pozostałe.

Nagle Chaps zaatakował. Zatopił małe ostre ząbki w boku Wilka. Warkot skoczył Wilkowi na pysk, a Grzebułka zaatakowała go od strony ogona. Wilk grzecznie leżał na boku, kiedy się na niego wspinały. Gryzły go w uszy, zakrył je więc łapami. Teraz wilczki gryzły go po łapach. Pozwalał im, bo to przecież młode.

Grzebułka się od niego odczepiła i wykopała nową zabawkę – przednią nogę jelonka, która wciąż miała kopyto. Chaps zbliżył się, warcząc

–To moje, ja jestem najsilniejszym młodym wilczkiem!

Kiedy tak stał nad Grzebułka, żeby ją ukarać, Warkot zakradł się między nie, porwał nogę jelonka i uciekł.

Patrząc, jak Warkot próbuje chwycić w zęby kopyto, Wilk poczuł się młodym wilczkiem, znowu był w Lesie z Wysokim Bezogonem na ich pierwszym wspólnym polowaniu, przeżuwał kopyto, które podarował mu jego brat ze stada. Żal chwycił go za gardło. Bolało tak mocno, że aż zapiszczał.

Obudziła się Ciemne Futro. Podeszła polizać go po pysku, ostrożnie, tak, by nie dotknąć miejsca, gdzie ugryzła Jasna-Bestia-która-Kąsa-Gorąco. Wilk był jej wdzięczny, ale ból nie znikał.

Wrócił Biała Łapa i przejął obowiązek pilnowania wilczków, a Wilk odszedł na bok i próbował zasnąć. Myśl o krukach spędzała mu sen z powiek.

Zerwał się na równe nogi. Tak nie można! Musi wiedzieć na pewno!

Niewiele czasu zabrało mu dotarcie do Jamy Wysokiego Bezogona. Wilk zanurzył się w poszyciu i ostrożnie podczołgał się bliżej na brzuchu.

Wkrótce wyszedł Wysoki Bezogon, przeciągając się i gadając do siebie. Głos miał niższy i bardziej chropawy niż przedtem, ale pachniał tak samo.

Bolało go, że jest tak blisko, a nie może się z nim przywitać. Ogon go świerzbił, żeby machać. Tęsknił za tępyimi szponami drapiącymi jego boki. Zastanawiał się, czy zaryzykować najcichsze z popiskiwań, kiedy sprawa sama się rozwiązała.

Kruki wylądowały na trawie, a Wysoki Bezogon pozdrowił je w mowie bezogonów. Wilk zamarł. Wysoki Bezogon przykucnął i głaskał skrzydła kruków. Delikatnie wziął w przednią łapę dziób ptaka i potrząsnął nim z uczuciem, a kruk zagulgotał.

W serce Wilka wdarła się zazdrość. To jego Wysoki Bezogon kiedyś chwycił za pysk, razem toczyli się po trawie, powarkiwali na siebie i gryźli się, jak młode wilczki. Teraz wilczy brat szedł do Wielkiej Wilgoci, żeby polować, a były z nim kruki krążące w Górze tak, jak kiedyś Wilk truchtał przy nim, dumny i szczęśliwy, że jest jego bratem.

Wilk nie ruszał się z zarośli. Kiedy wyczuł, że już naprawdę ich nie ma, pobiegł pędem do Jamy i zaczął węszyć, torturując się ukochanym, teraz bolesnym zapachem. Nagle usłyszał trzepot skrzydeł, po chwili suche „kra, kra, kra!” Kiedy wyszedł z Jamy, oberwał w nos szyszką. Kruki wróciły. Siedziały na gałęzi i śmiały się z niego!

Wilk rzucił się na nie, a one poderwały się w Górę, później krążyły nisko, ale

tuż poza jego zasięgiem – droczyły się z nim.

Począł, aż wróca – skoczył – kłapnął szczękami, wyrwał jednemu z nich pióro z ogona i rozdarł je na strzępy. Wściekle kracząc, kruki uniosły się w Górę. Pikowały w dół w gniewnym trzepocie skrzydeł, atakowały go, dziobały. Wilk raz po raz skakał – okręcał się w powietrzu, kłapał zębami, aż zmusił je do ukrycia się na drzewie, gdzie siedziały, kracząc i obrzucając go gałązkami. To jest nasza Jama! Wynoś się stąd!

Wilk warczał. Nie odważyły się ponownie zaatakować.

Nastroszony odgryzł gałąź wierzby i rozdarł ją na strzępy. Później odwrócił się i pobiegł do Lasu. Czuł w mięśniach mrowienie, był żądny krwi, futro miał zjeżone z wściekłości.

No, tak. Tak to się kończy.

–Nigdy mnie nie zostawiaj – tak kiedyś powiedział Wysoki Bezogon. Później zaś odpędził Wilka Jasną-Be-stią-która-Kąsa-Gorąco i związał się z nowym stadem – z krukami.

Cóż, niech mu będzie! Wilk też ma inne stado.

Kiedy Torak wrócił do szałas, od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Kruki siedziały na sośnie nastroszone, wściekle, a dużemu brakowało pióra z ogona. – Co się stało? – zapytał.

Ptaki były jednak zbyt poruszone, żeby sfrunąć na dół.

W szałasie stwierdził, że jego postanie z igieł sosnowych jest powgniatane, zobaczył w nim dziwne dołki wielkości pięści. Czuł, że powinny coś oznaczać, ale niczego nie oznaczały. Umysł Toraka wciąż się leczył, jego umiejętności tropienia wracały bardzo powoli. W ciągu ostatnich kilku dni zaczął kaszleć i gorączkować, a to nie sprawiło, że czuł się lepiej.

Na zewnątrz znalazł resztki rozszarpanej na strzępy gałęzi. Kawałek przeżutego pióra kruk. Odcisk łapy. Marszcząc czoło, przykucnął, żeby go zbadać.

Słońce schowało się za drzewami i Jezioro zrobiło się ciemne, wilczo szare. Wilczo szare...

Torak wyprostował się powoli.

–Wilk – powiedział głośno.

Po raz pierwszy od wielu dni zaczął wszystko jasno rozumieć. Zobaczył Wilka, który przychodzi go pilnować, tak jak go pilnował od czasu, kiedy się rozstali – Wilka znajdującego kruki. Zobaczył Wilka skaczącego na nie, wrywającego pióro z ogona, rozładowującego wściekłość na gałęzi.

Prawda przygniotła Toraka jak kamienna lawina. To nie Wilk o nim zapomniał! To on zapomniał o Wilku! O Wilku, jego wiernym bracie, który

polował u jego boku i chronił go przed niebezpieczeństwem. Jak mu odpłacić? Odpędził go płonąca gałęzią zastąpił go krukami!

Czuł, że nie znieśie prawdy.

–Muszę go odnaleźć – krzyknął. – Muszę wszystko naprawić!

Odkąd zapadł na tę swoją chorobę pełną szaleństw, nie wchodził do Lasu. Był niespokojny, bo Las wydawał mu się zbyt ciemny i zbyt nieruchomy. Zastanawiał się, czy i Las, tak jak Wilk, gniewał się na niego za to, że Torak go zostawił.

Drzewa jednak żyją dłużej niż ludzie i wolniej wpadają w złość. Las przyjął go z powrotem z otwartymi ramionami. Podarował mu soczyste poziomki, które złagodziły pieczenie jego gardła, a kiedy komary zaczęły za bardzo dokuczać, dał mu liście krwawnika, z poszycia podarował mu grzyb w kształcie końskiej podkowy, a co najlepsze, pokazał mu ślad Wilka – włos zaczepiony o osty, mech otarty ze zwalonego pnia. Ślad prowadził w górę zbocza, mijał jeziorko, nad którym Torak był już wcześniej, teraz płonące złotymi liliami wodnymi w słońcu późnego popołudnia.

Wilki dobrze wybrały miejsce na jamę – na zboczu tuż na zachód od jeziorka, osłonięte stojącymi na straży sosnami. Jama ziała u stóp czerwonego głazu prawie tak dużego jak Torak, ziemia wokół była udeptana wilczymi łapami i wszędzie walały się szczątki kości.

Nie było jednak wilków. Nie było też młodych wilczków, chociaż Torak widział mnóstwo odcisków małych łap. Wtedy zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Wilczki pewnie

śpią w Jamie, a stado poszło polować i nie wróci przed świtem. Będzie musiał jeszcze poczekać.

Kiedy wdychał mocny, słodki zapach wilków, poczuł falę tęsknoty i wyrzutów sumienia. Wilki uratowały go, kiedy był dzieckiem, przez wiele dni bał się ich jednak i uważał za krwiożercze potwory.

Nagle zza głazu wyłonił się wielki wilk. Zwierzę zmarszczyło pysk, warknęło i ruszyło ku niemu na sztywnych łapach.

Ledwie ważąc się oddychać, Torak wycofywał się powoli. Stado zostawiło strażnika pilnującego młodych. Powinien był o tym pomyśleć.

Strażnik wilczków był coraz bliżej. Torak odwrócił wzrok i pisnął nieszczęśliwie.

–Wybacz! Nie atakuj! Strażnik stada warknął:

–Odejdź!

Torak wycofał się powoli na drugą stronę jeziorka. Że też wilk go wystraszył! Daleko jeszcze mu było do powrotu do zdrowia. Nastąpiła krótka, letnia noc, a

Torak czekał. Żaby kumkały w szuwarach. Wydra wychynęła znad powierzchni wody i przyglądała mu się, później znów zanurkowała, a olbrzymie kwiaty lilii wodnych kołysały się na powierzchni jeziora.

Torak przysnął. We śnie słyszał dziwne szczekanie i nagle obudził się przerażony. Było mu gorąco, bolała go głowa, gardło miał tak obolałe, że nie mógł przełykać śliny.

Noc była niezwykle cicha.

Zbyt cicha.

Coś go niepokoilo, postanowił więc sprawdzić, co się dzieje w Jamie, chociaż jeszcze nie świtało i stado na pewno nie wróciło.

Tak jak wcześniej, miejsce, w którym znajdowała się Jama, wydawało się opuszczone, ale pamiętając o obecności strażnika młodych, Torak zbliżał się ostrożnie. W ciemności zobaczył brzozę z odartą korą. Za wysoko na borsuka, za nisko na niedźwiedzia. Poczł mrowienie między łopatkami. Znał to uczucie, każdy żyjący w Lesie je zna. To uczucie, że ktoś cię obserwuje. Wyciągnął nóż i podchodził tak cicho, jak pozwalał mu na to ciężki oddech wydobywający się przez ściśnięte gardło.

Coś leżało u stóp głązu.

Strażnik wilczków. Zwierzę miało rozdarty bok, gardło rozerwane na strzępy. Stoczyło ciężką walkę, żeby ocalić młode. Torak ukląkł i położył dłoń na Białej Łapie.

–Idź w pokoju. Obyś znalazł Pierwsze Drzewo i polował po wieczne czasy w cieniu jego liści.

Na ziemi niedaleko martwego zwierzęcia znalazł ślady łap – bardziej okrągłe niż ślady wilka, na obrzeżu miękkie odcisk futra.

Ryś.

Wstając, Torak rozejrzył się wokół siebie. Niczego nie widział. Pewnie go odstraszył. Dziwne było jednak to, że ryś zaatakował dorosłego wilka. Rysie rzucają się głównie na zające, wiewiórki i młode wilczki, jeżeli mogą się do nich dostać. Ryś chciał się pewnie dorwać do młodych, a strażnik stada rzucił się w ich obronie.

Popiskiwanie z Jamy potwierdziło, że ten wilk dobrze się spisał. Torak wsunął nóż do pochwy i wczłgał się do środka.

Tunel był akurat na tyle szeroki, że Torak zdołał wejść. Wciągał w nozdrza ziemisty, wilczy zapach, był znów w Jamie, gdzie złożył go ojciec, gdy był dzieckiem. Jego wilczy bracia mruzcili, kiedy wdrapywali się na niego, a oddech Matki ogrzewał mu skórę, kiedy nosem popychała go, by ssał. Wtulał się w jej

ciepły, miękki bok, mleko wilczycy było rozkosznie sycące.

Już przeszedł przez tunel i był w miejscu narodzin młodych wilczków. Kiedy oczy przyzwyczały mu się do ciemności, zobaczył, że jest ono mniej więcej wielkości szałas Kruków, ale tylko na tyle wysokie, żeby wewnątrz mógł stanąć wilk. Zobaczył błysk oczu. Futrzasta trzódka odsunęła się od niego z lękiem.

Popiskiwał, żeby uspokoić młode, ale wilczki były przerażone. On był obcy, a one właśnie straciły wuja. Wycofywał się tyłem i wyszedł z Jamy, a wtedy zobaczył olbrzymi cień odrywający się od rozszarpanego wilka.

–Wynoś się! – krzyknął, wymachując ramionami.

Jego okrzyki skończyły się atakiem kaszlu, po którym zwinął się wpół.

Ryś wskoczył na drzewo i siedział na gałęzi, bijąc ogonem o korę. Torak wyjął nóż i zajął miejsce przy martwym wilku u podnóża skały. Będzie pilnował młodych, dopóki nie wróci stado.

Dziwne jednak, że jego pojawienie się nie odstraszyło rysia. Rysie rzadko atakują ludzi, a kiedy już to robią, rzucają się na młodych i chorych.

Wtedy pojał. Ryś wiedział, że Torak jest chory. Usłyszał to w jego głosie i zwałchał w zapachu skóry. Jak młode wilczki, był dla niego po prostu zwierzyną łowną.

Ryś zeskoczył bezgłośnie z gałęzi i zaczął się skradać. Torak próbował zawyc i wezwać Wilka, ale z jego gardła wydobył się tylko charkot.

Noc była ciepła, smród ciała zagryzionego wilka dławił mu oddech. Martwe zwierzę leżało tak blisko, że mógł go dotknąć. Zbyt blisko. Powinien je odciągnąć dalej, żeby ryś mógł się w spokoju najeść. Niech bierze, co martwe, i zostawi to, co żyje. Kiedy jednak będzie odciągał ciało wilka, ryś może zaatakować młode. Wyobraził sobie maleńkie duszyczki chodzące wokół wejścia do Jamy, dotykające nosami swoich ciał. Zacisnął dłoń na nożu.

Jakiś dźwięk tuż za nim. Obrócił się na pięcie. Zobaczył tylko głaz. Rysie doskonale się wspinają i potrafią skoczyć na ofiarę z góry.

Szkoda, że nie ma toporka. Dlaczego zostawił go w szałasie? Żeby tak wyjść bez jedzenia, toporka i krzesiwa... Nie ma krzesiwa ani podpałki. Ogień odstraszyłby zwierzę. Powinien wziąć trochę tego grzyba w kształcie końskiej podkowy, przecież mógł. Stary Torak – ten przed napadem szaleństwa – nigdy by nie popełnił takiego błędu.

Znów chwycił go atak kaszlu. Kiedy się skończył, bolały go żebra, a przed oczami miał czarne plamy.

Ryś czał się w cieniu, poza jego zasięgiem. Widział jego srebrne oczy, czuł kwaśny koci zapach. Wtedy zobaczył coś, po czym żołądek podszedł mu do gardła. U wejścia do Jamy, tuż przed rysiem, wyłaniały się dwa tępe pyszczki.

Torak szczerką ostrzegawczo:

–Urrfl Niebezpieczeństwo! Pyszczki powoli znikły w środku. Ryś zauważył ruch kątem oka i obrócił głowę.

–Tutaj! Tu jestem! – krzyczał Torak, żeby go odciągnąć. Krzycząc, rzucając kamieniami, odsuwał się od Jamy. Ryś pokazał zęby i syknął na niego. Nagle jednak się odwrócił, warcząc na spadającą z nieba błyskawicę czarnego blasku.

Rip zakrakał ogłuszająco i odfrunął z dala od jego łap, podczas gdy Rek kołowała, by zaatakować. Teraz oba ptaki nękały wielkiego kota – kołowały nad nim, pikowały, żeby go dziobnąć. Ryś odskoczył od nich, a one, kracząc groźnie, schowały się na sośnie.

Machając ogonem, ryś skoczył z powrotem ku ciału martwego wilka.

Torak stał mocno zaparty piętami o ziemię, trząsł się z gorączki. Strup na piersi znów się rozerwał, czuł, jak coś ciepłego strużką cieknie mu po żebrach.

Nie widział wilczków. Wiedział jednak, że wkrótce znów wystawią nosy na zewnątrz. Kiedy tak się stanie, ryś na nie skoczy.

Wilk biegł długimi susami między drzewami. Rozpoznawał to krakanie! Co kruki robią w Jamie?

Wiatr się odwrócił, niosąc zapach rysia, wilczego mięsa i Wysokiego Bezogona. Przyspieszył kroku, a stado biegło u jego boku. Najszybsze były samice – dotarły do Jamy przed nim. Zobaczył, że przywódczyni stada skacze na rysia i odpędza go do Lasu, a Ciemne Futro i inne wilczyce dołączają do pogoni.

Wilk zatrzymał się w miejscu. Zobaczył Białą Łapę leżącego Bez Oddechu przy Jamie. Zobaczył Wysokiego Bezogona ściskającego wielki szpon w przedniej łapie. Od razu wiedział, co się stało. Gniew, radość i smutek walczyły w jego sercu.

Kruki krakały na gałęzi drzewa, ale Wilk nie zwracał na nie uwagi. Na skraju miejsca, w którym znajdowała się Jama, zobaczył mglisty kontur wilka. Spojrzał na niego uspokajająco, a to, co zostało z Białej Łapy – oddech, który chodził – przystanął na chwilę, po czym, zadowolony z tego, że wilczki są bezpieczne, ruszył truchtem do Lasu.

Czarne Ucho, Podkradacz i przywódca stada wciąż przyglądały się Wysokiemu Bezogonowi z nastroszonym futrem.

Wilk drżał i dygotał cały z tęsknoty, bardzo chciał do niego podejść, ale to przywódca stada decydował, czy Wysoki Bezogon jest przyjacielem, czy wrogiem. Przywódca podszedł do mięsa, które kiedyś było Białą Łapą a następnie ruszył sztywno w kierunku Wysokiego Bezogona. Wysoki Bezogon

stał spokojnie z odwróconymi oczami tak, jak powinien stać obcy. Wilka niepokoiło tylko to, że słał się na nogach.

Wciąż z podniesioną sierścią przywódca stada powąchał Wysokiego Bezogona.

Popiskując, wilczki pojawiły się w otworze do Jamy, ale nie wyszły. Czekały, co się stanie.

Przywódca stada już nie był nastroszony, otarł się bokiem o nogę Wysokiego Bezogona i od razu pobiegł przywitać się z wilczkami. Podkradacz i Czarne Ucho zrobiły to samo, przemykając obok Wysokiego Bezogona, a on usiadł bez sił na ziemi, nie zważając na krakanie kruków, co Wilk odnotował z dużą satysfakcją.

Położywszy uszy po sobie, Wilk zamachał ogonem.

–Bracie – odezwał się Wysoki Bezogon.

Wilk pisnął cicho i pobiegł pędem do niego.

Torak czuł się bezpiecznie w stadzie i po raz pierwszy od dwóch księżyców spokojnie przespał dłuższy czas. Obudził się po południu zwinięty w kłębek na skraju miejsca, gdzie wilki urządziły sobie Jamę. Rana na piersi bolała, ale kaszel przeszedł prawie całkowicie, czuł się dużo lepiej.

Przywódca stada zaczął wyć, przyłączyły się do niego inne wilki. Torak zamknął oczy i przepłynęła przez niego wilcza pieśń. Usłyszał żal i smutek, żal po śmierci brata ze stada i radość z tego, że wilczęta żyją; wdzięczność dla przyjaciela, który je uratował. Oddał się całej rozkoszy bycia znów z Wilkiem.

Czując, że Torak już nie śpi, Wilk podszedł do niego i polizował go tak, jak zwykle podczas zabawy, jak gdyby cała gorycz i to, co złe między nimi, nigdy nie istniało.

–Nie gniewaj się – powiedział Torak w wilczej mowie, chociaż wyraził w ten sposób tylko część tego, co naprawdę czuł.

–To nic – odparł Wilk. Już więcej nie musieli mówić. Skończyło się wycie i młoda samica – przepiękna czarna wilczyca o oczach koloru

zielonego bursztynu – podbiegła truchtem do Toraka, trzymając w pysku zgniłą głowę ryby, i położyła ją przed nim w prezencie. Podziękował jej i dotknęli się nosami. Później ona i Wilk pobiegli się pobawić ze szczeniętami.

Torak upewnił się, że Wilk jest bardzo zaprzątnięty zabawą, po czym nadział rybi łeb na rozdwojoną gałąź brzozy dla Ripa i Rek. Bardzo się starał nie zwracać na nie zbytnio uwagi w obecności wilczego brata i kruki siedziały obrażone na sośnie. Jedzenie szybko to zmieniło i już po chwili sprzeczały się o łup.

Było gorące popołudnie i martwy wilk śmierdział, Torak zawłókł go więc do

Lasu. Niech kruki rozdziobią go w spokoju, a jeżeli ryś powróci do łupu, niech się pożywi.

Następnie poszedł sam znaleźć coś do jedzenia. Wyciął sobie włócznię z bukowego drzewa, rozniecił ogień i utwardził ostrze, po czym ruszył spróbować szczęścia nad jeziorkiem z liliami wodnymi.

Wkrótce swoim nowym ościeniem upolował szczupaka. Kiedy go piekł, przypatrywała mu się grupka zdziwionych wilków, później zjadł wszystko oprócz ogona, który przymocował do kępy tataraku jako ofiarę. Następnie zjadł kilka garści chrupiącej rzeżuchy i trochę wiosennych jagód moroszki pękających słodyczą na języku jak miód.

Poczuł, że pierwszy raz od wielu dni ma pełny żołądek. Usiadł pod wiązem, żeby naprawić ubranie. Chociaż nie miał igieł i nici, poszło mu bardzo szybko. Odciął po prostu nogawki nad kolanami, a ponieważ kurtkę miał już w strzępach, zrezygnował z niej i postanowił chodzić rozebrany do pasa. Z resztek kurtki zrobił sobie nową opaskę na czoło.

Skończył, oparł się o drzewo i nie robił zupełnie nic.

Na jeziorze kołysała się kaczka, która przechylając się na boki, czyściła piórka. Para cyraneczek odwróciła się w locie brzuchami do góry, łapiąc muszki. Wydra uczyła pływać swoje małe, które zaciekle machały łapkami, ale miały zbyt napuszone futro, żeby się zanurzyć pod wodę.

Kruki ochlapwały się nawzajem w zabawie na płyciźnie, a małe wilczki bawiły się w polowanie na jagody. W błotnistych kanałach wypływających z Jeziora Wilk i trzy młode, wyrosnięte wilki bez skutku próbowały zaganiać ryby na płyciznę.

Torak poczuł przyływ prawdziwego szczęścia. Wilki, kruki, wydry, drzewa, skały, Jezioro – był pogodzony z tym wszystkim i czuł wielki spokój. Przez chwilę miał wrażenie, że jego dusza świata wyciąga rękę do duszy świata wszelkiego innego żywego stworzenia, jak nitki złotego babiego lata płynące na wietrze. Wilk szukał wzrokiem jego wzroku, a Torak wiedział, że i on to czuł – wszystko jest tak, jak powinno.

Po drugiej stronie jeziora rozsunęły się trzciny, jakby otwierając drzwi niewidzialnej istocie, a wilk przywódca stada niespiesznie odwrócił głowę, by popatrzeć. Próżnujący Torak zastanawiał się, co wilk zobaczył.

Przywódca stada był potężnym wilkiem o szarej sierści w odcieniu łupku z białym znakiem na piersi. Torak podziwiał sposób, w jaki przewodził stadu – stanowczo, ale bez wybuchów, bez zniżania się do terroryzowania i straszenia, zawsze na straży swoich towarzyszy. Tak jak Fin-Kedinn – pomyślał Torak z tęsknotą.

Młode wilczki bawiły się na płyciżnach. Wilk podszedł do Toraka i opadł na

przednie łapy, wystawiając ogon do góry i bijąc nim w powietrzu.

–Chodź się pobawić!

Torak zostawił nóż, spodnie, nogawice i wskoczył do wody.

Po upale popołudnia woda była cudownie chłodna. Zanurkował, przecinając pod wodą promienie światła i falujące, zielone wodorosty. Obok niego przepłynęła ławica złotych płotek i linów mieniących się czernią i srebrzystym błękitem. Pod liściem lilii wodnej utkwiał bąbelek powietrza w kształcie perły i Torak pchnął go palcem.

Tuż przy nim przemknęły łapy Wilka i Torak pociągnął go za ogon. Wilk szczerknął zdziwiony, Torak, pryskając kropelkami wody, wypadł wprost ze słońca, i mocowali się -Wilki udawał, że warczy, a Torak zanosił się śmiechem.

Był szczęśliwy. Tak mógłby żyć już zawsze.

Wilki wyskoczył w górę, okręcił się i spadł z pluskiem wody na Wysokiego Bezogona. Jego brat wśliznął się pod Wilgoć, po chwili wyłonił się na powierzchni, śmiejąc się śmiechem bezogonów.

Przywódczyni stada zawyła, a Wilki przyłączył się do niej. Zło zostało wygnane z Wysokiego Bezogona, kruki wiedziały, gdzie ich miejsce, a on – Wilki – mógł być równocześnie z Wysokim Bezogonem i ze stadem!

Wycie umilkło. Wysoki Bezogon wyszedł z wody i rzucił się na trawę, żeby wyschnąć, a Wilki podbiegł truchtem na wzgórek wietrzyć zapachy.

Zwąchał wiele dobrych woni, ale ku swojemu rozczarowaniu zwietrzył również zapach Innego. Płynął na Wielkiej Wilgoci, był teraz znacznie bliżej niż przedtem. Robił się coraz śmielszy. Kruki poczuły go również i uniosły się w niebo.

Wilki patrzył, jak lecą ale postanowił za nimi nie biec. Jeżeli będą jakieś kłopoty, zaalarmują stado. Po to przecież są kruki.

Torak patrzył, jak Rip i Rek odlatują na wschód, i przypomniał sobie, że ma jeszcze kilka rzeczy do zrobienia – musiał zbudować sobie szałas i zastawić kilka pułapek.

Wilki już wiedział, że Torak rusza do Lasu. Machał ogonem, by pokazać, że rozumie, a później popędził jak oszalały bawić się z młodymi wilczkami.

Torak wciągnął nogawice i znalazł miejsce przy strumyku, gdzie krzątały się bobry. Usłyszał plusk ogona bijącego o wodę. Uwaga! Intruz! Właściwie nie były jednak przestraszone, bo wiedziały, że weźmie tylko drewno, którego same nie mogły zużyć.

Wybrał trzy młode drzewka, które bobry poprzegryzały, ale nie potrafiły ich odciągnąć, bo po drodze zahaczyły o coś gałęziami. Zaniósł je na miejsce, gdzie wilki urządziły sobie jamę, zbudował szałas oparty o skałę, wypełnił boki gałązkami i poszyciem. Następnie ruszył przez Las do czarnej plaży, rozebrał

stary szalas i zatarł ślady swojej obecności.

Rana na piersi bolała i była gorąca, opatrzył ją więc przezutą korą wierzby i zabandażował skórą z kurtki. Kiedy skończył, drżał ze zmęczenia. Zrobił za dużo. Z pewnością jest słabszy, niż sądził. Zwinął się w kłębek na skraju Lasu i zasnął.

Śnił o Renn. Czuł jej obecność, ale nie mógł jej zobaczyć. Słyszał ją jednak tak wyraźnie, jakby stała tuż obok.

–Zajmij się tą raną, Toraku – powiedziała na swój suchy, a jednocześnie delikatny sposób. – W przeciwnym razie zacznie się jątrzyć.

–Położyłem na nią liście wierzby – odparł.

–Ciągle boli, prawda? Pamiętasz to lecznicze źródło na północnym wybrzeżu? Idź tam i obmyj ją, nie zwlekaj.

–Pójdę, jeżeli ty pójdziesz – powiedział, bo bardzo chciał ją przy sobie zatrzymać.

–Może – odparła i usłyszał w jej głosie uśmiech. Głos stawał się coraz odleglejszy.

–Wracaj – zawołał. – Renn, nie odchodź! Tęsknię za tobą!

–Naprawdę? – spytała z rozbawieniem. – W takim razie ja też za tobą tęsknię. Nie chciał, żeby odchodziła. Nie chciał jeszcze otwierać oczu. Był nieszczęśliwy,

kiedy się obudził.

Chmury przykryły słońce, na plaży było pusto. Idąc w kierunku Jeziora, Torak patrzył na odbitą w wodzie duszę swojego imienia. Zobaczył znak wyrzutka na czole, na piersi poszarpaną ranę po tatuażu Pożeraczy Dusz.

Dzisiaj po południu był szczęśliwy na wyspie. Kruki, bobry, wydry, wilki – wszystkie przyjęły go jak swego, brakowało mu jednak Fin-Kedinna i Renn.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze ich ujrzy.

Tamtego ranka po burzy gradowej Renn wpatrywała się w małą kamienną wysepkę, na którą wyrzuciło ich Jezioro, i zastanawiała się, jak w imię Ducha Świata ruszą w dalszą drogę. Dzień wcześniej, kiedy siedziała skulona na skałach, była po prostu szczęśliwa, że żyje. Teraz rozglądała się wokół, otwierając oczy ze zdumienia. Na wysepce było mnóstwo drzew, przynajmniej będą więc mieli ogień i schronienie, ale dało się ją obejść w czasie krótszym niż oprawia się wiewiórkę. Właśnie wiewiórkami będą się żywić, bo na wyspie nie było miejsca na nic większego, a inne wyspy były za daleko. Nie dałoby się do nich dopłynąć w pław.

Patrzyła, jak Bale podchodzi do wody, brodzi w sosnowych igłach, którymi były obsypane skały. Od czasu, kiedy się zbudzili, prawie się nie odzywał.

–Mamy jeszcze toporki i noże – powiedziała. – I mój łuk, i strzały.

–Chociaż tyle – rzekł, nie odwracając się. – Straciliśmy całą resztę.

Żywność. Okrycia z bobrowej skóry. Oba wiosła.

Nie mógł się zmusić do tego, żeby zacząć rozmowę o obciążonym skórą kajaku, który leżał między nimi. Kręgosłup z wielorybiej skóry był nietknięty, ale żebra na lewej burcie były potrzaskane, a focza skóra, którą był obciążony, podarta.

–Chyba nie będziemy mogli go naprawić – stwierdziła Renn.

–Będziemy musieli – rzucił.

–Są drzewa. Możemy zrobić dłubankę.

–Wiesz, jak długo to potrwa? Wydłubać całe drzewo? Czy ty kiedykolwiek robiłaś dłubankę? – W jego głosie zabrzmiał gniew.

–Nigdy. Kruki budowały łodzie z jeleniej skóry i drewna wierzbowego, łączyły wszystko korzeniami świerku.

–Ale nie ja – warknął Bale. – Jestem z klanu Foki. My bierzemy, co daje nam Matka Morze. Jeżeli nie chcesz więc ruszać na wodę tratwą z garści trzciny, lepiej zacznijmy naprawiać moją łódź.

Renn się nie spierała. Nie obwinił jej za to bagno, w którym się znaleźli, choć mógł, bo nie była bez winy. Najgorsze było to, że nie wiedziała, czy jej Magia dała jakieś efekty. Czuła tylko, że nigdy w życiu nie była bardziej wyczerpana. Nie zważając na ostrzeżenia, rzuciła się na oślep do walki przeciwko woli, która się z nią mocowała. Druga strona była silniejsza. Co osiągnęła? Tyle co wróbel, który w locie wpada na skałę.

Wiatr szeptał im nad głowami, szumiał w igłach sosen, a Renn miała wrażenie, że słyszy echo szyderczego śmiechu. Jakże Seshru musi się teraz z niej naigrawać!

Bale klęczał obok kajaka, głaszcząc burtę, jakby to był bok starego, wiernego psa, który potrzebuje pocieszenia.

–Bale – odezwała się. – Nie gniewaj się. Wzruszył ramionami.

–To miało pomóc Torakowi. Było tego warte. Mam nadzieję, pomyślała Renn. Bale wstał i rozprostował ramiona.

–Dobrze. Zabieram się do naprawy. Renn skinęła głową.

–Ja zbuduję szalę i znajdę coś do jedzenia.

Naprawa łodzi zajęła im cztery długie dni. Bale musiał ściąć jesion, żeby zrobić nowe wręgi. Struganie ich toporkiem byłoby niemożliwe, musiał więc zrobić specjalny strug, a ponieważ nie było krzemienia, musiał wyciosać narzędzie z kawałka granitu. Tak długo uderzał w granit kamieniem, aż otrzymał to, o co mu chodziło. Kiedy wręgi miały już właściwy kształt, musiał je rozgrzać

nad parą i wygiąć, żeby pasowały do kadłuba, a następnie wygładzić nierówne brzegi, które mogłyby przebić foczą skórę.

Żeby załatać skórę, Bale i Renn zebrali każdy strzęp, jaki mieli do dyspozycji – jego kurtkę z rybiej skóry, jej woreczek na krzesiwo i podpałkę ze skóry łososia i – z żalem – jej pochwę na łuk ze skóry foki. Ledwie starczyło, ale kiedy Bale próbował zwiększyć zapas, zastawiając pułapki na ryby, to, co złapał, było zbyt przerażające, i nie mogli tego użyć.

Na szczęście wciąż miał przy sobie narzędzia do naprawy: igły, kości i nitki z przetyku foki, ale szycie sztywnej skóry szło boleśnie powoli.

–Nie, nie, musisz robić podwójny szew – napominał ją. – Nie przebijaj na zewnątrz, bo będzie przeciekać.

Był w tym znacznie lepszy, jemu więc zostawiła tę pracę. Mimo napaństwa z kości na palcu, kiedy skończył, miał palce otarte do krwi.

Podczas gdy Bale pracował nad łodzią Renn zbudowała szałas, wiążąc kępę sitowia sznurkami ze skręconej turzycy i przywiązując ścianki do ramy z pochylonej wierzby.

Nazbierała łopianu, muli i korzeni lillii wodnych do jedzenia, przedtem przypadkiem wykopała korzeń irysa, ale smakował okropnie.

Przejrzała i posortowała strzały i ustrzeliła gągoła, kiedy ptak sfruwał na ziemię. Dzięki temu mieli tak potrzebne mięso, a ona uszyła sobie ze skóry nowy woreczek na krzesiwo i podpałkę, z piór zrobiła zaś lotki do strzał. Zabrała sobie ukradkiem troszkę tłuszczu, żeby natrzeć łuk, chociaż czuła się winna, bo Bale potrzebował każdej kropli do uszczelniania łodzi.

W tym celu podgrzali pastę zrobioną z żywicy sosny, węgla drzewnego i kaczego tłuszczu w garnuszku z kory brzoźowej. Smarowali tym kadłub, zanurzając w gęstej cieczy kije owinięte korą. Renn podobał się zapach sosny, ale Bale marszczył nos.

–Szkoda, że nie mamy foczego łoju – mruczał.

–Teraz na pewno już jest gotowa – powiedziała, kiedy skończyli. Od czasu burzy nie śnił jej się Torak, ale wspomnienia o nim towarzyszyły jej cały czas.

–Wyplłyniemy jutro – stwierdził Bale.

–Jeszcze jeden dzień? – spytała Renn rozczarowana.

–Jeżeli nie pozwolimy łodzi wyschnąć, zatoniemy.

–Ale...

–Renn. Wiem, o czym myślisz. Wyruszymy rano. Westchnęła głęboko.

–To już tak długo trwa. Nie wiem, co się mogło przytrafić Torakowi.

–Rozumiem – powiedział Bale. – Naprawdę rozumiem. Żeby rozładować napięcie, Renn poszła na polowanie. Może to dzięki ofiarom, które zostawiała

Jezioru, a może pomogła jej para kruków, które kołowały nad jej głową, ale znów miała szczęście. Upolowała kaczkę, tym razem szlachara. Upiekła ją tak, jak kiedyś uczył ją ojciec – obtoczyła w glinie i zakopała w węgielkach ogniska, później rozbiła skorupę z gliny i wyjęła ze środka soczyste mięso.

Kiedy się posilili, Bale usiadł na sosnowych igłach i wygładzał jedno z nowych wiosel końskim włosiem, a Renn położyła wnętrzności kaczki na pióro drugiego wiosła i spuściła je do Jeziora jako ofiarę. Był ciepły, spokojny wieczór, a w tataraku kumkały żaby.

Wiatr z zachodu przywiał wycie wilków. Bale uniósł głowę.

–Znowu zaczynają. Słyszeli je od czasu do czasu, a chociaż Renn wydawało się, że rozpoznaje wycie

Wilka, nie słyszała głosu Toraka. Poczowała ukłucie niepokoju. Jak to możliwe, żeby Torak był bez Wilka?

Kruki wróciły, latały wysoko i kręciły głowami z boku na bok, żeby im się dobrze przyjrzeć. Zastanawiała się, czy to dobry znak w morzu tych wszystkich złych.

–Jesteś dzisiaj bardzo cicha – rzekł Bale. Odwróciła się do niego, żeby coś powiedzieć, i zamarła.

–O co chodzi? – spytał.

–Pierwszego dnia tuż po burzy poszedłeś od miejsca, gdzie teraz leżą igły sosnowe, tam gdzie siedzisz, aż do wody.

–No i?

–Nie było daleko. Byłeś przy wodzie po trzech krokach. Spróbuj teraz.

Zdziwiony zrobił to, o co prosiła. Później jeszcze raz, żeby się upewnić. Spojrzał na nią.

–Pięć kroków. Jezioro. Cofa się, tak jak mówiły Wydry – stwierdził z ponurą miną. – To Seshru.

Renn skinęła głową.

–Rośnie w siłę.

Urrf! – szczeknął Wilk, ostrzegając brata ze stada, żeby dalej nie szedł. Chłopak nie mógł jednak teraz zawrócić, a Wilk nie mógł pójść z nim. Torak rzucił mu uspokajające spojrzenie i szedł dalej przez pole trzciny, skacząc z kępy na kępę. Słońce było już nisko, ale jeżeli będzie miał szczęście, dotrze przed zmrokiem do uzdrawiającego źródła. Nie mógł czekać do wschodu słońca. Rana na piersi paliła, zaczęła się z niej sączyć żółta ropa. Pożeracze Duszy potwierdzali swoją władzę.

–Urrf! – szczeknął Wilk stojący na linii drzew.

–Wracaj! – nakazał mu Torak w wilczej mowie. Widział przez szuwary Wilka biegnącego w kółko i popiskującego.

Skąła była taka, jak pamiętał – stroma, ale dziwnie kusząca, z mgiełką znad wodospadu owiewającą paprocie. Zadziwiająco łatwo było się wspinać, skała miała jakby wykute stopnie, krzaki rosły w odpowiednich miejscach, ale po chwili Torak był przemoczony.

–Urrf! Torak spojrzał w dół i zobaczył zaniepokojony, że Wilk za nim pobiegł. Nie potrafił

jednak wdrapać się na skałę. Skoczył – porysował pazurami granitową powierzchnię i odpadł, zawodząc. Wcale mu nie pomagało, że Rip i Rek usiadły na półce skalnej i śmiały się z niego.

–Wracaj! – powiedział mu Torak. – Jestem w Jamie w Jasności! Nie znosił sytuacji, w których nie potrafił wyjaśnić, że wkrótce wróci, ale w wilczej mowie nie ma niczego takiego, jak przyszłość.

Kiedy znów popatrzył w dół, Wilka już nie było.

Torak poczuł zmęczenie, ale wspinał się dalej. Minał wykute dłutem w skale stworzenia, które widział już wcześniej. Był zbyt blisko i zauważył tylko fragmenty – obły nos łosia, rozdwojony język węża, ale pochwycił zapach wilgotnej gliny, na której były wyryte, i uważał, żeby nie dotknąć rysunków. W końcu podciągnął się na rękach i znalazł na szczycie.

Właściwie nie był to szczyt, ale uskoki skały, z której odpadł kawałek klifu. Przed nim rozciągała się sadzawka świetlistej zieleni, zieleń była jasna jak liście buczyny, przez które prześwituje słońce. Wokół niej w zielonej glinie kwitły orchidee i czarne jagody bażyny, taką samą glinkę widział na twarzach ludzi z klanu Wydry. Podobnie jak na samej skale, i tu kamienni strażnicy stali kręgiem głazów wokół zielonej wody. Kamienne łosie unosiły łby z szerokim porożem, kamienne ptaki wodne leciały przez przestwór kamiennego nieba albo nurkowały, łapiąc kamienne szczupaki pływające nieodmiennie poza ich zasięgiem.

Torak nie widział samego źródła, ale słyszał jego echo i czuł jego moc. Nie było w nim ani dobra, ani zła, źródło istniało na długo, zanim się pojawiły.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie zna właściwych rytuałów, i wyczuł, że obserwują go Ukryci Ludzie. Pochylił głowę ku stawowi i złożył ofiarę z tego, co przyniósł -z owiniętego w liście skrzydła leśnej pardwy, które zakopał pod kamieniem, na wypadek gdyby wróciły Rip i Rek.

Następnie ukląkł, nabrał wody w złączone dłonie i obmył pierś, prosząc źródło, by go uleczyło. Woda była lodowato zimna. Jej czysty chłód koił płonącą od gorączki skórę Toraka.

Zaczął niepewnie pić. Woda smakowała krzemieniem. Podobnie smakowały jagody, które kwitły dziwnie szaro.

Zastanawiał się, czy nie posmarować zieloną gliną klatki piersiowej, ale nie chciał ryzykować. Tę glinę widział tylko na ludziach z klanu Wydry i na słupach wbitych między trzcinami. Należała do Jeziora. On zaś był z Lasu. To nie byłoby słuszne.

Tuż obok niego wylądował Rip z głośnym „kra, kra, kra!”, a Torak aż podskoczył. „Kra, kra, kra!” – zakrakała Rek, opadając na ziemię obok Ripa i strosząc pióra z niepokoju. W ostatnich promieniach słońca na ich skrzydłach zaśniła szkarłatem woda rozpryskująca się z wodospadu – wyglądała jak krople krwi.

–O co chodzi? – spytał Torak. – Chcecie jagód?

Ku jego zdziwieniu odmówiły jedzenia i rozgniewane dziobały krzaki jagód, rozrzucając gałązki. Torak przepędził je, zanim narobiły więcej szkód. W świetle poniżej zaryczał łoś, a wilki rozpoczęły wieczorne wycie.

Torak ziewnął. Pierś zdrętwiała mu bezboleśnie, nachodziło go nieodparte zmęczenie. Położył się w paprociach, zwinął się w kłębek i zamknął oczy.

Księżyc i gwiazdy wirowały mu nad głową rozpalając na granatowym niebie srebrne ognie. Czuł, że wiruje, był zmęczony, tak strasznie zmęczony...

Usłyszał syk i trzaskanie węgielków w ognisku; źródło śpiewało niekończącą się szumiącą pieśń. Po chwili włączył się inny głos mruczący słowa, których nie rozumiał. Brzmiał tak, jakby należał do Renn.

Bo to była Renn.

Siedziała plecami do niego, dorzucając do ognia. W ciemności zobaczył zarys jej bladych ramion i długie, luźno opadające na ramiona włosy. Aby się upewnić, że jest prawdziwa, wyciągnął niezdarnie dłoń i chwycił ją za nadgarstek. Kości miała lekkie i delikatne. Tak, była prawdziwa.

–Wiedziałem, że mnie znajdziesz – powiedział. To zdanie nawet w części nie wyrażało tego, co czuł. Nie chciał puścić jej ręki, miała ciepłą i gładką skórę.

Gładką. Nie było zygzakowatych tatuaży.

–Ja też wiedziałam, że cię znajdę – odezwała się Seshru, Czarownica Żmii.

Ale urosłeś, odkąd cię ostatni raz widziałam! – powiedziała Czarownica Żmii, uśmiechając się szyderczo, jakoś bokiem, połową ust. Włosy Czarownicy były czarniejsze niż ciemność, na jej bladym czole pulsował tatuaż żmii, ale jej pięknie wykrojone usta były czarne. Torak próbował się ruszyć, ale nie mógł. Nie był związany, nogi i ręce po prostu odmawiały mu posłuszeństwa.

–Te jagody – powiedział. – Zatrzymała je. Zobaczył błysk w jej oczach.

–Nie zrobię ci krzywdy.

–Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

–Bo gdybym chciała, już bym to zrobiła wcześniej. Mogłam odciąć ci głowę i zjeść ją na kolację. Nawet wilki tu nie wejda. – Pochyliła się i szepnęła mu prosto do ucha: – Ale potrzebuję cię żywego!

Serce waliło mu jak młotem, tak głośno, że na pewno to usłyszała.

–Po co? – spytał. Ona jednak tylko się zaśmiała i oblizała wargi cienkim, szpiczastym czarnym

językiem. Kiedy się odwróciła, żeby dorzucić do ognia, jej szata z cienkiej byczej skóry okleiła ją jak woda. Była obszyta skórą węża, która pieściła jej nagie ramiona i łydki, połyskując przy każdym ruchu. Torak nie mógł oderwać od niej oczu. Płonęły w nim strach i niechęć – ta kobieta była czystym złem, pomogła pozbawić życia jego ojca – wciąż jednak nie potrafił odwrócić wzroku. Patrzył, jak przesuwając dłoń nad pokrywką koszyka, wywołując ruch i szelest czegoś, co żyło w środku. Patrzył, jak skręca girlandy z ziół i zakłada je sobie na czoło, jak maluje długie, pofalowane paski na ramionach – zielone węże, które ożywały na jej bladej skórze. Wciąż się przyglądał, zafascynowany tym odpychającym widokiem, a ona uśmiechała się wszechwiedzącym uśmiechem, ciesząc się ze swojej władzy.

Rozdwojoną gałęzią podniosła kamień z ogniska i wrzuciła do naczynia z surowej skóry. Ze środka uniósł się słup pary.

–Co to jest? – spytał. Wydeła wargi.

–Gorąca woda. Byłam Uzdrowicielką, pamiętasz? Wyciągnęła z naczynia kawałek miękkiej skóry i obmyła mu pierś, a następnie pokryła ją chłodzącą miksturą. Torak poczuł się lepiej. Ból zniknął.

–Już ci nie będzie przeszkadzać – powiedziała. – Nie ma już potrzeby, żeby cię do mnie przyciągał. Chociaż dzięki temu sprowadziłam cię dokładnie wtedy, kiedy chciałam.

Sprowadziłam cię. Ten głos, który usłyszał przez sen, to nie była Renn, ale Seshru.

–Czego ode mnie chcesz? – spytał przez zaciśnięte zęby.

Wstała i podeszła do krawędzi skały. Spojrzała w dół.

–Wszystkie te nic nieznaczące stworzenia – mruknęła. – Te wilki, przestraszeni mali ludzie z klanu Wydry... Teraz należą do mnie. Muszą się poddać mojej woli, w przeciwnym razie opróżnię Jezioro.

Torak pomyślał o igłach sosnowych na czarnej plaży. Jezioro wysychało. Próbował się poruszyć, ale udało mu się tylko potrząsnąć głową.

Czarownica Żmii dotknęła zielonej glinki na ramieniu.

–To, to jest władza i moc! Kiedy mam na sobie tę glinę, ludzie, których

spotykam, widzą za warstwą zielonej glinki tylko kobietę. Chorą, przestraszoną, tak jak oni. Nawet twój wilk nie zna mojego zapachu.

Jakby przywołała Wilka, bo gdzieś z dołu rozległo się wycie.

–Zejdź tutaj! Seshru się uśmiechnęła.

–Teraz mnie poznał. Zrzuciłam maskę. Wie, kto go pokonał! Torak zauważył, że girlanda na jej czole to krzew nocy. Na każdej łodydze miał purpurowe kwiaty, zielone jagody i dojrzałe czerwone – najsilniejsze zioło, którego każda cześć przynosi śmierć, jak sama Czarownica Żmii. Była zbyt mocna. Przez chwilę poczuł, że opuszczają go siły.

Usłyszał trzepotanie skrzydeł. Rip i Rek wylądowały tuż za nim na głazie.

–Ależ ty jesteś silny! – zdziwiła się Seshru, która tego nie zauważyła. Uklękła przy nim i ściągnęła mu opaskę z czoła, a następnie delikatnie odsunęła włosy.

–Żeby wędrować duchem w ciele niedźwiedzia śnieżnego! – Pogładziła go po skroni. – Jesteś również dzielny. Żeby samemu wyciąć znak Pożeraczy Dusz! Kto cię nauczył rytuału? Na pewno jakaś Czarownica albo Czarownik o wielkiej mocy.

Próbowała mu się przypodobać. Ale nic jej z tego nie przyjdzie. A jednak... Jej dotknięcie było delikatne i łagodne. Torak próbował zebrać myśli.

–To ty... Ty ukradłaś poroże jelenia – stwierdził.

–Ty zatrzymałaś napój, kiedy odprawiałem rytuał. Ty kazałaś mi wędrować duchem w ciele łosia.

Uśmiechnęła się tym pięknym, oszałamiającym uśmiechem.

–Taki silny. Żeby wyjść samemu z choroby dusz! Jej myśli zaciemniały jego umysł, jej palce sięgały w sam środek jaźni Toraka.

–Tam, na D... Dalekiej Północy – mówił, jękając się. – Jak ci się udało uciec? Gdzie jest Czarownik Dębu, gdzie jest Czarownica Puchacza?

Zaśmiała się.

–Widzisz, jesteśmy tacy podobni, ty i ja! Oboje jesteśmy wyrzutkami, oboje niewyobrażalnie silni. Dlatego właśnie klany na nas polują. Słabi zawsze będą się bali silnych.

Rip i Rek odleciały. Torak prawie tego nie zauważył.

–Tak podobni... – Seshru dyszała mu do ucha. – Dlaczego z tym walczyć? Dlaczego nie przyjąć tego za dobry znak?

–Nie – odparł z wysiłkiem. – Nie jesteśmy podobni. Ty zabijałaś ludzi. Łamałaś prawa klanowe.

–Tylko tyle – rzekła. – Bo prawo klanowe to prawo klanowe. Tylko Pożeracze Dusz znają prawo Ducha Świata. Dlatego właśnie Duch Świata przyprowadził do mnie wędrującego ducha. – Zamilkła. – Dlaczego od razu nie wiedziałam, kim

naprawdę jesteś? Jak udało ci się to przede mną ukryć? Gdzieś musi być odpowiedź.

Zręcznym ruchem sięgnęła po jego rzeczy. Czar jej dotknięcia prysł. Torak nie mógł znieść widoku Czarownicy grzebiącej w jego rzeczach.

–Nóż twojego ojca – rzuciła z niechęcią. – Nóż zdrajcy. Łupek, róg, ściętna. Tu nic nie ma. W takim razie toporek. Chyba nie twój.

Sięgnęła po dłoń Toraka i zmierzyła ją, położywszy na ostrzu topora. Była bystra! Jeżeli toporek zrobiono by dla niego, ostrze sięgałoby od podstawy dłoni do czubka środkowego palca chłopca. To było nieco dłuższe.

–Ma na trzonku znak Kruków – zastanawiała się – ale jest zrobiony z zielonego kamienia... Powiadają, że Fin-Kedinn przez jakiś czas mieszkał ze zjadaczami żab.

Wyczytała prawdę z jego twarzy.

–Rzeczywiście jest jego! Ukradłeś toporek Fin-Kedinnowi! Złamałeś prawo klanowe. Następnie wzięła jego woreczek i wyjęła róg z lekami. Zaciśnęła wargi.

–Twojej matki. – Odłożyła na ziemię. – Tu nic nie ma. Odpowiedź leży gdzie indziej. Z westchnieniem ulgi Torak przypomniał sobie, że w woreczku jest kosmyk włosów

Renn. Seshru go nie znalazła. Nie była wszechwładna. Czasami popełniała błędy.

Seshru wyczuła w nim zmianę, a rysy jej twarzy stały się chłodniejsze od lodu rzeźbionego przez północny wiatr.

–Nie wyobrażaj sobie, że zdołasz coś przede mną ukryć. Torak spojrzał jej w oczy i wytrzymał wzrok. Z szybkością atakującego węża przysunęła twarz do jego twarzy.

–Nie pokonasz mnie i nie oprzesz mi się! Nie wtedy, kiedy będę miała to! W palcach trzymała coś małego, unieruchomionego w zwojach zielonego glinianego węża. Torak poczuł, że żołądek podszedł mu do gardła. Kamyczek, który zrobił dla Renn...

–Masz pojęcie, jaką mi to daje władzę? – syczała. – Dzięki temu ogłupiłam twoje dusze! Nie masz już własnej woli! Należysz do mnie!

Jej pięść zaciśnęła się na kamyczku, a Torak poczuł się tak, jakby ogromny gład przywalił jego serce. Otworzyła dłoń, a on znów mógł oddychać.

Zaśmiała się, doleciał do niego zapach zgniłego mięsa z ust Czarownicy – tak śmierdział korzeń, który żuła i który zaczerniał jej usta. Jakże mógł myśleć, że jest piękna? Jej duch był pusty, a tam, gdzie kiedyś było serce, teraz znajdował się tylko cień, jak ciemna plama w miejscu, w którym przez jakiś czas leżało ciało nieżywego zwierzęcia.

Teraz podnosiła pokrywkę koszyka, z którego wyslizgiwała się żmija. Cicho, bardzo cicho wyśliznęła na jej kolana. Zygzak na grzbiecie żmii widać było wyraźnie na tle srebrnej skóry, a czerwone oczy gada bez powiek były wpatrzone w oczy jego pani. Seshru podniosła żmiję i owinęła ją sobie wokół ramienia, czarny język pokazał się między zębami Czarownicy i dotknął języka żmii.

–Nie ruszaj się – powiedziała do Toraka. – Ich ukąszenie jest gorsze niż cokolwiek, co spotkasz w Lesie. Ich ukąszenie zabija...Z koszyka wysliznął się płynnym ruchem drugi wąż

–czarny jak bezksiężycowa noc – a Seshru pokazała mu kamyczek. Kiedy jego rozdwojony język wysunął się, żeby posmakować kamyczka, Torak westchnął. Pocztał ten język na własnej skórze.

–Sam tego chciałeś, wędrujący duchu – szeptała Czarownica Żmii. – Poddałeś się mojej mocy. Zostawiłeś kamyk, żebym go znalazła.

–Nie – szepnął. Jej oczy przekłuwały jego duszę jak igły.

–Dlaczego więc to zrobiłeś?

–To był... prezent – wymamrotał.

–Dla kogo?

–Dla dziewczyny.

–Dlaczego więc go jej odebrałeś? – Próbował wypchnąć z myśli obraz Renn, ale Czarownica Żmii była szybsza.

–Nazywa się Renn – powiedziała. – Kim ona jest? Z wielkim wysiłkiem oderwał od niej oczy, a jego wzrok padł na toporek z zielonego łupku. Seshru już przy nim była, w mgnieniu oka.

–Fin-Kedinna. To dziecko Fin-Kedinna.

–Jego brata. Na chwilę zapadła cisza. Później Czarownica Żmii odwróciła się do niego plecami i

usiadła, patrząc na Jezioro, a węże na jej kolanach zwinęły się ciasno jeden wokół drugiego.

–Dziecko jego brata... – stwierdziła bez emocji.

–Oczywiście. Na pewno zajął się dzieckiem swojego brata. Torak nie mógł znieść tego, że Czarownica mówiła o Renn. Ale Renn jest daleko, mówił sobie. Renn jest bezpieczna.

–Nie. – Seshru znów się do niego odwróciła. – Dziewczyna jest tu, na Jeziorze. Widziałam ją w łodzi z tym chłopcem, wysokim chłopcem o żółtych włosach. Ale teraz już ci nie pomogą.

Czy ona mówi prawdę? Czy Renn i Bale go szukają, czy to kolejne z jej kłamstw?

–Po co jestem ci potrzebny żywy? – spytał. – Czego chcesz?

–Wiesz, czego chcę.

–Mojej mocy. Chcesz stać się wędrującym duchem.

–To już mam. Mogę ci rozkazać, byś wędrował duchem, kiedy tylko zechcę.

Chcę czegoś więcej. Chcę mieć... opał ognia.

Usłyszeć, jak ona wymawia tę nazwę... Jej głos tchnął życie w wyobraźnię Toraka. Zobaczył pulsujące czerwone serce kamienia.

–Ale przecież... przecież opał zaginał pod lodem.

–Nie kłam – przerwała mu Seshru. – Jestem Czarownicą, sądzisz, że nie mam sposobu na to, żeby się dowiedzieć prawdy? Kiedy twój ojciec go rozbił, zostały trzy kawałki. Trzy! Jeden miał Czarownik Fok, jeden wziął Czarny Lód. Jeden został. Ojciec musiał ci powiedzieć, zanim umarł.

–Nie.

–Ukrył go. Ukrył go i powiedział ci gdzie, kiedy leżał, umierając...

–Nie.

–Kiedy leżał w agonii, wykrwawiał się, życie z niego umykało, demon pod postacią niedźwiedzia rozszarpał jego wnętrzności...

–Nie! – krzyknął Torak. Seshru ściągnęła z czoła girlandy z ziół i rzuciła je do ognia. Wokół niej zawirował

błękitny, aromatyczny dym i Torak poczuł, że kręci mu się w głowie. Bezradny patrzył, jak Seshru otwiera wiszący na jej piersi woreczek i macza w nim palec. Próbował się opierać, ale ona tylko przytrzymała jego szczękę i smarowała mu wargi śmierdzącą czarną mazią.

Trzymając czarną żmiję w jednej ręce, a srebrną w drugiej, zbliżyła je do ust i szepnęła słowa zaklęcia. Następnie ułożyła oba gady na jego piersi.

Nie odważył się oddychać. Czuł ich miękki chłód przepływający po skórze, delikatne skurcze, kiedy łuski węży odpychały się od jego ciała. Czuł ich języki na sobie. Seshru przyglądała się bez emocji jego lękowi tak, jak wąż przygląda się swojej ofierze.

–Twoje ciało nie może się poruszyć, ale twoje dusze mogą wędrować. Twoje dusze pójdą tam, gdzie im rozkażę. Twoje dusze zrobią to, co będę chciała.

Czarna maź na wargach była gorzka. Torak zobaczył rozbłyśki, mdlące spirale światła. Zobaczył czarne włosy Czarownicy Żmii wijące się jak węże wokół jej twarzy. Poczuł, że jego dusze coś odrywa od szpiku kości. Krzyknął...

...bezgłośnie, a jego czarny język dotknął powietrza. Ostatnie, co usłyszał, zanim stał się wężem, to głos Czarownicy Żmii rozkazujący mu odnaleźć Renn.

Szybciej niż myśl wąż ześlizgiwał się po skale. Smakował językiem zapach koników polnych i paproci. Czuł dookoła siebie nerwową krzątaninę mrówek i

żuków. Powietrze, liście, woda, zwierzyńatolna, światło – na nic nie zwracał uwagi. Jego pani wysłała go na znacznie ważniejsze polowanie.

Kamienie płonęły gorącym zachodzącym słońca, a wąż wchłaniał ciepło, pełząc w dół. Bezgłośnie zsunął się ze skały, teraz ze wszystkich stron otaczała go woda – wchłaniał w siebie chłód Jeziora.

Wąż poczuł tę zmianę, ale nic więcej nie poczuł. Ani przyjemności, ani niewygody, zapachu, ani lęku. Rozpoznawał te odczucia, bo smakował je na walczących o życie przeciwnikach i na górach ciepłego mięsa, które chodząc, wstrząsały ziemią, ale nie były one uczuciami węża.

Dzięki temu dusze węża były bardzo silne – były czystym zamiarem niezmaconym przez emocje. Torak nie uwierzyłby, że w tak szczupłym ciele może być zamknięta tak wielka

siła. Jego własne dusze były osłabione trucizną; nie potrafił odwieść węża od powziętego zamiaru. Mógł tylko się trząść wewnątrz jego małego, chłodnego mózgu, kiedy gad z prędkością błyskawicy płynął przez Jezioro, śmiercionośny jak zatruta jadem strzała.

Czuł chłód trzciny i wody obmywającej jego skórę. Jego oczy bez powiek zauważały światło odbite od płynących ryb, małe rybki wyskakujące nad powierzchnię wody. Po chwili znów był w cieple, na języku miał mocny zapach sosny. Piasek był chropawy i szorstki, chwycił się go łuskami. Unosząc płaską głowę, poczuł zapach kruków.

Czarny ptak zataczał pętle w powietrzu, jego głos tłumili gałęzie drzew, po chwili, kiedy ciężko wylądował na ziemi, krakanie stało się przenikliwie głośnie.

Wąż umknął do jakiejś dziury, gotowy na uderzenie. Poczuł, że kruk zbliża się w podskokach. Wyczuł węża, ale nie potrafił go dosięgnąć. Rozgniewany dziobał korzeń drzewa, które go osłaniało. Ziemia zadrżała, kiedy ptaszysko odleciało.

Wąż wyłonił się, kiedy było już bezpiecznie. Prześliznął się po omszałym boku powalonego drzewa, wśliznął pod poszycie wyższe niż las. W końcu wyczuł zapach śpiącego mężczyzny, a za nim słodszy zapach kobiety.

Dusze Toraka walczyły, by się uwolnić, odwieść węża od powziętego zamiaru, ale gad pełzał zawzięcie. Teraz, kiedy wślizgiwał się pod liście, a później na kamień, czuł falę gorąca bijącego od śpiących ciał.

–Kąsaj, kąsaj – głos jego pani krążył po umyśle węża. Znów ta część gada, która była Torakiem, próbowała zmienić zamiary zwierzęcia, ale mięśnie nie poddawały się tym rozkazom.

Kąsaj, kąsaj.

Wężowy zwój dotknął nagiej stopy, gad ślizgał się po nagiej łydce, po miękkiej, wyprawionej skórze łosia i szorstkiej wyplatanej trawie do kępki

ciepłych kruczych piór unoszących się i opadających we śnie. Wężowa głowa odsunęła się gwałtownie od znaków na nadgarstku – podobnych do jego zygzaków, lecz innych, za nimi rozdwojony język posmakował jednak nieosłoniętej skóry.

–Nie! – krzyknął Torak w chłodnym mózgu węża. – Nie! To jest Renn!

Wąż otworzył szeroko pysk – jego zakrzywione zęby wysunęły się z podniebienia i skierowały w dół – napełniły się jadem, gotowe do ataku... Kąsaj, kąsaj.

Torak się obudził.

Gdzieś nad nim wirowały chmury, rzucając go po morzu mdłości. Stopniowo dotarły do niego odgłosy źródła. Czarownica Żmii siedziała u jego boku nieruchomo, twarz miała bladą jak wysuszona kość. Żmij nie było.

–Zrobione? – spytała. Skinął głową. Odetchnęła głęboko. Wstała i spojrzała na Jezioro. Następnie odwróciła się, a Torak

wiedział, że go nie dostrzegala, patrzyła przez niego na moc, którą mógł jej dać.

–Aż do teraz – powiedziała – nawet ja nie rozumiałam siły uśpionej w wędrującym duchu. – Wróciła, uklękła, a jej długie włosy otarły się o jej klatkę piersiową, kiedy zbliżyła twarz do jego twarzy. – Tylko pomyśl, czego możemy dokonać, mając taką władzę! Mogę poznać najtajniejsze sekrety. Mogę naginać wszystko, wszystko do mojej woli!

Torak zacisnął powieki. Jeszcze bardziej zakręciło mu się w głowie. Próbował wstać, ale chociaż ruszał już odrobinę rękami i nogami, wciąż był słaby jak dziecko. Seshru zaczesala mu wilgotne od potu włosy z czoła na głowę.

–Oto jest wola Ducha Świata. Oto dlaczego zesłał mi taki dar! Z wędrującym duchem i opalem ognia będę rządzić! Wszystkie stworzenia, wszystkie demony będą się mnie bały i będą mi posłuszne!

Nie mógł opanować mdłości. Niezdarnie uniósł się na łokciu i zwymiotował. Czarownica Żmii przycisnęła go do piersi lodowato chłodną dłonią.

–Wielką moc okupuje się cierpieniem, wiem. Teraz już rozumiesz. Należysz do mnie. Wyczerpany oparł się o nią bez sił.

–Powiedz to – szeptała, a jej oddech płynął po jego skórze gorący i cuchnący. – Powiedz, że należysz do mnie!

Spojrzał w górę i zobaczył, że jest bardzo piękna. Nawet jej czarny uśmiech był piękny.

–Należę do ciebie – powiedział.

Renn była poruszona snem o żmii.-Co to miało oznaczać? – spytał Bale, kiedy ładowali rzeczy do kajaka.

–Nie jestem pewna. Ale był przesycony barwami, więc to musi być prawda.

Myślę, że...

–Tak?

–Myślę, że już go ma. Bale zatrzymał się z wiosłem w dłoniach.

–Powiedziałaś, że magia zadziałała.

–Powiedziałam, że chyba zadziałała. Nie można być do końca pewnym.

Pomyślał o tym chwilę.

–No cóż. Mam więcej wiary w ciebie. I w Toraka. Renn zamilkła. Nie powiedziała mu o prawdziwym wężu, którego zobaczyła kątem oka, kiedy nagle obudziła się przestraszona. Co by było, gdyby nie odpędziły go kruki?

O, ta Seshru jest przebiegła! Odcięła Toraka od klanów, od przyjaciół, nawet od Wilka, a teraz ma go dla siebie na Jeziorze, które zawłaszczyła. Siedzi i śmieje się z nich wszystkich.

Był ciepły świt, mieli wiatr od rufy i rozwijali dobrą prędkość. Wysepka, jak się okazało, była znacznie dalej na zachód, niż sądzili, i dopiero wczesnym popołudniem Wyspa Ukrytych Ludzi ukazała się na horyzoncie.

Kiedy kołysali się na płycznach, Renn złożyła ofiarę, prosząc o pozwolenie wyjścia na brzeg, później dopłynęli kajakiem na czarną plażę otoczoną przez czujny Las. Niedawno padało i z drzew unosiła się mgiełka. Z pasa czerwonych igiełek sosny dobiegał zapach zgnilizny, który przywiódł Renn na myśl węża.

–Ani śladu po Toraku – stwierdził Bale, wracając po krótkich poszukiwaniach na plażę. – Ale znalazłem inne tropy.

Kiedy Renn je zobaczyła, serce zabiło jej szybciej. Dmuchnęła w gwizdek z kości pardwy, ale nie usłyszała odpowiedzi. Poczowała się jeszcze bardziej zaniepokojona.

Weszli do Lasu, wiatr ustał, poczuli na skórze gorąco. Chmary komarów unosiły się w powietrzu. Rozlegała się muzyka koników polnych, ale ptaki milczały, raz po raz słyszeli tylko ostry krzyk pleszki.

Brodzili w sprężystym poszyciu krzewów jagodowych, idąc w górę niewielkiego strumyka. Mijali kopce mrowisk wysokości dorosłego człowieka i pochylone ku ziemi głązy odziane w szaty z mchu. Renn dojrzała przez ramię przeblask Jeziora między drzewami, po chwili wodę zasłoniły gałęzie drzew iglastych i już nic nie było widać. Obecność Ukrytych Ludzi była mocno wyczuwalna. Zobaczyła, że Bale dotyka swojego amuletu z żebra foki.

Dotarli do polany, na której strumień rozlewał się szeroko przed zaporą z gałęzi. Ogromne kałuże brązowej wody błyszcząły między przegryzionymi

pniakami i stertami rozwleczonego drewna. W powietrzu czuć było rzeński zapach żywicy.

–Bobry – powiedzieli oboje jak na zawołanie. Bale uśmiechnął się kącikiem ust, a Renn przestała się czuć tak nieswojo. Jeżeli Ukryci Ludzie pozwalali mieszkać bobrom na wyspie, może i Torak... Znów ozwał się krzyk pleszki. Renn zamarła.

–Torak? – krzyknęła cicho. – Czy to ty?

Bale uniósł brwi, a ona wyjaśniła, że to sygnał, którym się czasami posługiwali. Zawołała jeszcze raz. Las stężał w milczeniu. Serce waliło jej jak młotem.

–Może chodzi o naszą broń – odezwał się Bale przyciszonym głosem. – Będzie ostrożny.

Renn spojrzała na niego ze zdziwieniem.

–Nie będzie się przecież nas bał!

–Renn. On tak długo już jest wyrzutkiem. Odłóżmy broń, powinniśmy wejść głębiej między drzewa.

Jeżeli to on, na pewno nie wyjdzie na otwartą przestrzeń. Oparli broń o pniak, ruszyli z polany i znów weszli do Lasu.

–Torak! – szepnęła Renn w kierunku stróżujących na wyspie sosen.

–Przychodzimy ci z pomocą – szepnął Bale. Daleko nie odeszli, a kiedy się znów wyłonili zza wysokiego głazu, znaleźli własną broń porządnie ułożoną na krzaku czarnych jagód. Tylko łuk Renn wisiał na gałęzi brzozy.

–Przecież nie mogłem pozwolić, żeby zamókł – powiedział Torak.

\$?

Nie było czasu na powitania.

Torak skinął głową by ruszyli za nim, po chwili wszyscy szli w kierunku gęstwiny.

–Musimy wejść głębiej, w przeciwnym razie ona nas zobaczy.

–Jest tutaj?! – krzyknęli razem Bale i Renn.

–Na północnej skale – mruknął Torak. – Tam się zaszyła. Nie będzie ryzykować zejścia na wyspę, boi się wilków.

Renn poczuła gęsią skórę na szyi.

–Naprawdę ją widziałeś?

–Zwabiła mnie tutaj. Myślała, że jej pomogę. A ja... Ja uciekłem.

–Ale jak? – spytał Bale.

Twarz Toraka pozostała kamienna.

–Nawet Czarownica Żmii musi czasem spać.

–Ale niedługo – powiedziała Renn. Torak milczał. Na jego twarzy malowało

się napięcie, nie uśmiechał się, wciąż

odwracał głowę, nasłuchując odgłosów pogoni. W jego oczach widzieli nieprzespane noce, brak jedzenia i lęk. Renn zauważyła z bólem serca, że nie ma już na nadgarstku jej bransoletki z owoców jarzębiny.

Nie była pewna, czy cieszy się, że ich widzi, czy nie. Trudno było powiedzieć, co Torak czuje. Próbowwała przemóc wrażenie, że stał się kimś obcym.

Zupełnie inaczej wyglądał! Kiedy odszedł, był chudym chłopcem, a teraz był tak wysoki jak Bale, a żyły na ramionach miał napięte jak powrozy. Na piersi zrobił mu się strup tam, gdzie kiedyś był znak Pożeraczy Dusz, a na ramionach widniały tajemnicze zadrapania, a chociaż wciąż nosił na głowie przepaskę, przypominała jej o kryjącym się pod nią tatuażu wyrzutka i o wszystkich niebezpieczeństwach, które sam pokonał. Bez niej.

Znaleźli powaloną sosnę i ukryli się za nią. Bale obdzielił ich wyjętym z mieszka na żywność suszonym mięsem kaczki. Torak jadł szybko i zachłannie jak wilk. Nie opowiadał im wiele o tym, co się zdarzyło w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, powiedział tylko krótko, że Wilk przyłączył się do stada. Bale opowiadał o spotkaniu z klanem Wydry i o tym, jak rozbili łódź. Renn wyraźnie ulżyło, że nie wspomniał o jej próbach stosowania Magii. Torak przez cały czas rozmawiał ze swoim krewniakiem, unikał patrzenia na nią.

Nastąpiła cisza, a ona zdobyła się wreszcie na odwagę.

–Pozbyłeś się znaku Pożeraczy Dusz. Skinął głową.

–Odbyłem rytuał, ale nie wiem, czy podziałał. Zachorowałem. Popadłem w jakieś szaleństwo.

–Choroba dusz – powiedział Bale.

–To było to? – spytał Torak. – No tak, ale teraz jest mi już lepiej.

–Jak wyzdrowiałeś? – spytała Renn.

–Nie wiem. Po prostu wyzdrowiałem. Usłyszeli trzepotanie skrzydeł i na ramieniu Toraka wylądował kruk. Mrużąc oczy, uniósł ptaka.

–Mówiłem ci, żebyś tego nie robił. Renn i Bale spojrzeli po sobie zdumieni. Jeszcze jeden kruk wylądował na krzaku jałowca. Kiedy Torak dał każdemu z nich po

skrawku mięsa, poleciały na najbliższe drzewo, skąd podejrzliwie zerkały na nowo

przybyłych. Renn była zdumiona. Kruki są bardzo podejrzliwe, ale w obecności Toraka zachowywały się całkowicie swobodnie.

–Skąd się wzięły? – spytał Bale.

–Było gradobicie – powiedział Torak. – Wypadły z gniazda i ja... musiałem

się nimi zaopiekować. Dziwne, ale później zacząłem wracać do zdrowia.

Bale pochwycił spojrzenie Renn i się uśmiechnął. Dziewczyna zachowała powagę. Nie zamierzała być dobra w sztuce Magii. Była też trochę zazdrosna o te kruki...

–Większego nazywam Rip – dodał Torak. – Ten mniejszy to Rek. Uważajcie na swoje rzeczy, bo uwielbiają kraść, a to, czego nie ukradną, drą na strzępy. Kiedy pojawi się Wilk, nie zwracajcie na nie uwagi. Robi się strasznie zazdrosny.

Czując, że na nią kierują się wszystkie spojrzenia, Renn skłoniła się krukowi.

–Witam, praojcowie, i dziękuję. Rek zatrzepotała skrzydłami i zakrakała.

–Witam, witam! Rip uniósł ogon i przyozdobił paprocie odchodami. Torak spojrzał zdziwiony na

Renn, ale ona się nie odezwała. Niech myśli, że kruki przyleciały do niego przypadkiem. Bale wstał i powiedział, że idzie schować kajak. Nagle Torak i Renn zostali sami, sytuacja zrobiła się jeszcze dziwniejsza.

Torak zmarszczył brwi.

–Renn...

–Co?

–Ten łoś. Ten, który cię zaatakował.

–Wiem – rzuciła pośpiesznie.

–Naprawdę? – Torak jeszcze mocniej zmarszczył czoło. – Strasznie się niepokoiłem. To dlatego wróciłem do obozowiska, żeby zobaczyć, czy z tobą wszystko w porządku.

–Ja wiem. Torak...

–Ona mnie do tego zmusiła! – wyrzucił z siebie. – Kazała mi robić straszne rzeczy! Napaść na ciebie, później na Ak... na tego chłopaka z klanu Dzika.

–Na Akiego? – prychnęła Renn. – On się świetnie czuje. Torak wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

–Naprawdę?

–Ma złamaną rękę, ale goi się na nim jak na psie.

–Więc on żyje!

–Prawdę mówiąc, wołałabym, żebyś go trochę bardziej poobijał. Bale mówił, że kiedy odchodził z obozowiska, Aki próbował namówić swój klan, żeby ruszyli w ślad za tobą.

Torak nie słuchał. Głowę trzymał w dłoniach, wyglądał młodziej, był niepewny i zagubiony.

–Może nie zmieniłeś się aż tak – stwierdziła Renn.

–To ty się zmieniłaś – mruknął. – Ja? Dotknął swojego policzka, żeby pokazać, że zauważył jej tatuaż pierwszej krwi.

–Wydajesz się starsza. Renn poczuła się zawstydzona.

–Nie znoszę mieszkać z Saeunn. Zgrzyta zębami przez sen. Za pierwszym razem, gdy to usłyszałam, myślałam, że ktoś ostrzy nóż. Ale to trwało całą noc. Torak wydał wargi.

–Śmierdzi staruchą?

–Jak nieżywe zwierzę, które leżało przez trzy dni w lesie. Uśmiechnął się. I nagle już nie był kimś obcym. Wrócił Bale, wyglądał na zaniepokojonego.

–Powinienem być wcześniej ukryć kajak, mogła go zauważyć.

–Niezależnie od tego, co zrobisz, prędzej czy później będzie wiedziała, że tu jesteście – powiedział Torak.

–Ona wie wszystko. Renn poczuła zimny dreszcz.

–Ale czego ona chce! – spytał Bale.

–Chce objąć w posiadanie Jezioro – odparł Torak.

–Chce, żebym jej pomógł odnaleźć ostatnią cząstkę opalu ognia. Chce rządzić.

–Jak cię zmusi, żebyś jej pomagał? – spytała niepewnie Renn, czując, że brakuje jej oddechu.

Torak się zawahał.

–Pamiętasz ten kamyczek, który dla ciebie zrobiłem? Ona go ma. Renn zacisnęła powieki. Właśnie tego najbardziej nie chciała usłyszeć.

–Ale... i tak się wyrwałem – stwierdził niepewnie.

–Wyszedłem też z choroby dusz. Kiedy zaś kazała mi wędrować duchem w ciele żmii, oparłem się.

Nie, wcale się nie oparłeś, pomyślała Renn. Kruki zbudziły mnie na czas. Głośno powiedziała jednak:

–Ona ci każe znowu to zrobić, Torak. Albo wymyśli coś innego. Jest jak wąż. Jeżeli napotyka przeszkodę, prześlizguje się dookoła niej.

Torak wstał.

–W takim razie sami będziemy musieli znaleźć opal ognia, zanim ona położy na nim łapę. Chodźcie. Będziemy bezpieczniejsi wśród wilków.

Wszystko toczyło się tak szybko, że Torak nie był w stanie ogarnąć tego umysłem.

Najpierw ucieczka od Seshru – niebezpieczne zejście po skale, gonitwa w chlupoczącej wodzie pośród szuwarów, następnie między drzewa, do Lasu. Bał się, że w każdej chwili zęby węża mogą zatopić się w jego łydkach. Bał się, że stanie twarzą w twarz z Czarownicą która rzuci na niego wszystkowiedzące, pełne mocy spojrzenie.

Nagle pojawili się Renn i Bale.

Powinien być w siódmym niebie, ale był zbyt zdezorientowany. Renn wyglądała jakoś inaczej! Wciąż miała w kąciku ust znamię wielkości ziarenka brzozy, ale czerwona kreska na tatuażu klanowym postarzała ją już nie wyglądała jak jego dawna koleżanka. Był to widomy znak, że życie klanów toczy się bez niego, że on zostaje z tyłu za innymi.

Przeżył szok, zobaczywszy ją z Bale'em. Szli razem przez las i Torak widział, jak dobrze do siebie pasują. Patrzył, jak Bale przytrzymuje gałąź, żeby nie zahaczyła o jej łuk, i poczuł ukłucie zazdrości. Ten chłopiec z klanu Fok zajął jego miejsce. Miał jednak wrażenie, że Renn niczego nie zauważa. Chciała wiedzieć wszystko, co mówiła i robiła Seshru, kiedy był z nią przy źródle, i słuchała z tym samym skupieniem, z jakim tropiła dziką zwierzynę.

–Znajdzie sposób, żeby cię dopaść – powiedziała. – Szkoda, że nie wiemy, co robi. Bale patrzył, jak Rip ląduje na sośnie.

–Torak mógłby wędrować duchem w ciele kruka, wszystkiego by się dowiedział.

–O tym też myślałem – rzekł Torak. – Ale nie mogę. Jeszcze na Dalekiej Północy przyrzekłem wiatrowi, że nigdy już nie będę latał.

–Ale by się z ciebie śmiała, gdyby to wiedziała! – powiedziała Renn z goryczą Zmierzchało już, kiedy dotarli do jeziora lilii wodnych. Miejsce, gdzie wilki urządziły

Jamę, było ciche. Torak dwa razy krótko zaszczekał. Tu jestem! Żadnej odpowiedzi. Pobiegł przeszukać Jamę. Nie ma strażnika młodych. Nie ma małych wilczków.

–Wilki odeszły – powiedział, nie wierząc własnym oczom. – Nie ma już stada. Renn stała z rękami na biodrach, rozglądając się dookoła.

–Dokąd zabraliby młode? Torak przez chwilę pomyślał.

–Kiedy młode wilki podrosną, stado zabiera je w nowe miejsce, żeby się nauczyły polować. – Westchnął głęboko. – Tak, na pewno tak się – stało.

–To daleko stąd? – spytał Bale przez ściśnięte gardło.

–Może dzień wilczych skoków, może więcej.

–Czyli... to będzie gdzieś poza wyspą? – spytała Renn.

–Tak – odparł Torak. – Ale Wilk przyjdzie po mnie albo odnajdziemy się nawoływaniem.

–Torak! – przerwał mu Bale. – Nie rozumiesz, co to znaczy? Jeżeli wilki odeszły z wyspy, to znaczy, że...

–Tak – odezwała się Czarownica Żmii. – Masz rację chłopcze.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na głazie nad Jamą, patrząc na nich z

szyderczym, krzywym uśmiechem.

–Wilków już nie ma – zwróciła się do Toraka. – Wszystkie odesłałam.

–Nie słuchajcie jej – odezwała się Renn.

–Dlaczego, czy mogę wam zrobić jakąś krzywdę?

–spytała Czarownica Żmii, nie odrywając oczu od Toraka. – Jest was troje na jednego, a ja nie mam broni.

–Jej głos był łagodny jak dźwięk wody obmywającej kamień. Mówiła tak, jakby zwracała się tylko do niego, jakby byli tu sami tego gorącego, dusznego wieczoru.

–Nie mam broni – szeptała. – Nawet noża. Torak czuł, że pot zaczyna mu płynąć po plecach. Rzucił szybkie spojrzenie na

przyjaciół. Bale stał jak zauroczony. Zapomniał, że trzyma w ręku toporek. Renn ścisnęła łuk i strzałę, ale nie mierzyła w Czarownicę.

–Nie mam nawet noża – powtórzyła, znów ściągając na siebie jego wzrok. Na jej piersiach powoli unosił się i opadał woreczek z lekami. W świetle wieczoru oczy miała czarne, nie zamrugowała ani razu powiekami, zupełnie jak wąż. – Okłamałeś mnie – powiedziała.

–Oszukałeś mnie i uciekłeś. Myślałam, że jesteś dzielniejszy. Torak się zatoczył.

–Nie możesz mnie zmusić, żebym z tobą poszedł

–odparł z wysiłkiem.

–Mylisz się, mogę. – Dotknęła woreczka. – Wiesz, że mogę. Mam twój kamyczek mocno ściśnięty w zwojach węża z zielonej gliny. Nie pokonasz mnie!

–Nie słuchajcie jej – warknęła jeszcze raz Renn.

–Więc to jest Renn – powiedziała Seshru, opierając się na dłoniach i przyglądając dziewczynie rozbawionym wzrokiem. – Ta mała wiedźma! To ty mu pomogłaś, dzięki tobie tak się opierał, prawda? Musisz mieć jakiś talencik do Magii. – Przerwała. – Ależ oczywiście, że masz! Obie wiemy skąd.

Dziewczyna drżącą dłonią założyła strzałę na cięciwę łuku. Torak chwycił ją za ramię.

–Renn, nie!

–Nie wolno ci, ona nie jest uzbrojona! – wykrzyknął Bale. Seshru zaśmiała się, odsłaniając białe gardło.

–Nie bójcie się, ona nie strzeli! Nie może. Możesz, Renn? Drżąca Renn opuściła łuk.

–Wiedziałam, że nie strzeli – powiedziała Czarownica Żmii z pogardą. Zwróciła teraz oczy na Bale'a.

–Zabić nieuzbrojoną kobietę... Kto by się na to ważył? Może ty? Jej piękno

pochwyciło go jak w sieć, a toporek wysunął mu się z ręki.

–Tak też sądziłam – stwierdziła. – Byłaby to oznaka słabości u mężczyzny, a ty nie jesteś słaby. Jesteś łowcą z klanu Foki. Jesteś taki silny.

Bale otrząsnął się i wziął głęboki oddech, jakby wypływał z wody po powietrze. Ale jego ramiona wisiały bezwładnie po bokach. Czarownica Żmii odwróciła od niego wzrok i raz jeszcze Torak poczuł na sobie jego moc. To było jak patrzenie prosto w słońce.

–Nie patrz na nią! – krzyknęła Renn. – Nie słuchaj jej! Torak zaciskał palce na rękojeści noża, aż mu kłykcie zbieleły. Ten nóż należał do ojca. Ojciec miał siłę oprzeć się Pożeraczom Dusz. Więc on też musi.

–Ja... ja z tobą nie pójdę – wydusił z siebie w końcu.

–Nie pomogę ci szukać opalu.

–Nie martw się, pójdziesz – powiedziała Seshru, rozchylając usta w bezgłośnym śmiechu. – Kiedy poznasz prawdę, na pewno pójdziesz.

–Nie!

–Widzisz – mówiła dalej tak, jakby dopiero zaczynała przemowę. – Mogę cię zmusić, żebyś zostawił przyjaciół. Mogę cię odciąć od twojego bezpiecznego stadka bardzo łatwo, jednym pstryknięciem palców.

–Nie! – szepnął Torak.

–Ona łże! – powiedziała Renn dziwnym, proszącym tonem. – Łże jak pies, Torak. Uwierz mi! Przypisuje sobie fałszywe zasługi, zaprzecza zbrodniom, które popełniła. Nie wolno ci wierzyć w ani jedno słowo, które ta kobieta powie!

–W niektóre mu wolno – rzekła Seshru do Renn głosem przesyconym jadem. – Obie to wiemy, prawda, Renn? Chociaż przyznam, że jestem zdziwiona, że mu tego jeszcze nie zdradziłaś. Jeżeli jest twoim przyjacielem, jeżeli zależy ci na nim tak, jak jemu zależy na tobie, a jemu naprawdę zależy, wierz mi... Żeby mu nie powiedzieć! Co za błąd! Ale przecież już wiesz, że to był błąd... – powiedziała, udając zawstydzenie. – Prawda, Renn?

Torak zobaczył, że dziewczyna staje się blada jak kredowa ściana.

–Renn? – spytał. – Coś nie tak? Jej oczy zamieniły się w ciemne otwory, trudno było odczytać cokolwiek z twarzy.

–Chciałam ci powiedzieć – odezwała się zduszonym głosem. – Ale nigdy nie potrafiłam... Nigdy nie nadszedł ten właściwy moment.

Torak poczuł, że robi mu się zimno.

–Powiedzieć mi o czym?

–Jeszcze nie odgadłeś? – spytała Seshru, pochylając się do przodu i przyglądając mu się hipnotyzującym wzrokiem węża, który zbliża się do swojej ofiary.

–Czego nie odgadłem? – spytał Torak. – Renn, o co chodzi? Seshru zaśmiała się swoim zgniłym uśmiechem.

–Powiedz mu. No, powiedz! Renn otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

–Co? – krzyknął Torak. Czarownica Żmii oblizwała czarne usta.

–Ona jest moją córką! – syknęła.

Renn modliła się, żeby Torak coś powiedział. Cokolwiek, ale on tylko stał tam i patrzył na nią. To było znacznie gorsze.–Chciałam, naprawdę – powiedziała. – Ale nigdy nie było odpowiedniej chwili. Patrzył na nią, jakby ktoś go kopnął w klatkę piersiową. Patrzył, jakby nie wiedział, kim ona jest. Odezwała się jeszcze raz.

–Na początku po prostu nie mogłam ci powiedzieć. Nigdy byś się nie chciał ze mną zaprzyjaźnić.

–Dwie wiosny – zaczął cicho. – Ukrywałaś to przez dwie wiosny. Poczła chłód – wżerający się głęboko wewnętrzny chłód, który stał się mocniejszy niż nachodzące ją drżenie.

–Myślałam, że zgadłeś. Kiedy wędrowałeś duchem w ciele łosia. I węża. Wydawało mi się, że jesteś na mnie zły.

–Nie. Za dobrze to ukrywałaś. Wzdrygnęła się.

–Ty... Ty też ukrywałaś przede mną różne rzeczy

–stwierdziła oskarżycielskim tonem. – Nie powiedziałaś mi o tatuażu Pożeraczy Dusz. Ale to przebolełam. Zrozumiałam.

–Przez dwa księżyce, a nie przez dwie wiosny. Zrobił kilka kroków do tyłu, następnie odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Renn. Był blady, jakby uszła z niego cała krew. Usta miał poszarzałe.

–Kiedy cię poznałem – zaczął powoli – czułem, że jest... coś. Nie ufałem ci. – Przerwał. – Okazało się, że słusznie.

–Jak możesz tak mówić? – wybuchła. – Oczywiście, że możesz mi ufać! Torak kręcił głową z niedowierzaniem.

–Całe dwie wiosny. Byłem twoim przyjacielem, a ty mnie okłamywałaś, kłamałaś codziennie.

–Wciąż jesteś moim przyjacielem! – krzyknęła.

–A ja wciąż jestem Renn! Wciąż jestem tą samą osobą! Bale wkroczył między nich.

–Torak. Ona nie chciała cię skrzywdzić.

–Co ty o tym wiesz? – rzucił Torak krótko. – Trzymaj się od tego z daleka, nie wtrącaj się, bo to nie ma z tobą nic wspólnego.

–Torak, proszę – jęknęła Renn. – Wiem, że powinnam ci była powiedzieć...

–Nie zbliżaj się do mnie! – skrzywił się. – Nie chcę cię już nigdy widzieć na oczy! Po prostu... Wynoś się!

Dziewczyna odwróciła się i uciekła.

–Renn, wracaj! – krzyknął Bale. – Nie... Torak... Ty też nie znikaj! Renn! Musimy się trzymać razem! Ona właśnie tego chce!

Dziewczyna biegła na oślep przez las, było jej wszystko jedno dokąd. W biegu zobaczyła, że Czarownicy Żmii nie ma już na głazie. Rozproszyła ich. Poszło jej tak łatwo, jak mówiła – jednym pstryknięciem palców.

Torak myślał tylko o tym, żeby być sam. Słyszał, jak Bale biegnie za nim, deptając po suchych gałęziach, ale chłopiec z klanu Fok nie miał z nim żadnych szans w ciemnym Lesie i szybko został z tyłu.

W końcu dotarł do brzegu i musiał się zatrzymać. Szuwary zastygły śmiertelnie jak las wólczeni. Ledwie je widział. Była duszna noc, powietrze znieruchomiało, czuł, że pot się z niego leje, ale trząsał się z zimna. Przed oczami przewijały mu się obrazy z przeszłości. Talenty magiczne Renn. Jej niechęć do Magii, której nigdy nie chciała wyjaśnić. Były nawet do siebie podobne! Ta sama blada skóra i wysokie kości policzkowe, regularne rysy twarzy. Czemu wcześniej tego nie zauważył?

Najbardziej jednak bolało go, że tak długo to przed nim ukrywała. Że potrafiła tak bardzo oszukiwać. To zmieniło ją w kogoś zupełnie innego – kogoś, kogo nie znał. To właśnie było najgorsze, bo oznaczało, że ją stracił. Znow był sam, jak wtedy, kiedy zabito mu ojca.

Nie, pomyślał. Nie jesteś sam. Nigdy nie jesteś sam, kiedy masz Wilka.

Wilk nigdy go nie okłamał. Wilk nie wiedziałby jak.

Torak uniósł głowę ku niebu i zawył. Przybiegnij do mnie, wilczy bracie! Potrzebuję cię! Nie zważając na Czarownicę Żmii, zamknął oczy i zawarł w tym wyciu cały swój ból i samotność.

Najpierw nic nie usłyszał. Później, gdzieś z bardzo daleka dotarło do niego w odpowiedzi ledwie słyszalne wycie. W końcu – Torak sądził, że to Wilk, ale było zbyt daleko, żeby rozpoznać jego głos. Może to nie był jego Wilk, ale któryś z pozostałych. Może to nie miało nic wspólnego z nim.

Z sercem przepętnionym żalem i goryczą błąkał się po brzegu. Znacznie później znalazł się na południowym krańcu wyspy i patrzył na Jezioro. Nie miał pojęcia, jak się tu dostał. Wiedział tylko, że jest bardzo, bardzo zmęczony.

Daleko na południu świeciły światła obozowiska Wydr, nieco bliżej, na wschodzie, dostrzegł blask ognisk. Zastanawiał się, próbując zebrać myśli, co to znaczy. Może klany go ścigały? Nie mógł się jednak zmusić do tego, żeby cokolwiek zaczęło go obchodzić.

Jakiś cień przesuwiał się w jego kierunku po Jeziorze. Nie potrafił zebrać na tyle sił, żeby się schować. Z toporkiem w dłoni zerwał się na równe nogi. Cokolwiek to było, poruszało się bardzo zręcznie, płynęło w jego kierunku cicho, jak szczupak.

–Torak. Wchodź do środka – zawołał cicho Bale z ciemności. Torak się nie poruszył.

–No chodź, Czarownica Żmii może być wszędzie! Sądząc po tych ogniskach, połowa klanów już cię ściga!

Wciąż się nie ruszał, a Bale westchnął.

–Wiem, że ci ciężko, ale nie ma czasu! Popłyniemy na północny brzeg, nie będą mieli odwagi tam na nas polować. Później poszukamy Renn.

–Nie – odezwał się Torak. – Ty rób, co chcesz. Ja idę szukać Wilka.

–Wilk się sam znajdzie, ale Renn jest gdzieś tam, opuszczona, a ta... kreatura... Może być wszędzie!

–Nic mnie to nie obchodzi.

–Mylisz się, obchodzi cię. Jeżeli coś się stanie Renn, nigdy sobie tego nie wybacysz. Ani ja sobie tego nie wybaczę. Teraz wskakuj do środka!

Wielkie Białe Oko świeciło w Górze, kiedy Wilk biegł szczytem grani.

Podczas Światła mówił sobie, że wszystko jest dobrze – kiedy się upewni, że młode wilczki są bezpieczne w nowym miejscu, będzie mógł pobiec z powrotem i przyprowadzić Wysokiego Bezogona. Wtedy właśnie gdzieś w oddali usłyszał przeraźliwie samotne wycie brata ze stada.

Inne wilki również je słyszały, ale ku jego rozczarowaniu pozostały nieporuszone. Młode leżały bezładnie, wyczerpane, a dorosłe – zmęczone po długim biegu – rozproszyły się po trawie, zamknęły oczy i posapywały przez sen. Wysoki Bezogon był ich przyjacielem, ale nie należał do stada tak jak Wilk, który był jego częścią. To Wilka niepokoiło. Chciał, żeby wszyscy byli razem, jak wcześniej na wyspie.

Podbiegł do Ciemnego Futra, polizał ją po pysku. Rozespana uniosła głowę i uderzyła kilka razy ciężko ogonem o ziemię, później przewróciła się na bok. Po chwili jej łapy drgały przez sen.

Przywódca stada poczuł niepokój Wilka i się obudził.

Wilk położył uszy po sobie i pomachał ogonem, przepraszając, że musi odejść. Odwrócił się i ruszył w dół zbocza.

Było mu łatwiej w ruchu. Popędzi jak najszybciej do Jamy i znajdzie Wysokiego Bezogona. Później zaprowadzi go do stada i wszystko będzie w porządku.

Przez chwilę oddawał się szeptowi szarych kwiatów ocierających się o jego

futro i słodkiemu oddechowi przysypiających drzew, ale część jego umysłu była cały czas czujna. Zauważył, że w tej Ciemności zapachy i dźwięki stały się bardziej intensywne niż zwykle. Skórę pod sierścią miał napiętą, czuł mrowienie w łapach. Gromowładny nie może sobie znaleźć miejsca. Będzie burza.

Kiedy dotarł na płaski teren, zwolnił kroku. Zwiertzył psy. Niektóre znał, ale wielu nie. Trzymając się pod wiatr, przemknął obok wielkich Jam bezogortów, które stały grupą przy Wilgoci jak stado turów. Tylu bezogonów! Niektórzy pachnieli dzikiem, niektórzy krukami, a nawet wilkiem, ale nie mógł się zatrzymać, żeby to zbadać.

Już za Jamami przyspieszył kroku, kluczył między kępami tataraku, szedł starodawnymi szlakami znanymi tylko wilkom i Ukrytym. Biegając, widział ich kątem oka -milczących, kołyszących się w miejscu. Nie zwracał na nich uwagi, a oni pozwalali mu przechodzić.

W końcu dotarł tam, gdzie wilki urządziły sobie Jamę i nagle wszystko było złe, złe, złe. Śmierdziało Językiem Żmii!

Wilk wywęszył, że był tu Wysoki Bezogon i – ku jego zdziwieniu – złapał również zapach wilczej siostry, która pachniała krukami, i tego samca o jasnym futrze, który był ich przyjacielem. Ale się kłócili! Wilk wywachał wściekłość i ból, i gorycz smutku. Wywachał straszliwą przyjemność Języka Żmii. W brzożach obudziła się bryza i gdzieś w oddali Wilk usłyszał wycie. Stado śpiewało o radości znalezienia bezpiecznego miejsca dla małych wilczków.

Wilk uniósł pysk, by im powiedzieć, że wraca, ale nagle zamilkł.

Teraz wiedział to ze straszliwą pewnością. Bolało bardziej niż zęby rozrywające mu bok. Wilk nie może należeć do dwóch stad.

Wilk pojął, że Wysoki Bezogon nie może biegać z jego stadem, bo nie po to istniał. Istniał, żeby walczyć ze złymi bezogonami, jak Wilk istniał po to, by polować na demony.

Ból ścisnął serce Wilka. Nie jemu przyjdzie biegać ze stadem i uczyć młode zabawy w „złap leminga”. Wysoki Bezogon ocalił go, kiedy Wilk był mały, później odważył się wyruszyć w Wielki Chłód, żeby go ocalić od złych bezogonów. Wysoki Bezogon był jego bratem. Wilk nie może należeć do dwóch stad.

Coś dziabnęło Wilka w ogon.

–Obudź się! – zakrakały kruki.

Wilk od niechcenia kłapnął zębami, żeby je odgonić. Kruki usiadły na kamieniu, później odleciały na wschód i znów wróciły go nękać. Skoro go znalazły, już mu nie dadzą spokoju. Mają rację.

Wilk przełknął smutek i ruszył, klucząc, rozplątując ścieżki zapachowe. Wkrótce znalazł zapach Wysokiego Bezogona i ruszył za nim do Lasu.

Nie minęło dużo czasu i dotarł do Wielkiej Wilgoci. Czuł zapach rybiego psa i krwi sosny oraz bezogona o jasnej sierści. Wilk usiadł na brzegu i popiskiwał. Wysoki Bezogon odjechał z jasną sierścią na pływającej skórze. Pływające skóry były Bez Oddechu. Wilk wiedział, bo kiedyś taką żuł, a pływały szybciej niż czarny delfin. Rzucenie się w wodę i popłynięcie za Wysokim Bezogonem byłoby głupie. Wysoki Bezogon odpłynął. Wilk znów kluczył, łapiąc zapachy. Zwęszył zapach wilczej siostry. Tak. Teraz wiedział, co ma zrobić!

Kiedy już znajdzie wilczą siostrę, znajdzie również wilczego brata. Nie mogą się długo bez siebie obejść.

Renn nie myślała o tym, dokąd biegnie. W ogóle jej to nie obchodziło. Ciemne sosny patrzyły na nią bez emocji, ale jarzębiny zahaczały o jej ubrania, mówiąc, by zwolniła. Biegła dalej. W głowie słyszała głos Toraka: Nie zbliżaj się do mnie! Nie chcę cię już nigdy widzieć na oczy! I ta jego mina... Chował się w siebie, jak wilk liżący rany.

Ona mu to zrobiła. To była jej wina.

Dotarł do niej dźwięk wodospadu. Znalazła się przy wąskim skrawku szuwarów, za którym wznosiła się wysoka skała. Zaciśnęła pięści. Gdzieś tam, na górze była kobieta, która zrujnowała życie jej ojca i której czyny kładły się cieniem na jej własnym życiu, która obciążyła ją niechcianymi mocami i ukradła jedyne przyjaciela, jakiego Renn kiedykolwiek miała.

Skacząc z kępy na kępę, dotarła do podnóża skały i stanęła pod nią, wykręcając szyję. Mogłaby się tam wdrapać i zmierzyć z Czarownicą Żmii, ale może o to właśnie jej chodzi. Być może wiedźma zastawiła tam jakąś pułapkę, żeby złapać ją żywcem albo pozbawić życia, nie obchodziło jej, którą z tych ewentualności wołała Żmija.

Odwróciła się z płaczem i pobiegła. Znalazła ścieżkę prowadzącą na północny brzeg. Daleko nią nie dotarła, poczuła na sobie czyjś wzrok i odwróciła się na pięcie.

–Bale? – szepnęła. – Torak?

Nikogo. Nie było nikogo, nikt jej nie ścigał. Wróciła tam, gdzie była, zanim poznała Toraka. Znowu nie miała przyjaciół.

W końcu dotarła do małej zatoki pogrążonej w granatowym świetle letniego, nocnego nieba. Na brzegu leżało wyrzucone przez wodę drewno, wyprane z koloru przez wiatr i deszcz. U szczytu zatoki stały na straży trzy słupki. Miały być jak uformowane gliniane głowy, a ich białe oczy patrzyły na Jezioro. Renn usłyszała delikatny, wysoki odgłos ich mocy i ścisnęła ręką pióra opiekuna klanu. Skradała się z tyłu za nimi, żeby jej nikt nie widział.

Po wschodniej stronie zatoki, za zasłoną sosen oddzielającą brzeg od

słupków, znalazła małą łódź obciążoną skórą jelenia, zacumowaną w cieniu drzew. Może należała do Czarownicy Żmii? Nic jej to nie obchodziło.

Rozwiązała szybko cumy i wskoczyła do środka. Łódź się zakołysała, ale Renn pociągnęła mocno wiosłem i ruszyła na wodę. Nie miała pojęcia, dokąd płynie – musiała po prostu być w ruchu.

Coś zmusiło ją, by obejrzała się za siebie.

Na brzegu stała Czarownica Żmii i przyglądała się jej bez emocji.

Renn poczuła falę wszechogarniającego strachu. Jakby złapana w niewidzialną sieć, obróciła łódź dziobem do brzegu i patrzyły na siebie poprzez przestwór połyskującej granatowej wody.

–Czego chcesz? – spytała Renn, nie mogąc znieść, że głos jej drży.

–Niczego, co byś mogła mi dać – odparła Czarownica Żmii, której twarz w świetle księżyca lśniła niezdrową, zielonkawą bielą.

–Po co więc tu jeszcze jesteś? – spytała Renn. – Nie dość ci tego, co zrobiłaś? Otworzyły się czarne usta.

–Rozczarowujesz mnie, córko. Miałam nadzieję, że będziesz mniej uczuciowa. Bardziej opanowana.

–Zrobiłam mu krzywdę. Zrobiłam krzywdę mojemu najlepszemu przyjacielowi! Seshru odrzuciła głowę do tyłu z pogardą.

–Jaka szkoda, masz serce swego ojca! Chociaż... – wyduła wargi, jakby chciała wskazać ukradzioną łódź. – Masz odwagę swojej matki.

–Nic z ciebie nie mam! – Renn wypluła słowo po słowie.

–Ha! Obie wiemy, że to nieprawda. Masz mój talent do Magii, całkiem nieźle ci poszło, kiedy pomagałaś wędrującemu duchowi opierać się mojej woli. Może jednak powinnam być z ciebie trochę dumna. Renn poczuła nienawiść ściskającą jej serce.

–On należy do mnie, córko – ostrzegła ją Czarownica Żmii. – Jest moją nagrodą za długie zimy czekania.

–On nie należy do nikogo oprócz siebie samego.

–Nie walcz ze mną. Jeśli przeciwstawisz swoją moc mojej, może się to dla ciebie skończyć śmiercią.

–Może. Nie jesteś jednak niezwyciężona. Saeunn miała mniejszą moc niż ty, a jednak raz nad tobą zatryumfowała.

Pocisk trafił w cel. Renn zobaczyła, jak zaciskają się białe pięści.

–Ale nie w Magii – odezwała się ciekim głosem Seshru. – To zwykła złodziejka. Wykradła mi cię.

–Uratowała mnie! – odparowała Renn. – Byłam niemowlęciem, a ty chciałaś mnie złożyć w ofierze!

– Tak ci powiedziała? – Seshru wyprostowała się jak wąż, który przygotowuje się do uderzenia. – Dlaczego więc miałabym cię nosić przez dziewięć długich księżyców, gdybym chciała cię tylko zabić? Nie, byłaś przeznaczona do większych rzeczy. – Seshru wykrzywiła

czarne usta. – Miałaś być moim największym i najpełniejszym stworzeniem, miałaś być moim tokorogiem!

Renn nie słyszała już ani żab, ani fal Jeziora uderzających o brzeg.

– Mogło mi się udać – ciągnęła Czarownica Żmii. – Opal ognia przyciągnąłby najpotężniejszego demona, demona podstawowych elementów, a ja zamknęłabym go w moim nowo narodzonym dziecku jak w pułapce. Byłabyś moją rzeczą moim stworzeniem! Z taką władzą – czego nie mogłybyśmy osiągnąć!

Przez chwilę patrzyła przez Renn, jakby dziewczyna była niewidzialna, oglądała niemożliwe do spełnienia wizje chwały. Szybko się jednak otrząsnęła i teraz wpatrywała się w córkę z pogardą.

– Zamiast tego ta stara wiedźma przyszła cię „ocalić”. Rzeczywiście ocaliła cię: siedzisz w tej łodzi słaba, bezsilna i zastanawiasz się, czy będziesz miała odwagę mnie zabić.

– Mogłabym – powiedziała Renn przez zęby. – Mogłabym w tej chwili strzelić do ciebie.

Seshru się zaśmiała.

– Nigdy nie wypowiadaj gróźb, których nie potrafisz spełnić, córko! Nie masz żadnej władzy nade mną. Nie możesz mnie pokonać ani zabić! Nie zapominaj o tym.

Wyprostowała ramię w kierunku łodzi i przekręciła nadgarstek tak, że jej dłoń skierowała się w dół. Renn cofnęła się gwałtownie, jakby ją coś uderzyło, i mało nie straciła równowagi.

Kiedy znów podniosła wzrok, Czarownicy Żmii już nie było.

Smród Języka Żmii kęsał Wilka w nos, kiedy biegł wzdłuż brzegu Wielkiej Wilgoci. Zła samica bezogona była jednak poza zasięgiem Wilka, na skałach, biegł więc dalej ścieżką zapachową wilczej siostry.

Mijał zatokę, gdzie Ukryci zbierali się, żeby wyciągać różne rzeczy z Wilgoci. Biegł długimi susami przez las uważnie spoglądających na świat sosen i wyłonił się po drugiej stronie. Biegając, czuł w nozdrzach daleki zapach Wielkiego Białego Chłodu. Wyczuwał jego niepokój. Słyszał, jak Gromowładny kręci się niespokojnie w Górze.

Po wielu wilczych skokach odnalazł siostrę. Siedziała przykucnięta przy Wilgoci obok pływającej skóry, która śmierdziała Językiem Żmii, ale ku

z dumieniem Wilka chyba nic jej to nie obchodziło. Trzymała głowę w przednich łapach, trzęsa się i szlochała tak, jak szlochają bezogony, kiedy są bardzo, bardzo smutne.

Wilk ostrożnie podszedł do niej. Usiadł obok i polizał ją w kolano.

Uniosła głowę i zamrugła. Później powiedziała coś nieszczęśliwa w języku bezogonów i zarzuciła przednie łapy na szyję Wilka, zanurzając twarz w jego sierści. Nie za bardzo mu się to podobało, ale pozwolił jej na to, bo czuł, że gdzieś w środku coś w niej pęka.

W końcu łkanie przeszło w pochlipywanie, a później w przetykanie. Ku wielkiej uldze Wilka wreszcie go puściła. Opierając się o siebie, siedzieli, patrząc na Wilgoć. Tym razem, kiedy Wilk polizał ją po palcach u stóp, delikatnie go odsunęła klepięciem dłoni, a on już wiedział, że czuje się lepiej.

Unióśł pysk i powąchał powietrze, ale nie było ani śladu po zapachu Wysokiego Bezogona. Wilk był zdumiony. Jego plan odnalezienia brata ze stada nie powiódł się.

Tak żałośnie Renn nie płakała od czasu, kiedy zmarł jej ojciec. Czowała się wtedy pusta i krucha w środku jak skorupka jajka. Wilk bardzo jej pomógł. Znikł tak nagle, jak się pojawił, ale czuła jego silny, słodki, wilczy zapach na ubraniu i skórze, co było bardzo pocieszające. W końcu, skoro miała Wilka, nie była zupełnie bez przyjaciół.

Umyła twarz w Jeziorze i zastanowiła się, co dalej robić.

Torak już nie chciał jej przyjaźni, ale może uda się znaleźć sposób, żeby mu pomóc.

–Pomyśl więc, czego może chcieć Czarownica Żmii? – odezwała się głośno.

Na pewno chciała mieć Toraka i opał ognia. Już myślała, że jej się udało, ale wtedy pojawiły się kruki. To poprawiło samopoczucie Renn. W końcu jej Magia zadziałała. To ona przecież wysłała kruki.

Zaczęła chodzić tam i z powrotem po nabrzeżnych kamyczkach. Noc była parna i duszna, a pierścień wokół księżyca mówił jej, że Duch Świata jest niespokojny. Zbliżała się burza. Na razie Jezioro było ciche, tylko para nurkujących ptaków latała tuż nad wodą. Obserwowała z namysłem ich lot.

Nagle zawróciły w powietrzu i ruszyły prosto na nią. Zdziwiona zrobiła unik.

Przeleciały z szybkością błyskawicy tuż nad jej głową tak blisko, że słyszała szelest ich skrzydeł, kątem oka chwyciła przebłysk szkarłatnego obrzeża źrenicy. Z rozdzierającym uszy krzykiem zawróciły niemal w miejscu i znikły w trzcinach.

Renn przystanęła. Stała na kamyczkach na brzegu jeziora. To był kolejny znak, tego była pewna. Dwa jelonki. Dwugłowa ryba. Bliźniaki z klanu Wydry.

Dwa ptaki. Wszystko w parach. Od dłuższego czasu duchy chciały jej coś powiedzieć. Szkoda, że nie może dostrzec, co łączy znaki.

Powoli ruszyła.

Żeby odczytać znaki, będzie musiała całkowicie otworzyć umysł. Nie zważając na koszty.

Księżyc przepłynął już przez niebo, a Renn siedziała na plaży, pocierając białym kamyczkiem o czarny tak, jak uczyła ją Saeunn. Siedziała całą noc, kiwając się w tył i w przód, pocierając kamyczki i wprowadzając się w coraz głębszy trans.

Kręciło jej się w głowie od dymu z jałowca, sok olchowy szczypał ją w oczy, musiała zaciskać powieki. To wszystko było częścią rytuału. Musiała się odciąć od świata zewnętrznego i spojrzeć na wszystko okiem umysłu. Musiała opróżnić umysł z myśli, aż stanie się pusty, i wtedy nadejdzie odpowiedź.

Bolały ją mięśnie. Odgłos ocierania kamienia o kamień wypełniał jej głowę, wciągając w ciemność.

–Duchy Jeziora i Góry – mruzczała pod nosem. – Duchy Lasu i Lodu, proszę was o przewodnictwo. Wysłałyście mi znaki i dziękuję wam za to. Teraz pomóżcie mi dociec ich znaczenia.

Poczuła nagle silną wolę, która opiera się jej woli. Przerazona, już miała otworzyć oczy.

Seshru.

Zgrzytając zębami, Renn wciąż tarła kamieniem o kamień, chowając się za tarczę dźwięków.

Widzę cię... Umysł Seshru sięgnął po jej umysł. Wiem, gdzie kończy się twoja moc...

Kamyczek w jej dłoni był ciężki jak głaz, ledwie go unosiła. Zmuszała się, żeby nie przestawać, odgradzać się od słów Czarownicy Żmii.

Ja jestem trzcina i burzą, gromem i wiatrem... Nie pokonasz mnie...

Mrowiło ją w mięśniach, nie mogła utrzymać podniesionej głowy. Czuła, że wola Seshru wypiera jej wolę, była silniejsza niż gwałtowna wichura waląca starodawne dęby.

Pocieranie kamienia o kamień stało się głośniejsze. Teraz przypominało brzęczenie pszczoł, wielu pszczoł, a ona unosiła się na tych odgłosach i zjeżdżała w dół, coraz niżej w głębiny Jeziora. Gdzieś daleko w świecie, nad taflą wody, pełne wściekłości wycie cichło, a ona zanurzała się coraz głębiej.

Skulona na dnie Jeziora, czuła jego ból, który i ją przenikał, czuła jego niewyobrażalną odwieczność.

Teraz unosiła się jak na chmurze nad leczniczym źródłem, patrzyła, jak

Czarownica Żmii chwyciła szponami świętą glinę.

Teraz znów unosiła się na wodzie na krawędzi Rzeki Lodu, wykręcała szyję, odwracając się od ściany lodu płonącej odbitym światłem słońca – cóż za nieugięty, twardy, okrutny błękit. Jaki błękit...

Renn obudziła się z krzykiem. Ból rozdzierał jej napięte do granic, zaciśnięte jak postronki mięśnie, kiedy zrywała się na równe nogi i zataczając się, szła ku brzegowi.

–Myliłam się – szepnęła. – To nie Seshru. To Jezioro zabija!

Księżyc już zaszedł, kiedy Torak i Bale dobili do zatoczki na północnym krańcu Jeziora. Trzy gapiące się w wodę słupki nie chciały ich dopuścić do brzegu i wyłącznie nadzieja na odnalezienie jakiegoś śladu Renn zmusiła ich do wyjścia na brzeg. Bale złożył najpierw w ofierze kawałek wysuszonego mięsa kaczki, wkładając je do wody na piórze wiosła.

Przeszukiwanie wyspy nocą sprawiało trudność nawet Torakowi, a jedynym znakiem, jaki odnaleźli, był odcisk stopy Renn w pobliżu trzciny i jeszcze jeden na północnej plaży jeziora. Po wschodniej części zatoki nie znaleźli już żadnych śladów.

To był odcisk stopy Renn, wszędzie by go rozpoznał, ale dziewczyna nie była sama. Inny ślad przydeptywał jej ślad – był wydłużony, stopa o wysokim podbiciu takiego samego kształtu jak ślad Renn, ale dłuższa. Seshru.

Torak potarł dłonią czoło. Renn sama stanęła twarzą w twarz z Czarownicą Żmii nocą w tym miejscu nawiedzanym przez duchy.

–Co jej się stało? – spytał Bale cichym głosem. – Czy Seshru...

–Nie wiem – rzucił krótko Torak. – Muszę pomyśleć!

Przez całą noc prawie nie rozmawiali, czasami tylko wymieniali krótkie uwagi, gdzie szukać dalej, ale Torak czuł, że Bale go obwinia. Zmuszał się do skupienia na tropach.

Ślady stóp Czarownicy Żmii prowadziły dalej do Lasu i tam zniknęły. Pociężające było to, że wyżej położona część plaży była poprzecinana odciskami łap. Wygląda na to, że kluczył tam Wilk, wietrząc zapachy.

–Był z nią Wilk – powiedział Bale. – To na pewno jest dobry znak.

–Może – mruknął Torak, wodząc oczami po brzegu. Wilku, gdzie jesteś? Bał się zawyć, bo mógłby ściągnąć tu Seshru. Jej obecność wisiała w powietrzu jak zapach dymu, który unosi się po pożarze.

–Jeżeli Renn tu była, to gdzie znikła? – spytał Bale. Z pochyloną głową Torak szedł za jej śladami od drzew po wschodniej stronie zatoki do miejsca, gdzie się kończyły. Jeszcze raz. Ten sam efekt. Ślad kończył się w Jeziorze.

Odpychając od siebie najgorsze myśli, szukał dalej.

Na płyciźnie dostrzegł ślad w błocie, mówiący, że ktoś coś tędy włókł. W pobliżu znalazł młodą olchę i wąskie otarcie na jej korze, jakby rzemieniem.

–Łódź. Znalazła łódź zacumowaną przy tym drzewie. Bale wypuścił powietrze z płuc.

–To znaczy, że może być wszędzie. – Naprężył ramiona. – Musimy odpocząć. Zaczniemy na nowo, jak się rozjaśni. W przeciwnym razie będziemy popełniać błędy.

Ja już od dłuższego czasu popełniam błędy, pomyślał Torak.

Chcąc oddalić się jak najbardziej od słupków pilnujących tej części wody, przepłynęli kajakiem dookoła sosnowego zagajnika i przybili w następnej zatoce, później zanieśli łódź spory kawałek od brzegu na zalesione zbocze, z dala od Jeziora. Bale wyjął kilka pasków suszonego mięsa kaczki, które jedli w pełnej napięcia ciszy.

Było krótko przed świtem, ale Las dziwnie zamilkł. Żadnego kumkania żab, żadnych koników polnych ani cykad. Żadnych ptaków, pomyślał zaniepokojony Torak. Tylko Rip i Rek, które rozrabiały, dziobiąc jego rzeczy.

Z miejsca, na którym siedział, widział przebłyski ognisk na zachodnim brzegu. Zgadywał, że będą tam też ludzie z klanu Kruka. Fin-Kedinn z pewnością przyszedł tu szukać Renn.

–Torak – rzekł Bale, przerywając bieg jego myśli.

–Co?

–Wiem, że powinna była wcześniej ci o tym powiedzieć.

Torak zacisnął zęby. Kiedy Bale wspomniał o Renn, poczuł się, jakby znów ktoś mu rozrywał strup na piersi.

–Ale to, że jej matka jest... To znaczy, to nic nie zmienia. Wciąż jest twoją przyjaciółką.

–To, że mi o tym nie powiedziała, zmienia wszystko – stwierdził Torak. W duszy jednak coraz ciężiej było mu w to uwierzyć.

–Nosić w sercu taki sekret – Bale pokręcił głową. – Straszny ciężar. Torak podniósł kamień i rzucił w pień drzewa. Nie trafił. Kruki podniosły głowy i spojrzały na niego oskarżycielsko.

–Chociaż – ciągnął Bale, nie zważając na to, jak Torak to przyjmuje – Dziewczyna jest twarda. I odważna.

Torak odwrócił się do niego niechętnie.

–W porządku! Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia, a teraz zostaw mnie w spokoju.

Wziął swoje rzeczy, odszedł kilka kroków i rzucił się na ziemię plecami do

Bale'a. Chłopak z klanu Foki zostawił go nareszcie w spokoju.

Torak nie czuł już głodu i chociaż był wyczerpany, wiedział, że nie zaśnie. Co gorsza, Rip i Rek coraz bardziej go irytowały. Rek trzepotała skrzydłami, udając, że nie może wytrzymać z głodu, gdy Rip dziobał rękojeść jego noża.

–Przestańcie – rzucił im Torak. Oczywiście nie odniosło to żadnego skutku. Rzucił Ripowi okrawek mięsa. Kruk nawet na niego nie spojrzał i znów zaatakował

nóż.

–Przestańcie – powtórzył Torak głośnie.

–O co chodzi? – zawołał cicho Bale. Torak nie odpowiedział. Rip wpatrywał się w niego – nie prosił o jedzenie, po prostu

się gapił. Jego oczy były czarne jak Prapoczątki, a dusze kruka otwierały się na dusze Toraka. Chłopiec przeniósł wzrok z Ripa na obwiązana ścięgnami zwierzęcymi rękojeść noża, później znów spojrzał na kruka. Odwrócił głowę i gapił się na Bale'a. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydać z siebie głosu.

Chłopak z klanu Foki dostrzegł jego minę, wstał i podszedł do Toraka.

Wciąż nic nie mówiąc, Torak wyjął nóż z pochwy i gorączkowo szarpał ścięgna. Były tak mocno okręcone wokół rękojeści – Tata naprawiał nóż tego lata, zanim go zabili – że nawet krucze dzioby nie potrafiły naruszyć więzów. Nie pytając o wyjaśnienie, Bale podał mu swój własny nóż.

–Tnij. Kiedy ścięgna były już przecięte, łatwiej je było rozplatać. Torak czuł, że serce wali

mu jak młotem, kiedy ściągał ostatnią warstwę.

Drzewa zamarły w bezruchu.

Jezioro wstrzymało oddech.

Pot spłynął Torakowi po żebrach, kiedy zrozumiał, co przez tyle wiosen leżało ukryte w rękojeści noża jego ojca. Przechylił nóż i to coś wypadło na jego dłoń z zagłębienia, które Tata wyciął, by to schować. Podczas gdy Torak się w to wpatrywał – nie było to większe niż jajo drozda, choć miało moc zauroczania demonów z Innego Świata – słońce pokazało się nad brzegiem Rzeki Lodu, a palący promień światła wniknął głęboko w chłodne, czerwone serce opalu ognia.

Bale odetchnął głęboko.

–Cały czas tu był. Torak nie odpowiadał. Znów miał dwanaście lat i klęczał obok Taty.

–Toraku – szeptał z trudem Tata. – Ja umieram. O świecie już mnie nie będzie wśród żywych.

Torak ujrzał skurcz bólu ściągający szczupłą, ogorzałą twarz ojca. Ujrzał drobne, szkarłatne żyłki w jasnoszarych oczach, a w samym ich środku

niezglębną czerń.

–Zamieńmy się nożami – powiedział Tata. Torak był zdumiony i przerażony.

–Ale to przecież twój nóż! Będzie ci potrzebny!

–Tobie będzie bardziej potrzebny. Torak nie chciał się zamieniać nożami. To by oznaczało, że z ojcem już koniec. Tata

patrzył jednak uporczywie w jego oczy i ten wzrok nie pozwalał na odmowę...

–Och, Tato – szepnął Torak. Czuł, że opal ognia pali mu dłoń dojmującym chłodem. Wpatrywał się w jego ogniste, pulsujące serce.

Brązowa dłoń Bale'a przykryła kamień, rozbijając czar.

–Zakryj to! Torak zamrugał.

–Ona to zobaczy – syknął Bale. – Przykryj to! Wytrącony z transu Torak włożył opal ognia na poprzednie miejsce i opaską z czoła okręcił rękojeść noża, by kamień nie wypadł. Odetchnął dopiero wtedy, kiedy opal był dobrze schowany.

W końcu Bale spytał.

–W jaki sposób to zniszczyć? – Torak zmarszczył brwi. Jak można myśleć o zniszczeniu czegoś tak pięknego? – Jak?

Oczywiście Bale miał rację.

–Trzeba to pogrzebać – odezwał się Torak chropawym głosem. – Ale tylko pod ziemią albo pod skałą. I... – Głos mu się załamał.

–Tak?

–Razem z nim trzeba pogrzebać jakieś życie. W przeciwnym wypadku kamień nie będzie martwy.

Unikali swojego wzroku.

Torak pomyślał o Renn i o tym, że na Dalekiej Północy była gotowa oddać własne życie za to, by zniszczyć opal ognia. Zastanawiał się, czy sam znalazłby tyle odwagi, żeby tak postąpić. Myślał, ile razy ryzykowała życie, by mu pomóc.

Nagle Rek głośno zakrakała i oba kruki, trzepocąc skrzydłami, uniosły się w niebo. Torak skoczył na równe nogi.

–Posłuchaj – szepnął Bale. – Coś się dzieje nad Jeziorem. Wyteżając słuch, Torak pochwycił dźwięk delikatnie kapiącej wody. Później szelest, jakby coś się wyczołgiwało z Jeziora, następnie chlupot i kroki, jakby ktoś się potykał.

Ściskając noże w dłoniach, ostrożnie skradali się między drzewami. Gdzieś tam, dwadzieścia kroków niżej w zacienionej kępie olch coś się poruszyło. Torak poczuł, że dłoń Bale'a ściska go za ramię, kiedy to coś wyprostowało się i stanęło w pełnej wysokości. Z rąk i nóg postaci, z ociekających wodą włosów spadały wodorosty. Bale odwrócił się poblady, z poszarzałymi ustami.

–Co to jest? Torak ujrzał białe ramiona zwisające bezwładnie po bokach stworzenia. Bransoletkę z

jagód jarzębiny na nadgarstku. Wyprostował się.

–To Renn!

Renn patrzyła, jak biegną w jej kierunku, wykrzykując jej imię. Kolana się pod nią ugięły i omal nie upadła. Bale w ostatniej chwili chwycił ją za ramiona. Torak wziął jej łuk i kołczan. –Nadchodzi! – powiedziała resztkami oddechu. Zaczęła kaszleć i wymiotować błotnistą wodą Jeziora.

–Gdzieś ty była? – spytał Bale. Próbowwała odpowiedzieć, ale znów zaczął ją rozrywać kaszel. Nie ma czasu im

opowiadać o tej strasznej chwili, kiedy zobaczyła przyszłość i nieszczęście, które wszystkim zagraża. O tym, jak spieszyła się, żeby ostrzec klany, podczas gdy łódź robiła wszystko, co mogła, by ją wyrzucić za burtę – obracała się, wierzgała, a w końcu jej się udało. Teraz Bale klęczał przy niej, nie mając pojęcia o grożącym im niebezpieczeństwie, a Torak wycierał jej łuk garścią suchej trawy i unikał jej spojrzenia.

–Jesteś już bezpieczna – powiedział Bale.

–Nikt nie jest bezpieczny! – Chwyciła go mocno za ramię. – Słuchajcie, co mówię! Nadchodzi straszna powódź!

Patrzyli na nią bez słowa.

–Rzeka Lodu – dyszała ciężko. – Całą wiosnę nie wypuszczała z siebie stopionej wody! Dlatego właśnie ściana lodu była tak błękitna. Dlatego właśnie poziom wody w jeziorze opada. – Znów się rozkaszała. – Wszędzie widziałam bliźnięta. Dwa jeziora, rozumiecie? To Jezioro i to drugie, ukryte za lodem! Seshru ukradła świętą glinę i zaraziła Jezioro chorobą. Teraz zaś nadchodzi burza i wielki sztorm. Duch Świata rozbije ścianę lodu na drobne kawałki! Woda zaleje wszystko i porwie nas ze sobą!

Odwróciła się do Toraka.

–Nieważne, co o mnie myślisz, musisz mi uwierzyć! Musisz ostrzec Wydry, niech uciekają na wzgórze, bo nad wodą nie będą miały żadnych szans.

Wciąż unikając jej wzroku, Torak odłożył łuk.

–Nie chodzi tylko o Wydry.

–Co masz na myśli? – spytała.

–Ogniska na zachodnim brzegu – powiedział Bale. – Sądzymy, że klan Dzika poluje na Toraka. Może są tam i inne klany.

Renn ugryzła zaciśniętą pięść.

–Kruki. Fin-Kedinn na pewno przyszedł, żeby mnie odnaleźć. Wszyscy utoną. Torak zwrócił się do Bale'a:

–Weźmiemy kajak. W ten sposób najszybciej do nich dotrzemy. Bale skinął głową.

–Ale nie wszyscy razem, bo popłyniemy za wolno. Poza tym Renn nie da rady.

–Nieprawda, dam radę! – krzyknęła.

–Nie, nie dasz – sprzeciwił się Bale. Teraz zwrócił się znów do Toraka. – Zbocze nie jest za strome, mogę ją zaprowadzić wyżej, będziemy tam bezpieczni. Ty weź kajak. Ostrzeżesz ich.

–Ja? Mam wziąć twoją łódź? Nigdy przecież nie pozwalasz nikomu...

–Torak – przerwał mu Bale. – Masz teraz szansę udowodnić im, że nie jesteś Pożeraczem Dusz!

–Jeżeli go wcześniej nie zastrzelą – wtrąciła Renn. Torak pominął tę uwagę milczeniem.

Po chwili Bale wyprowadził łódź na wodę. Torak był gotowy, ale nagle wyskoczył na brzeg i pobiegł do Renn. Odwiązał pochwę z nożem i wcisnął jej w rękę.

–Przypilnujesz mi tego – mruknął.

–Ale jest twój, będziesz go potrzebował!

–Nie ma czasu na wyjaśnienia. Bale ci wszystko opowie. – I jeszcze przez ramię dorzucił. – Jej chodzi o mnie i o opał ognia. Nie może mieć jednego i drugiego!

Duch Świata zamieniał dzień w zmrok, a Torak pędził kajakiem przez wodę. Gdzieś w oddali zagrzmiało. Powietrze pękło z suchym trzaskiem, ostrzegając przed burzą. Powódź może nadejść w każdej chwili.

Oczami wyobraźni widział stworzenia Lasu i Jeziora uciekające w bezpieczne miejsca. Łosie, jelenie i leśne konie biegnące w kierunku grani, bobry i wydry wdrapujące się na pochyłości wzgórz tak szybko, jak potrafią wiewiórki i kuny szukające schronienia na najwyższych dębach. Nawet ryby będą się kryć na samym dnie Jeziora.

A wilki? To dlatego uciekły z wyspy. Czują, że coś nadchodzi. Torak miał nadzieję, że wzięły ze sobą małe na tyle wysoko, by im się nic nie stało. I że Wilk jest z nimi.

Niebo na wschodzie było kotłującą się masą chmur burzowych. Już wkrótce pioruny uderzą jak dzidy w Rzekę Lodu, uwalniając straszliwą furię wody przyczajonej tuż za lodowcami. Torak wyobrażał sobie powódź ogarniającą Jezioro – niszczącą wyspy, zmywającą z powierzchni ziemi obozowisko Wydr i wszystko, co stanie na jej drodze.

Wiatr się wzmógł, a on wciąż wiosłował. Był wykończony, kiedy dotarł do

zachodniego wybrzeża i zacumował tuż na południe od Rzeki Rękojeści Topora. Ani śladu łodzi i ludzi. Tylko szuwary pochylane ku wodzie podmuchami wiatru.

Zostawił łódź na brzegu i cicho zakradł się do zagajnika u stóp wzgórza. Drzewa jęczały, ostrzegając go, żeby nie szedł dalej. Nie wiedział, czy na wzgórzu nie roi się od myśliwych, którzy wyruszyli na niego zapolować, a miał przy sobie tylko toporek. Nie przyda się w walce z ludźmi uzbrojonymi w dzidy i łuki.

Był wyczerpany i musiał przystanąć, by odetchnąć. Zastanawiał się, którądy pójść, kiedy coś wyskoczyło na niego z jarzębiny i zważyło na ziemię.

Wilk w końcu odnalazł Wysokiego Bezogona! W jednej chwili smutek, który go nie opuszczał od chwili, kiedy zostawił stado, prysnął, a Wilk lizał twarz brata ze stada i obsypywał go wilczymi pocałunkami.

–Nie mogłem cię zostawić! – mówił Wysokiemu Bezogonowi. – Jestem z powrotem i już nigdy cię nie zostawię, jak mówiłeś!

Przywitanie Wysokiego Bezogona było pospieszne, wyczuwał w nim napięcie. Wilk przejął jego nastrój. Zwiertzył na skórze wilczego brata zapach Języka Żmii. Wyczuł wielki niepokój i niebezpieczeństwo.

–Co mam robić? – spytał.

–Znajdź Kruki – odparł Wysoki Bezogon. Wilk był trochę zły.

–Dlaczego akurat kruki?

–Nie. Nie ptaki. Bezogony, którzy pachną jak kruki. Znajdź przywódcę stada!

Teraz Wilk już rozumiał. Trącił nosem brata ze stada, by potwierdzić, że wie, o co chodzi, i ruszył pędem przez las.

Miejsce, gdzie bezogony zrobiły sobie jamy, było niedaleko, po kilkudziesięciu wilczych skokach już był w zagajniku jego polany. Rozglądając się czujnie, zakradał się, żeby znaleźć przywódcę stada.

Miejsce z jamami pulsowało gniewem, Wilk słyszał powarkiwanie w stadach Dzików, Wilków i Kruków. Wtem usłyszał cichy, silny głos przywódcy Kruków. Ten bezogon nigdy głośno nie kłapał pyskiem. Nie musiał. Wszyscy go szanowali.

Ostrożnie stawiając łapy, Wilk podczołgiwał się coraz bliżej.

Psy były niespokojne, ale po drodze Wilk wytarzał się w turzym łajnie, zbliżał się więc niezważany. Kiedy dotarł na tyle daleko, na ile mógł, przycupnął i czekał.

Wkrótce przywódca Kruków poczuł na sobie jego spojrzenie i go zobaczył.

Ale był szczwany! Tak jak prawdziwy wilk, przemknął oczami po Wilku, po czym odwrócił wzrok, żeby inni nie zauważyli. Po chwili opuścił miejsce, w którym bezogony zrobiły sobie jamę – spokojnie, by nie wzbudzić podejrzeń.

Kiedy Wilk upewnił się, że przywódca idzie za nim, ruszył odnaleźć Wysokiego Bezogona.

Torak ujrzał Fin-Kedinna idącego zdecydowanym krokiem przez zarośla wierzbowki i nawet nie przyszło mu do głowy, żeby się schować. Stał wyprostowany na otwartej przestrzeni. Przywódca Kruków zobaczył go, a Torak ujrzał radość w jego oczach. Poczuł ukłucie w sercu. Tęsknił za Fin-Kedinnem bardziej, niż myślał.

–Torak. – Fin-Kedinn chwycił go mocno za ramię. Rozejrzał się dookoła. – Chodź, jesteśmy za blisko obozowiska. Aki myszkuje po zaroślach, próbując cię znaleźć.

Z Wilkiem jako tylną strażą przenieśli się do smaganego wiatrem zagajnika. Bystre oczy przywódcy klanu Kruka przemknęły po twarzy Toraka i zauważyły bliznę na jego piersi.

–Gdzie jest Renn?

–Jest bezpieczna z Bale'em na północnym brzegu. Fin-Kedinnie, musisz posłuchać! – powiedział mu krótko o nadchodzącej powodzi. Wódz wysłuchał wszystkiego bez pytań i nie przerywając. – Musisz wyprowadzić klany gdzieś wyżej – skończył Torak. – Natychmiast! Powódź może nadejść w każdej chwili!

Twarz przywódcy klanu Kruków była jak zwykle nieporuszona, ale Torak zgadywał po błysku oczu, że Fin-Kedinn intensywnie myśli.

–Wszyscy są w obozowisku – powiedział. – Spierają się, jak cię wytropić. Dzięki temu łatwiej będzie się przenieść.

–Mam kajak. Znajdę obozowisko Wydr i ich ostrzegę.

–Nie. Ustrzelą cię przy pierwszej okazji.

–Ktoś przecież musi.

–Zajmę się tym.

–A klany?

–Wyprowadzę je na Grzbiet Wieprza. – Skinął głową w kierunku grani wyrastających za ich plecami. – Ty też musisz tam biec tak szybko, jak tylko potrafisz. Spróbuj dotrzeć do południowych zboczy, tam będzie mniej ludzi.

Torak skinął głową. Ale kiedy już miał odejść, Fin-Kedinn go zatrzymał.

–Gdzie jest Czarownica Żmii?

–Nie wiem. Chyba gdzieś na północnych skałach. Fin-Kedinn spochmurniał.

–Jeszcze z tobą nie skończyła. Znam ją, Torak. Nigdy nie wolno jej nie doceniać. Pamiętaj, że może być bliżej, niż myślisz!

Torak wcześniej nie powiedział mu o opalu ognia i nie mówił nic teraz, ale kiedy przywódca Kruków się odwracał, rzekł:

–Fin-Kedinnie, nie byłoby cię tutaj. Nie znalazłbyś się w niebezpieczeństwie.

To wszystko przeze mnie. Wybacz mi.

Jakiś cień przemknął przez twarz przywódcy Kruków.

–Ja cię ogłosiłem wyrzutkiem. To nie ty powinieneś prosić o wybaczenie. –
Dotknął ramienia Toraka. – Musisz się wspiąć tak wysoko, jak będziesz mógł.
Biegnij!

Wiatr wył w uszach Toraka, kiedy wspinał się na zbocze, a Wilk biegł tuż przed nim. Las był ciemny jak nocą, drzewa kołysały się dziko i jęczały. Był w połowie drogi, gdy stwierdził, że musi się zatrzymać, zgięty w pół, ledwie łapiąc oddech. Opadł bez sił przy pniu drzewa i kazał Wilkowi iść bez niego. Wilk się zawahał.

Niedaleko uderzył piorun. Nad głowami usłyszeli trzask i huk gromu. Wielkie krople deszczu zabębniły o liście i po chwili zaczęło lać jak z cebra. Torak zobaczył, jak Rip i Rek kryją się na dębie. Tak. Trzeba się wspiąć na drzewo. Na nic innego nie ma czasu. Może Las i jego ochroni.

–Biegnij – powiedział jeszcze raz Wilkowi, a ten, wyczuwając, co Torak chce zrobić, odwrócił się i popędził w bezpieczne miejsce.

Gdzieś w oddali Torak usłyszał głębszy odgłos w tle uderzeń piorunów – odbijający się echem huk, który już kiedyś słyszał. Na Dalekiej Północy. Huk pękających lodów.

Chwiejnym krokiem ruszył w kierunku dębu, potknął się i padł jak długi w błoto. Błysk pioruna rozjaśnił odcisk stopy tuż przy jego dłoni. Gdzieś za nim trzasnęła gałązka. Odwrócił się na plecy w tym samym momencie, kiedy toporek Akiego uderzył z hukiem w korzeń, przy którym przed chwilą była jego głowa.

–Wreszcie cię dopadłem! – ryknął chłopiec z klanu Dzika. Zdrowym ramieniem szarpał rękojeść toporka, który utkwiał głęboko w korzeniu drzewa.

–Aki, czy ty oszalałeś? – krzyczał Torak, pokonując wiatr. – Nadchodzi powódź! Musimy uciekać na drzewa!

–Powiedziałem, że cię dopadnę, to dopadnę! – wrzasnął Aki.

Znow uderzyły pioruny, błyskawice i gromy. Rzeka ognia z łoskotem waliła przez Jezioro. Z trudem wstając na nogi, Torak zrozumiał, że Aki nie kieruje się nienawiścią, ale lękiem przed ojcem, a z tym nie ma co walczyć rozsądną argumentacją. Zostawił go zmagającego się z toporkiem i pobiegł pędem do dębu. Skoczył na najniższą gałąź. Zdesperowany miał teraz więcej sił, po chwili już był dziesięć kroków wyżej.

–Aki! – krzyknął. – Zostaw ten toporek! Wspinaj się! Jeszcze raz huknęły kruszące się lody i nagle Aki popędził w kierunku dębu,

zostawiając rękojeść toporka. Był jednak cięższy niż Torak i nie potrafił dosięgnąć najniższej gałęzi.

–Chwyć mnie za rękę! – Torak schylił się i sięgnął tak daleko, jak potrafił. To nie wystarczyło. Aki nie mógł się przecież wspinać, używając tylko jednej ręki. W strugach deszczu Torak zobaczył, że chłopiec z klanu Dzika ma prawe ramię przywiązane do piersi – to ramię, które on złamał, posyłając Akiego prosto w najbystrzejszy nurt rzeki.

Torak warknął, zeskokczył z drzewa, splótł palce dłoni, by mu pomóc wejść.

–Szybko! Na górę! Aki był zdumiony. Po chwili postawił jednak stopę na dłoniach Toraka, a ten

podepchnął go na drzewo ostatkiem sił.

Znow coś ryknęło, ale tym razem to nie lód. Torak zdał sobie sprawę, że to powódź. Zobaczył ją z oddali – olbrzymią ścianę wody sunącą przez Jezioro, zmiatającą po drodze wysepki, przewracającą całe drzewa, nadchodzącą w jego kierunku.

Aki coś krzyczał i pochylał się, żeby podać mu rękę, ale teraz to Torak nie mógł jej dosięgnąć. Nie dał rady.

Przez chwilę, zanim uderzyła fala powodzi, zobaczył Wilka biegnącego co sił w jego kierunku. Torak wyszedł mu naprzeciw, zataczając się, i objął ramionami szyję brata ze stada...

Potężna fala porwała ich obu.

Kiedy Torak odzyskał świadomość, leżał na plecach, a krople deszczu rozbijały się na jego twarzy. W rozwidleniu gałęzi brzozy tkwiła martwa ryba. Buza przeszła. Fala powodziowa wyrzuciła go na usiane połamanymi drzewkami kamieniste zbocze. Nie było śladu Wilka. Torak modlił się o to, żeby udało mu się dotrzeć w bezpieczne miejsce.

Uniósł się na łokciu. Był poobijany i posiniaczony, ile poza tym nie ucierpiał.

Był również otoczony. Za lasem wymierzonych w niego włóczni zobaczył sporą grupę ludzi z klanu Dzika, Wilka i Kruka, było ich może osiemdziesięciu, niektórych znał – Thulla, Raut, Maheeguna, ale parzyli na niego tak, jakby był kimś obcym. Wszyscy byli brudni, przestraszeni i żądni krwi. Strzała utkwiała w błocie tuż przy jego udzie. Wstał. Był sam i bezbronny. Fala powodziowa zabrała mu toporek.

Wtedy zobaczył Wilka na zboczu tuż za nimi, gotującego się do skoku na pomoc.

–Trzymaj się z daleka! – warknął Torak. – Zbyt wielu! Wilk nie ruszył się na krok. Rozległ się pomruk podekscytowanych głosów. Nie podobało im się, że przemawia

wilczą mową. Kamień uderzył go w skroń. Udało mu się ustać. Gdyby upadł, byłby to już koniec.

–Żadnych kamieni – odezwał się dobrze znany głos, a dzidy się rozdzieliły, by przepuścić Fin-Kedinna. Opierając się mocno na kosturze, przeszedł kilka kroków w kierunku Toraka, następnie odwrócił się i stanął na wprost grupy ludzi, osłaniając go własnym ciałem.

–Odsuń się, Fin-Kedinnie! – krzyknął przywódca klanu Dzika. – Ja znalazłem wyrzutka, mnie się należy przywilej zabicia go!

–Nie – przepychał się do przodu Aki. – Nie wolno ci go zabić! On uratował mi życie! Przywódca klanu Dzika ruszył w stronę syna i Aki zawahał się, ale nie ustąpił.

–Mógł sam się ocalić, ale nie zrobił tego i mi pomógł! Ojczy, nie wolno ci go zabijać! Tak się nie godzi!

–Nie godzi się? – Przywódca klanu Dzika uderzył syna pięścią z taką siłą, że chłopak upadł na ziemię. – To wyrzutek! Tak mówi prawo!

–Jak możesz? – krzyknął Bale, przepychając się przez tłum. – Torak was wszystkich uratował!

–Ostrzegł was o nadchodzącej powodzi! – wołała Renn gdzieś za nim, ciężko dysząc. Była obdarta i wściekła. – Gdyby nie Torak, wszyscy byście potonęli, co do jednego!

–Nie słuchajcie jej! – krzyknął jedyny mężczyzna z klanu Wydry, którego Torak widział w tłumie. – To wszystko jego wina! Wyrzutek rozgniewał Jezioro! To on jest winien powodzi!

–Nie, Yolunie – powiedział Fin-Kedinn. – Nie Torak. Czarownica Żmii.

–Czarownica Żmii – szydził przywódca klanu Dzika. – Tak mówisz, ale gdzie ona jest? To jest Pożeracz Dusz! – dźgnął dzidą powietrze w kierunku Toraka.

–Nie jest Pożeraczem Dusz – rzekł Fin-Kedinn. – Wyciął tatuaż, wszyscy widzicie bliznę.

Przywódca klanu Dzika miał jednak za sobą poparcie tłumu, co mu dodało odwagi.

–Jest wyrzutkiem! Prawo powiada, że wyrzutek musi umrzeć!

–W takim razie prawo musi się zmienić! – odparł przywódca klanu Kruka.

–Dlaczego? Bo ty tak mówisz?

–Bo tak jest sprawiedliwie.

–Jest Pożeraczem Dusz i wyrzutkiem...

–Jest moim przybranym synem! – ryknął Fin-Kedinn. Kruki podfrunęły w górę z gałęzi drzew. Ludzie cofnęli się i skurczyli w sobie.

Przywódca klanu Dzika oblizał nerwowo wargi.

–Od kiedy?

–Od teraz – rzucił krótko przywódca Kruków.

–Fin-Kedinnie! – krzyknęła Renn. – Łap! Rzuciła mu nóż Toraka, a Fin-Kedinn złapał go, przeciągnął ostrzem po przedramieniu i pokazały się kropelki krwi. Chwył Toraka za nadgarstek, zrobił to samo na jego ramieniu i zacisnęli mocno dłonie, a przywódca Kruków wypowiedział słowa oznaczające, że odtąd Torak jest jego przybranym synem. Następnie odwrócił się do tłumu, a w jego błękitnych oczach płonął blask.

–Jeżeli on ma pozostać wyrzutkiem, niech więc i ja takim pozostanę! Zabijcie go, a będziecie musieli mnie też zabić!

Przywódca klanu Dzika chwycił mocniej dzidę, ale nie ruszył się z miejsca. Nikt nawet nie drgnął. Torak jednak wyczuł, że nawet przywódca Kruków długo ich nie utrzyma.

Zobaczył na ich brudnych od błota twarzach żądzę przemocy, wyczuł zaciekłość, z jaką ściskają w dłoniach toporki i dzidy. Właśnie przeżyli klęskę żywiołową, a teraz szukają kozła ofiarnego. Jeżeli Fin-Kedinn stanie im na drodze, czy Bale albo Renn, wystawią się na pewną śmierć.

Torak wziął nóż z ręki przywódcy Kruków i powiedział cicho:

–Nie chcę mieć na rękach twojej krwi. Przywódca Dzików droczył się z Torakiem:

–Chowasz się za swoim przybranym ojcem?

–Fin-Kedinnie – mówił z naciskiem Torak – muszę sam im spojrzeć w oczy. Choć niechętnie, przywódca Kruków odsunął się na bok.

–Gdzie jest teraz twoja odwaga, wyrzutku? – naigrawał się z niego przywódca klanu Dzika.

–Tutaj – odpowiedział Torak. Poczł dziwną ulgę, kiedy stanął z nim oko w oko.

–Już się nie będę ukrywał. Mam tego dosyć! – krzyknął, krążąc wokół pierścienia ostrych dzid, szeroko otwierając ramiona. – Proszę, jestem! Możecie mnie zabić, jeżeli chcecie. Kogo obchodzi, czy jestem słusznym celem? Co to kogo obchodzi, czy właśnie tego chcą Pożeracze Dusz? Czarownik Dębu, Czarownica Puchacza i Czarownica Żmii. Oni wszyscy gdzieś tam są i krążą wokół was. Zabijcie mnie, a nic nie rozwiążecie!

–To jest jakaś sztuczka – rzucił pogardliwie przywódca klanu Dzika. – Nie słuchajcie go. On jest Pożeraczem Dusz.

–Byłem Pożeraczem Dusz – odparował Torak. – Uczynili mnie Pożeraczem Dusz wbrew mojej woli. – Uderzył pięścią w bliznę. – Wyciąłem znak, tym!

Machnął nożem w powietrzu i rzucił spojrzenie Renn. Otworzyła usta, bo domyśliła się, co chce zrobić.

–Ojciec dał mi ten nóż na posłaniu śmierci! – powiedział Torak. – Teraz wam

pokażę, udowodnię wam raz na zawsze, że nie jestem Pożeraczem Dusz!

Słyszał dzwonięcie w uszach, gdy rozwiązywał opaskę na czoło, którą wcześniej owinął wokół rękojeści. Odwiązał ostatnią warstwę, skórzany pasek spadł na ziemię, a Torak odwrócił nóż, by zrzucić straszliwy ciężar, który nosił, wprost na dłoń. Opal ognia rozbłysnął zimnym, czerwonym światłem.

Przywódcą klanu Dzika głośno westchnął. Dłoń Fin-Kedinna zacisnęła się mocniej na kosturze. Na wszystkich twarzach malowały się przerażenie i lęk.

–Opal ognia – rzekł Torak, trzymając go tak wysoko, by wszyscy widzieli. – Serce władzy i mocy Pożeracza Dusz. To jest ostatnia cząstka opalu ognia, który roztrzaskał mój ojciec. Mój ojciec – Torak spojrzał Maheegunowi prosto w oczy – który odrzucił Pożeraczy Dusz, pokonał ich i odebrał im władzę! Teraz kamień jest mój.

–Daj mi go – odezwał się cichy głos. Torak się odwrócił. Na grani nad nimi, dwadzieścia kroków za kręgiem dzid, stała Czarownica Żmii. Na twarzy, rękach i nogach miała świętą glinę klanu Wydry i przyglądała się im spokojnie z góry – nieludzka, niezwyciężona.

Przez tłum przeszła fala szeptów:

–Pożeraczka Dusz... Przyszła Czarownica Żmii.

–Nie zbliżać się – ostrzegła Seshru, wyciągając zieloną dłoń i przeczesując powietrze wyciągniętym palcem wskazującym. – Umrze każdy, kto spróbuje mi zrobić krzywdę.

Taka była moc Pożeraczy Dusz, Czarownica Żmii wzbudzała taki lęk, że nikt nie ruszył się na krok.

–Daj mi to – zwróciła się do Toraka, a jej słowa były pieśczętą przeznaczoną tylko dla niego.

Walczył, by patrzeć w inną stronę, oderwać wzrok od tej zielonej twarzy o doskonałych rysach. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Niedaleko od Czarownicy Żmii stał i patrzył Wilk. Torak odgonił go bezgłośnie. Pożeraczka Dusz była zbyt silna nawet dla Wilka.

–Daj mi to – powtórzyła Seshru. Nie mogąc się oprzeć, Torak spojrzał jej w oczy. Zapomniał o dzidach, zapomniał o

Bale'u, Renn i Fin-Kedinnie, zapomniał o Wilku. Nic nie istniało na tym zniszczonym powodzią zboczcu wzgórza poza Czarownicą Żmii i opalem ognia, gorącym i ciężkim w jego dłoni.

–Dam ci go – odpowiedział w końcu. – Dam ci opal ognia. Tłum westchnął. Torak pochylił się i położył opal ognia na głazie między sobą a Czarownicą Żmii.

–Weź go – rzekł. – Jest twój. Czarne usta Seshru rozchyliły się w triumfalnym

uśmiechu. Wciąż pochylony, Torak

podniósł z ziemi odprysk granitowej skały. Uniósł go wysoko, a oczy Czarownicy Żmii rozszerzyły się z przerażenia. Kiedy wyciągała nóż i biegła w jego kierunku, Torak krzychał:

–Weź go sobie! Weź opal ognia! Zobaczył, jak Renn nakłada strzałę na cięciwę i mierzy w swoją matkę; Bale wyrwał

jej broń z ręki i sam wymierzył. Torak widział, jak Seshru ze straszliwym okrzykiem upada

na ziemię ze strzałą w piersi w tym samym momencie, kiedy on uderzył kawałkiem granitowej skały w opal ognia, roztrzaskując go na drobne kawałki.

Od wzgórza do wzgórza dźwięczała cisza.

Granit wypadł Torakowi z ręki, kiedy spojrzał na Bale'a. Chłopak z klanu Fok stał, dysząc ciężko, z łukiem Renn w dłoni.

Wciąż żywe szkarłatne kawałki opalu ognia błyszcząły w błocie.

Wciąż żywa Czarownica Żmii sięgała po nie, wijąc się jak wąż przecięty na pół.

Renn przepychała się przez tłum. Zgarnęła zabłocone kawałki opalu ognia i wcisnęła je w dłoń Seshru, po czym zacisnęła zieloną rękę w pięść – palce Czarownicy zamknęły się na nich – i mocno zawiązała tę dłoń leżącą w błocie opaską Toraka.

–Masz – wydyszała. – Masz, czego chciałaś! Opal ognia umiera razem z tobą! Seshru patrzyła na szkarłatne światło sączące się jak krew przez jej palce, obnażając

zęby.

–To... jeszcze nie koniec – syknęła. Krew lała się strużką z kącika jej ust. Oczy jej się zaszklily. Kiedy jej dusze opuściły ciało, czerwona poświata między palcami raz jeszcze zapełgała i umarła.

Fin-Kedinn uniósł kostur.

–Pożeraczka Dusz jest martwa – oznajmił surowo. – Niech wszyscy temu zaświadczą, wyrzutek nie jest już wyrzutkiem! Po chwili wahania Maheegun skinął głową na zgodę.

Następnie przywódca klanu Dzika. Następnie Yolun w imieniu Wydr. Później wszyscy pozostali.

Renn wciąż klęczała przy Czarownicy Żmii, patrząc, jak deszcz zmywa jej krew, zamieniając ją w błotniste strumyczki.

Ona jest za blisko ciała, pomyślał Torak. Dusze Czarownicy Żmii muszą być niebezpiecznie blisko.

Wziął szybko rożek z lekami Renn, wysypał na dłoń czerwoną glinę, później

chwycił ją za rękę i sprawdziwszy, że dziewczyna wciąż ma na dłoni swoją osłonę na palce, zamoczył jej palec wskazujący w ochrze i pomógł narysować Znaki Śmierci na czole, sercu i piętach matki. Wtedy odciągnął ją delikatnie od ciała.

Tłum rozdzielił się, żeby kogoś przepuścić.

Wilk miał nastroszoną sierść, odsłonięte zęby, warczał, idąc na sztywnych łapach w kierunku ciała, czając się na kogoś, kogo nikt inny oprócz niego nie widział.

W padającym deszczu Torak przyglądał się, jak jego wilczy brat skacze, kłapie zębami w powietrzu i biegnie pędem do lasu, zaganiając dusze Czarownicy Żmii jak najdalej od żyjących.

Stado odchodzi bez niego i Wilk wie, że tak musi być, ale to boli. Dorosłe wilki biegną jeden za drugim, stawiając łapy na śladach przywódcy stada, ale małe wygłupiają się i potrącają, skaczą na tak przecież interesujące kawałki mchu. Grzebułka i Chaps widzą, że Wilk za nimi nie idzie, i wracają, by go zabrać. Chodź! Nie zostawaj z tyłu! Wilk żałośnie macha ogonem.

Przywódczyni stada zbiera wilczki, które po chwili truchtem biegną za nią, oglądając się za siebie ze zdziwieniem.

Ciemne Futro odchodzi ostatnia. Rzuca pełne tęsknoty spojrzenie przez ramię i po chwili ona również znika.

Wilk obudził się nagle. Leżąc w błocie, czuł, że smutek ściska mu serce. Stada już nie było.

Spomiędzy drzew dobiegały odgłosy bezogonów, którzy zaczęli się powoli budzić po nocy. Wilk pobiegł wzdłuż zbocza, by zwąchać zapachy. Od kiedy Wielka Wilgoć nadeszła z rykiem, wszystko się zmieniło. Gromowładnego już nie było, a Wielka Wilgoć uspokoiła się, chociaż urosła, a na drzewach były ryby, co Wilkowi wydawało się dziwne. Ukryci byli spokojni, bo mieli dla siebie swoją wyspę, bezogony nie polowały już na Wysokiego Bezogona, ale przyjęły go z powrotem; Wilk nie rozumiał dlaczego.

Wysoki Bezogon też się zmienił. Przez ostatnie Światła i Ciemności zmienił się jego zapach, a wycie stało się głębsze. Wilk znał powód. W przeciwieństwie do młodych wilcząt, młode bezogonów bardzo długo rosną, ale nawet im w końcu udaje się dorosnąć. Wysoki Bezogon był prawie dorosły.

Teraz był w Jamie z innymi bezogonami pogrążony w tym ich niekończącym się śnie. Wilk żałował, że Wysoki Bezogon się nie obudzi i nie wyczuje, że jego brat go potrzebuje.

Nie przyszedł jednak.

\$?

–Czas wracać – powiedział Fin-Kedinn, a siedząca na skale nad uzdrowicielskim źródłem Renn skinęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca.

Niedaleko grupa Wydr, zmywając świętą glinę z twarzy, zwracała ją Jezioru. Zatopiony w myślach Bale stał na krawędzi skały, a Torak przeczesywał paprocie, szukając kamyczka ze swoim imieniem.

Renn chciała mu pomóc, ale nie potrafiła się zdobyć na odwagę. Tak naprawdę jeszcze z nią nie porozmawiał, odkąd dowiedział się, kto był jej matką. Nie była pewna, czy między nimi znów jest dobrze, tak jak było, czy też wszystko się zmieniło.

O świcie zjawily się Wydry w swoich trzciniowych łodziach. Okazało się, że nie potrzebowały ostrzeżenia o powodzi, bo ich Czarownicy odczytali znaki i wyprowadzili ich w bezpieczne miejsce. Dlatego właśnie posłano Yoluna do klanów Lasu – żeby je ostrzec.

Wydry nie były zdziwione, kiedy Fin-Kedinn opowiedział im o Czarownicy Żmii. Przyjęły to tak, jak przyjęły powódź, która zniszczyła ich obozowisko, a następnie bez słowa zabrały się do organizowania rytuału pogrzebowego.

Po przewiezieniu ciała do odległej zatoki na północnym brzegu członkowie klanu obmyli je, złożyli na Pomoście Śmierci i obłożyli gałązkami jałowców, by nie powstało i nie poszło.

Następnie zaprowadzili wszystkich do źródła, żeby się oczyścić. Upierali się, chociaż delikatnie, by Renn trzymała się nieco z boku, bo – ponieważ to ona namalowała Znaki Śmierci na ciele zmarłej – będzie nieczysta przez następne trzy dni. W ogóle jej to nie obeszło. Poczowała ulgę. Tak sobie wmawiała.

–Nie pozostawiła po sobie ani śladu – odezwał się Torak zniechęca, a ona aż podskoczyła. Stał na głazie tuż za nią. Nie widziała jego twarzy, postać Toraka zasłaniała słońce.

–Nie znalazłeś kamyczka z imieniem? – spytała. Pokręcił głową.

–Co mam z tym zrobić?

Zauważyła, że powiedział „ja”, a nie „my”, i zastanawiała się, czy to coś znaczy. Głośno zaś rzekła:

–Zapytajmy Saeunn. Ona będzie wiedziała. Czarownica Kruków została w nowym obozowisku na szczycie Grzbietu Wieprza i choć Renn nigdy by się do tego nie przyznała,

czuła się bezpieczniejsza, wiedząc, że ona tam jest. Jeżeli potrzebna będzie Magia, Saeunn sobie poradzi.

Torak spojrzał na Jezioro.

–Znalazłem tylko koszyk, w którym trzymała węże. Był pusty. – Przerwał. – Nie czułem zła od tych węży. Może spodobała im się wolność.

Renn ułamała liść paproci i rwała go na kawałki.

Dlaczego nie możesz po prostu mu tego powiedzieć? Torak, przykro mi, że ci nigdy nie powiedziałam. Ale to niczego nie zmienia, prawda? Właściwie niczego?

Torak jednak mruknął coś pod nosem – że musi pomóc Bale’owi odnaleźć resztki kajaka – i już go nie było, a ona straciła swoją szansę.

Zjawił się Fin-Kedinn i usiadł przy niej.

–On wie o Czarownicy Żmii – rzekła Renn. – To znaczy o mnie.

–Tak, mówił mi.

–Tak? Co powiedział?

–Tylko tyle, że wie. Zmięta paproć i wyrzuciła ją. Fin-Kedinn spytał, kto jeszcze wie, a ona powiedziała,

że tylko Bale. Powiedział jej, że niektórzy ze starszych członków klanu Kruka rozpoznali Czarownicę Żmii mimo zielonej glinki i że Renn powinna z nim porozmawiać, kiedy wszystko się uspokoi, a ona się z tym zgodziła.

–Smutno ci, że ona nie żyje? – spytał Fin-Kedinn.

–Nie. Nie wiem – zmieszła się. – Nienawidziłam jej tak długo, a teraz jej nie ma. Nie wiem dlaczego, ale czuję, jakby było gorzej.

Skinął głową.

Wyglądał na zmęczonego. Renn zobaczyła siwe włosy pobłyskujące w jego brązoworudej brodzie; zmarszczki w kącikach oczu. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że wuj się starzeje. Ludzie umierali w młodszym wieku niż on. Ale to był Fin-Kedinn. On nie mógł umrzeć.

–Dlaczego wszystko nie może zostać tak, jak było?!

–krzyknęła. Fin-Kedinn wiodł oczami za ważką skaczącą po wodzie.

–Dlatego, że tak właśnie jest. Wszystko się zmienia, cały czas. Przeważnie jednak tego nie zauważamy.

–Odwrócił się do niej. – Trzeba tylko pamiętać, Renn, że nie każda zmiana to zmiana na gorsze.

Westchnęła, a westchnienie skończyło się szlochem.

–Torak był wyrzutkiem – powiedział Fin-Kedinn. – Teraz nie jest. To zmiana na lepsze. Ale przyzwyczajenie się do tego zajmie mu trochę czasu. – Wstał, opierając się na kosturze. – Wracajmy już. Jesteś wyczerpana.

–Nie, nie jestem – skłamała. Fin-Kedinn prychnął.

–Kiedy ostatni raz zjadłaś porządny posiłek?

Tej nocy klany świętowały, dziękując za to, że przeżyły powódź. Ryby w tajemniczy sposób znów pojawiły się w Jeziorze i chociaż Wydry, bojąc się odwrócić szczęście, nie śmiały mówić o tym głośno, wróciła w nie jakaś lekkość,

kiedy się krzątały, przygotowując ucztę.

Tak jak wszyscy inni, Torak i Bale musieli pomagać, ale Renn, jako nieczysta, nie została dopuszczona do pracy. Kręciła się wokół obozowiska, próbując nie sprawiać wrażenia opuszczonej, a później poszła poszukać Wilka. Nie znalazła go, ale słyszała, jak wyje. W jego zawodzeniu był smutek. Domyśliła się, że tęskni za stadem, i postanowiła wziąć jakiś smakołyk, by go pocieszyć.

Zanim zaczęło się świętowanie, najlepsze kąski jadła umieszczono na trzcinowej łodzi, którą wypchnięto na Jezioro. Dopiero wtedy wszyscy zasiedli do uczyty. Była chłodna, bezwietrzna noc, ludzie siedzieli wokół ogniska z bali – klan Wydr, Dzików, Wilków i Kruków. Wszyscy oprócz Renn, której rozpalono małe ognisko na skraju obozowiska.

Jedzenie było lepsze, niż oczekiwała – Fin-Kedinn miał rację, rzeczywiście była straszliwie wygłodzona. Przygotowano duszone mięso łosia i soczyste leszcze pieczone na olchowym drewnie, podpiekane pstrągi i kruche, złote ciasteczka z pyłku tataraku ze słodkimi, lekkimi kroplami trzcinowego soku oraz gęsty, śmierdzący tran z ciernika, który Wydry zabrały z domu, opuszczając obozowisko. Tego Renn unikała, ale widziała, jak Torak, który nie wiedział, co je, walczy, by zachować dobrą minę do złej gry po pierwszej łyżce.

Siedział na honorowym miejscu pośród przywódców klanów, nieco speszony pytaniami i spojrzeniami ludzi. Renn widziała, że świadom tego, co ma na czole, dotyka tatuażu wyrzutka, ale albo jej nie widział, albo unikał jej wzroku. Uznała, że lepiej się nie martwić.

Niedaleko Toraka siedział Bale. Napotkała jego spojrzenie i wyglądało na to, że zaraz się uśmiechnie, ale się opanował. Jeszcze nie rozmawiali o tym, co zrobił, a Renn

podejrzewała, że nie jest pewien, co ona o tym myśli. Uśmiechnęła się do niego przelotnie i wyraźnie mu ulżyło.

Po kolacji Wydry zebrały wszystkie ości, które były zbyt małe, by coś z nich zrobić, i wrzuciły je do Jeziora, żeby narodziły się jeszcze raz jako ryby. Później wstały bliźnięta, Czarownicy Wydr, i zaczęły śpiewać.

Jak srebrny strumień wpada do czystego stawu, tak ich głosy wpadały w ciszę słuchających. Oczami wyobraźni Renn widziała ciemność Prapoczątku, kiedy cały świat był wodą, kiedy nurkujący ptak popłynął aż na dno i przyniósł w dziobie odrobinę mułu, po czym rzucił muł na powierzchnię. Tak powstała ziemia.

Dziewczyna i chłopak śpiewali teraz nową pieśń. Tym razem Renn zobaczyła żmiję, która ukradła świętą glinę i zaraziła jezioro chorobą. Jezioro poprosiło o pomoc Ducha Świata, który uwolnił wody zgromadzone za lodem i zmył całe zło; ludzie Lasu też zostaliby zmiecieni z powierzchni ziemi, jeśli nie ostrzegłby ich

wędrowiec bez klanu. Później chłopiec Morza zabił żmiję i powrócił pokój.

Kiedy skończyła się pieśń, wszyscy kłaniali się Tomkowi, aż się zaczerwienił. Ukłon przywódcy klanu Dzika był powściągliwy, ale Aki uklonił się z całego serca. Przeciwstawienie się ojcu dało mu więcej szacunku do samego siebie i nie był już taki spięty. Najniżej kłaniał się Maheegun i klan Wilka.

Prawie świtało. Wkrótce skończy się ucztą, pomyślała Renn. Była syta i trochę odważniejsza. Chciała po prostu podejść do Toraka i powiedzieć mu to, co musi powiedzieć.

Teraz jednak przywódca klanu Wydr rozdawał podarunki, znów musiała więc poczekać.

Bale dostał szpon nurkującego ptaka jako amulet, by na podobieństwo najzręczniejszego ze stworzeń wodnych zawsze trzymał się na powierzchni.

Torakowi подарowano bransoletę ze szczęki szczupaka owiniętej skórą łosia, żeby był na polowaniu zręczny jak szczupak.

Jego nóż został naprawiony, a w zagłębieniu, które ukrywało opał ognia, spoczywał teraz kawałek zielonego kamienia obrobiony tak, że pasował dokładnie do wydrążenia w trzonku.

Właśnie wtedy, kiedy Renn zaczęła się czuć osamotniona, podszedł do niej Yolun i złożył coś u jej stóp. Uklonił się, mrużąc podziękowania za rolę, jaką odegrała w uratowaniu jego ukochanego Jeziora. Podarunek był piękny: nóż z zęba bobra z trzonkiem wyrzeźbionym na kształt rybiego ogona.

Nadszedł świt i ostatni ucztujący poszli spać. Nagle zobaczyła, że Torak zmierza w jej stronę.

Renn wstała, zrzucając na ziemię miskę i łyżkę – zapomniała, że wciąż ma je na kolanach. Torak pomógł je podnieść, a później niezdarne skinął głową.

–Renn...

–Tak? – powiedziała ostrzej, niż zamierzała.

–Aha, Torak – rzekł Fin-Kedinn, podchodząc do nich. Pierwszy raz w życiu Renn nie była zadowolona, że widzi wuja. – Chodź ze mną – nakazał nieporuszony przywódca Kruków. – Jest coś, co musimy zrobić.

Torak otworzył usta, po czym znów je zamknął.

–Dokąd idziemy? – spytała Renn. Fin-Kedinn gestem kazał jej zostać.

–Nie, Renn – powiedział łagodnie. – Tylko Torak. To nie dla ciebie. Torak pochwycił jej spojrzenie, które mogło znaczyć wszystko. Później ruszył do Lasu za przywódcą Kruków.

Torak walczył ze zniecierpliwieniem, idąc za Fin-Kedinnem. Teraz, kiedy już nie był wyrzutkiem, miał nadzieję, że on, Renn i Wilk znów będą razem, ale może się mylił. Od czasu powodzi Wilk nie podchodził do obozowiska, a on sam w

towarzystwie Renn czuł się niezręcznie, tyle spraw było jeszcze niedopowiedzianych.

Teraz zaś Fin-Kedinn prowadził go ścieżką łośi, nie mówiąc nawet dlaczego. Szedł szybko, wspierając się na kosturze, na ramieniu miał torbę z surowej skóry.

Daleko nie zaszli. Fin-Kedinn się zatrzymał, położył torbę pod bukiem i kazał Torakowi położyć się na plecach.

Torak spytał dlaczego.

–Muszę zrobić porządek z twoim tatuażem. Nie możesz przeżyć reszty życia ze znakiem wyrzutka na czole.

Torak już się nad tym zastanawiał, ale teraz nieco się wystraszył.

–Chcesz go wyciąć?

–Nie – powiedział Fin-Kedinn. – Połóż się. Torak położył się na plecach i przyglądał się przywódcy Kruków wyjmującemu z

torby piłkę z kości, mały młoteczek do tatuażu z rogu jelenia, płaską kamienną osetkę i zawiniątko z byczej skóry. Rozwinął je i rozłożył grudki czerwonej glinki, białego gipsu i zielonego kamienia martwicy.

–Posłałem Bale'a, żeby poszukał urzetu – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. – Teraz się nie ruszaj.

Założył igłę na młoteczek, palcem wskazującym i kciukiem rozciągnął skórę na czole Toraka i zaczął ją szybko nakłuwać tak, jak się robi porządny tatuaż. Od czasu do czasu przerywał, żeby otrzeć krew.

Na początku bardzo bolało. Później po prostu bolało. Żeby nie myśleć o bólu, Torak skupił wzrok na buku. Orzechy były jeszcze zielone, ale jakaś wiewiórka z wielkim zapalem już robiła zapasy, od czasu do czasu przystając i popiskując na intruzów pod drzewem.

Po chwili Torak przeniósł wzrok na Fin-Kedinna.

Jego przybrany ojciec.

Czuł się uhonorowany i zadowolony, ale również trochę zdezorientowany.

–Jest coś, czego nie rozumiem – powiedział. Fin-Kedinn się nie odezwał.

–Kiedy cię poznałem... Kiedy się dowiedziałeś, kim)ył mój ojciec, byłeś rozgniewany. Później czasami wydawało mi się, że mnie nie lubisz. A czasami, że jest odwrotnie.

Fin-Kedinn położył kawałek czerwonej glinki na płaskim kamieniu i skruszył ją granitowym odpryskiem.

–Wiem, że byłeś wściekły na mojego ojca – mówił dalej ostrożnie Torak. – Ale moja matka... Przecież jej nie znienawidziłeś?

Fin-Kedinn rozcierał glinkę.

–Nie – odparł. – Byłem w niej zakochany. Las rozbrzmiewał ptasimi trelami.

Pośród różowych kwiatów tawuły bzyczały pszczoły.

–Ona jednak kochała mnie jak brata – ciągnął przywódca Kruków. – Twojego ojca kochała tak, jak kobieta kocha mężczyznę.

Torak przełknął ślinę.

–Czy to dlatego... Dlatego go znienawidziłeś? Fin-Kedinn westchnął.

–Dorastanie może być jak choroba dusz, Torak. Dusza imienia chce być najsilniejsza, walczy więc z duszą klanu i mówi jej, co ma robić. Trzeba odnaleźć równowagę. Jak w dobrym nożu. Mnie to też zabrało jakiś czas.

Zanurzył rożek byczej skóry w glince i wcierał ją w czoło Toraka.

–Już dawno nie jestem zazdrosny o twojego ojca. Ale obwiniałem go o śmierć matki. Wciąż go za to winię.

–Dlaczego?

–Przyłączył się do Pożeraczy Dusz. Kiedy ona cię urodziła, on się ukrywał, był daleko od jej klanu. Jeżeli nie wystawiłby jej naniebezpieczeństwo, wciąż mogłaby żyć.

–Przecież nie chciał jej narażać.

–Nie każ mi przebaczać – ostrzegł go Fin-Kedinn.

–To ze względu na nią wzięłem cię pod opiekę. Dla niej i dla ciebie samego uczynię cię przybranym synem. Nie prosz mnie o więcej.

Oczyścił kamień kawałkiem mchu i rozkruszył grudkę martwicy. Torak przyglądał się twarzy mężczyzny, którego pokochał jak syn.

–Czy ty kiedykolwiek znalazłeś sobie kobietę? Fin-Kedinn wydał wargi.

–Oczywiście, że znalazłem. Była taka dziewczyna w klanie Wilka. Po jakimś czasie jednak powiedziała, że powinniśmy się rozstać, bo ja wciąż Kocham twoją matkę. Miała rację.

Zapadło milczenie, po czym Torak spytał:

–Jaka była moja matka? Twarz Fin-Kedinna stężała.

–Twój ojciec musiał ci o niej opowiadać.

–Nie. Za bardzo go to przygnębiało. Przywódca Kruków dłuższą chwilę milczał. Później powiedział:

–Jak nikt znała Las. Kochała go, a Las kochał ją.

–Spojrzał w oczy Torakowi i jego wzrok się rozjaśnił. – Jesteś do niej bardzo podobny.

Tego się nie spodziewał. Do tej chwili matka nie była dla niego kimś rzeczywistym -była cieniem kobiety z klanu Czerwonego Jelenia, która zrobiła mu róg z lekami i ogłosiła go chłopcem bez klanu.

Fin-Kedinn wpatrywał się w buk nic niewidzącym wzrokiem. Później rozprostował ramiona i wrócił do pracy.

–W pewnym sensie dzięki matce przetrwałeś jako wyrzutek. Te stworzenia Lasu, które ci pomagały. Bóbr, kruk, wilk. Sam Las. Może dostrzegały w tobie jej ducha.

–Ale dlaczego ogłosiła, że jestem bez klanu? Dlaczego to zrobiła!

Fin-Kedinn westchnął głęboko.

–Nie wiem, Torak. Ale kochała cię, więc...

–Skąd wiesz? Nie wiedziałeś nawet, że ma syna.

–Znałem ją – powiedział Fin-Kedinn cicho. – Kochała cię. Musiała więc zrobić to, żeby ci pomóc.

Torak nie rozumiał, jak to, że jest bez klanu, komuś może pomóc.

–Może – dodał Fin-Kedinn – odpowiedź leży tam, skąd pochodziła. A także tam, gdzie się urodziłeś.

–W Głębokim Lesie. Lekki wietrzyk poruszył dębami, które przytaknęły, słysząc te słowa.

–Kiedy powinienem tam pójść? – spytał Torak.

–Przez jakiś czas jeszcze nie – odparł przywódca Kruków, rozcierając gips.

– Są jakieś niesnaski między klanami Głębokiego Lasu, nie wpuszczają nikogo z zewnątrz. Głupotą byłoby zapuszczać się tam, gdy Thiazzi i Eostra mogą być wszędzie.

Z zarośli wyłonił się Bale. Z powagą podał Fin-Kedinnowi niewielki róg zawierający urzet.

–Słyszałem, jak mówiliście o Pożeraczach Dusz. W Głębokim Lesie chyba ich nie znajdziecie. Uważam, że są na wyspach.

Torak aż usiadł z wrażenia.

–Co takiego?

–Renn powiedziała kiedyś, że Czarownik Fok miał cząstkę opalu ognia i że kamień utonął razem z nim w Morzu. – Bale pokręcił głową. – Tak chyba się nie stało. Zawsze trzymał to, co mu było potrzebne do zaklęć, w woreczku ze skóry foki. Nie miał go przy sobie, kiedy zginął. Kiedy paliliśmy jego szafas, też go tam nie było.

–To niczego nie dowodzi – mruknął Torak niepewnie.

–Zanim zjawiałeś się na wyspach, kiedy był po prostu naszym czarownikiem, widywaliśmy czerwoną poświatę nad Urwiskiem – powiedział Bale. – Nie wiedzieliśmy, co to było. Teraz już wiem.

–Opal ognia – stwierdził Torak.

–Zanim ruszyłem do waszego Lasu – mówił dalej Bale – działały się u nas

dziwne rzeczy, bałagan zarówno w lasach, jak i wokół obozowiska. Jakby ktoś czegoś szukał.

Torak zastanawiał się nad ostatnimi słowami Czarownicy Żmii. Wtedy zauważył, że Fin-Kedinn wcale nie jest zdziwiony.

–Pomyśl tylko, Torak – powiedział, nakładając urzet. – Jeżeli ta cząstka, która znalazła się w nożu twojego ojca, była ostatnia, dlaczego szukała go tylko Czarownica Żmii? Dlaczego nie Thiazzi i Eostra?

–Niczego nie osiągnęliśmy! – krzyknął Torak. – Znowu się wszystko zaczyna!

–Nie tak – zaproponował Fin-Kedinn. – Krok po kroku, pamiętasz? Torak nie odpowiedział, ale przywódca Kruków zbierał już swoje rzeczy.

–Czas wracać – powiedział stanowczo. – Aha, Torak, jeszcze nic nie powiemy Renn o opalu ognia. Ona ma dość na głowie i bez tego.

Kiedy dotarli do obozowiska, czekała na nich Renn. Spojrzała na czoło Toraka i skinęła głową.

–No tak, teraz rozumiem – zwróciła się do Fin-Kedinna. – Chociaż ten biały kawałek tak naprawdę wcale nie jest biały, prawda?

–Chłopak jest za bardzo opalony. Ale to wystarczy.

–Co to jest? – spytał Torak. – Co mi zrobisz? Fin-Kedinn chwycił go za nadgarstek i podniósł wysoko dłoń Toraka, a następnie przemówił do pozostałych, którzy zbierali się wokół nich:

–Niech wszyscy obecni zaświadczą – powiedział jasnym, mocnym głosem. – To jest mój przybrany syn. Ten, który był wyrzutkiem i już wyrzutkiem nie jest. Jest bez klanu, ale teraz, zważywszy na znak, który nosi, należy do wszystkich klanów!

Ludzie się uśmiechali, potakiwali i wydawali z siebie pomruki oznaczające zgodę, i Torak zrozumiał, że cokolwiek zrobił przywódca Kruków, poskutkowało. Wyjaśnił mu to Bale. Przywódca klanu Kruków podzielił koło wyrzutka na cztery części – jedną ćwiartkę na każdy z klanów, a następnie je wypełnił. Białym, który oznacza klany Lodu, czerwonym klanów Gór, zielonym klanów Lasu i niebieskim klanów Morza.

–Wygląda dobrze – uśmiechnął się Bale. – W każdym razie lepiej. Torak wciąż próbował się oswoić z tą myślą, kiedy nagle na niebie znikąd pojawiły się

Rip i Rek. Zrobiły pętlę, a Rek wydawała z siebie odgłos przypominający szczekanie, co straszliwie rozwścieczyło wszystkie psy w obozowisku, natomiast Rip, który niósł coś w dziobie, rzucił to w błoto tuż obok Bale'a. Kruki odleciały, koziołkując w powietrzu, przechwalając się przed sobą sztuczkami i kracząc wniebogłosy. Bale podniósł to, co Rip wypuścił z dzioba, i uniósł brwi.

–Masz – wręczył to Torakowi. Torak patrzył na kamyczek ze swoim imieniem. Jego tatuaż klanowy był wciąż widoczny, ale wszystkie ślady węży z zielonej glinki zostały dokładnie wydziobane.

Torak i Bale wypłynęli na wodę z Yolunem w trzcinowej łodzi, a kiedy dotarli do głębokiej części Jeziora, Torak wyrzucił kamyczek ze swoim imieniem za burtę i patrzył, jak znika w ciemnozielonej wodzie.

Yolun był zadowolony.

–Jezioro będzie tego pilnować po kraniec czasu.

Torak też tak uważał. Na początku bał się Jeziora, ale zrozumiał, że nie jest ono ani złe, ani dobre; po prostu bardzo, bardzo stare.

Dobili do brzegu i Bale z Yolunem odeszli porozmawiać o łodziach, a Torak w końcu był wolny i mógł poszukać Renn.

Znalazł ją na brzegu, nacierała tłuszczem łuk. Usiadł koło niej, ale nie podniosła oczu. Po chwili odezwała się:

–Tyle razy był w wodzie, że chyba się spaczył. Torak spojrzał na nią.

–Jeżeli Bale by tego nie zrobił, zabiłabyś ją? Renn sięgnęła po tłuszcz i wcierała go w drewno, które już i tak błyszczało w słońcu.

–Tak – odparła, zaciskając zęby. – Czyje życie chciałeś poświęcić, rozkruszając opal ognia?

–Nie wiem – przyznał Torak. – Nie wiem też, dlaczego ojciec mi to dał. Może wiedział, że pewnego dnia będę go potrzebował.

–Po co go w ogóle trzymać? Mógł zniszczyć kamień razem z całą resztą.

Torak również się nad tym zastanawiał. Oczami wyobraźni widział straszliwe piękno opalu ognia. Może ojciec po prostu nie mógł się do tego zmusić. Odwrócił się do Renn.

–Wiedziałaś od początku o swojej matce? Dziewczyna się zaczerwieniła.

–Nie. Fin-Kedinn powiedział mi po tym, jak zginął mój ojciec.

–Ile więc miałaś? Siedem, osiem wiosen?

–Tak.

–Musiało ci być ciężko.

Spojrzała na niego z niechęcią szukając w jego oczach śladów współczucia, którego nie pragnęła.

Torak wziął garść piasku i przesiewał go z dłoni w dłoń.

–Jak to się stało? To znaczy jak ona przeszła...

Renn przygryzła wargi, po czym wszystko mu opowiedziała, wpatrując się w piasek między bosymi stopami, wypluwając tę historię jak truciznę.

–Kiedy zostawiła mojego ojca i odeszła do Pożeraczy Dusz, zmieniła imię.

Ludzie sądzili, że nie żyje. Ale nie mój ojciec. Fin-Kedinn powiedział mu, żeby o niej zapomniał. Jednak nie mógł. Wtedy przyszła do niego w tajemnicy. Klan o tym nie wiedział. Potrzebowała jeszcze jednego dziecka, niemowlęcia. Mój brat był za stary na... Dla jej celów. Postanowiła więc mnie urodzić. Potem znów opuściła ojca. Złamała mu serce. Nic jej to nie obchodziło. Urodziła mnie w tajemnicy. Saeunn ją odnalazła i odebrała mnie, nie wiem jak. Byłam bardzo mała. Jeszcze nie miałam imienia.

–Dlaczego Saeunn cię odebrała? – spytał Torak.

–Przecież na pewno nie z litości. Renn uśmiechnęła się smutno.

–Nie z litości. Musiała powstrzymać Czarownicę Żmii od wykorzystania mnie... -Westchnęła głęboko.

–Tak czy owak Saeunn powiedziała wszystkim, że ojciec znalazł sobie kobietę w Głębokim Lesie, która umarła. Powiedziała, że ta kobieta była moją matką. Uwierzono jej. – Renn zacisnęła pięści. – Saeunn mnie uratowała. Są dni, kiedy jej nienawidzę. Wszystko jej zawdzięczam.

Torak przez chwilę milczał, a po chwili spytał:

–Na co Czarownicy Żmii było małe dziecko? Renn się zawahała.

–Mogę ci o tym opowiedzieć później? Skinął głową, przesypując piasek z dłoni w dłoń.

–Kto jeszcze o tym wiedział?

–Tylko Fin-Kedinn i Saeunn. On mówił, że to będzie mój sekret, że zdradzę go wtedy, kiedy będę chciała. – Odłożyła łuk i odwróciła się do niego. – Naprawdę chciałam ci powiedzieć. Przysięgam. Jest mi strasznie przykro, że ci nie powiedziałam!

–Wiem – odparł. – Ja też cię przepraszam za to wszystko, co ci nagadałem. Nie chciałem. Przecież wiesz, prawda?

Renn nie wiedziała, co zrobić z twarzą. Później ułożyła łokcie na kolanach i ukryła ją w dłoniach. Nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, ale Torak widział napięcie w jej ramionach.

Objął ją niepewnie. Przez chwilę się opierała, później napięcie puściło i oparła się o niego. Pod jego ramieniem była krucha, ciepła i silna.

–Ja nie płaczę – mruknęła.

–Wiem. Po chwili wyprostowała się i wytarła nos wierzchem dłoni, wysunęła się spod jego ramienia.

–Ty masz szczęście – pociągnęła nosem. – Nie znałeś swojej matki.

–No tak. Pamiętam tylko moją wilczą matkę. Znów pociągnęła nosem.

–Jaka była?

– Miała miękkie futro i język jak gorący piasek. Bywało, że jej oddech pachniał gnijącym mięsem.

Renn się zaśmiała.

Siedząc obok siebie, patrzyli na jezioro. Torak usłyszał plusk nurkującego perkoza; gdzieś z oddali plaśnięcie szerokiego ogona bobra o wodę. Z jeziora wyłoniła się wydra, przyglądała się im przez chwilę i zanurkowała, zostawiając na powierzchni wody ślad bąbelków.

Patrząc na to wszystko, Torak poczuł, że nabiera ochoty do życia. Szkoda tylko, że nie ma z nimi Wilka, wtedy mógłby wszystkiemu stawić czoła.

Jakby w odpowiedzi z Lasu usłyszeli tęskne wycie. Torak odwrócił się i szczerknął krótko dwa razy.

– Tu jestem!

– Biedny Wilk – powiedziała Renn.

– Tak. Tęskni za stadem.

– Za tobą chyba też.

– No, to chodź. – Torak pomógł jej wstać. – Pójdziemy go pocieszyć. Nie znaleźli Wilka, to on znalazł ich nieco później pod kępą sosen niedaleko obozowiska.

Machał ogonem, ale jakoś bez życia, kiedy noga za nogą człapał w kierunku Toraka, by go pozdrowić. Miał oklapłe uszy, przygaszony wzrok. Torak kucnął przy nim i delikatnie podrapał po boku. Wilk położył się na ziemi i ułożył pysk między łapami.

– Tęsknię za stadem – powiedział Torakowi.

– Wiem – odparł Torak w wilczej mowie. Myślał o radości przebywania z młodymi wilczkami i uczuciu, jakim Wilk darzył czarną wilczycę. Porzucił to wszystko dla niego.

– Ja jestem twoim stadem – dodał Torak. Wilk uderzył ogonem o ziemię. Później usiadł i polizał Toraka po nosie. Torak polizał go po pysku i delikatnie dmuchnął w jego sierść.

– Ja cię nigdy nie zostawię.

Wilk machał ogonem z lewa na prawo, a oczy mu błyszcząły.

Renn wstała i pobiegła, mówiąc, że musi coś przynieść z obozowiska. Po chwili wróciła, niosąc nową miskę z olchowego drewna z wydrami wyrzeźbionymi wokół zewnętrznego brzegu. Torak pomógł jej postawić miskę na ziemi.

Śmierdziała. Była pełna tranu z ciernika nakrapianego tajemniczymi czarnymi kuleczkami.

– Yolun upierał się, że muszę wziąć tę miskę – powiedziała Renn. – Mówi, że wilki są wyjątkowe, bo tworzą piękną, pełną mocy muzykę. Masz – zachęciła

Wilka. – Mam nadzieję, że ci zasmakuje.

Kiedy odeszli na wystarczającą odległość, by Wilk mógł swobodnie się pożywić, podszedł i powąchał miskę. Po chwili zaczął jeść. Smakowało mu. Błyskawicznie wylizał miskę do czysta z ostatnich śladów pożywienia.

–A te czarne kulki? – spytał Torak.

–Suszone borówki – odpowiedziała Renn. Torak zapomniał na chwilę o Pożeraczach Dusz i roześmiał się serdecznie.

Nota od Autorki

Świat Toraka to świat sprzed sześciu tysięcy lat – istniał po epoce lodowcowej, ale przed rozpowszechnieniem w tej części świata rolnictwa, w czasach, gdy obszar północno-zachodniej Europy był ogromną Puszcza.

Ludzie ze świata Toraka wyglądali jak ty czy ja, ale żyli zupełnie inaczej. Nie znali pisma, metalu i koła, ale wcale ich nie potrzebowali. Potrafili przeżyć w każdych warunkach. Wiedzieli wszystko o zwierzętach, drzewach, roślinach i skałach Lasu. Kiedy czegoś potrzebowali, wiedzieli, gdzie to znaleźć albo jak to wykonać.

Żyli w małych grupach klanowych, wiele klanów często się przemieszczało - niektórzy rozbijali obóz zaledwie na kilka dni, jak klan Wilka, inni zostawali na miejscu przez cały księżyc albo całą porę roku, jak klany Kruka czy Wierzby, podczas gdy inni nie ruszali w drogę przez cały rok, jak klan Foki. Dlatego też od czasu wydarzeń opisywanych w Pożeraczach dusz niektóre klany zdążyły się przenieść w inne miejsca, jak widać na poprawionej mapie.

Kiedy zbierałam materiały do Wyrzutka, spędziłam sporo czasu nad jeziorem Storsjön w północnej Szwecji. Miałam szczęście słyszeć ryk łosia, kiedy wiosną wędrowałam przez las, i znaleźć przecinkę i tamę, którą zbudowały bobry. Stałam również nos w nos z łosiami w rezerwacie łosi, widziałam cudowne pięciodniowe cielęta i rozżalonego rocznego łosia, którego dopiero co porzuciła jego naprawdę olbrzymia matka.

Inspiracją dla kamiennych postaci przy uzdrowicielskim źródle były wspaniałe rzeźby naskalne w Glosa niedaleko Storsjön, które – jak twierdzą naukowcy – wykonali ludzie żyjący w czasach Toraka. Podczas mojego pobytu w tamtych okolicach oglądałam również fantastyczne reprodukcje ubrań z epoki kamiennej, instrumentów muzycznych, broni oraz kajak obciążony skórą łosia.

Chciałam się zbliżyć do wilków. Miałam szczęście poznać młode wilczki w brytyjskim rezerwacie wilków, gdzie karmiłam je z butelki, bawiłam się z nimi i – co ważniejsze – przyglądałam, jak się bawią między sobą obserwowałam ich zadziwiająco szybki rozwój. W ciągu kilku miesięcy wyrosły z maleńkich futrzanych kuleczek na odważne, duże wilki.

Pragnęłam też lepiej zrozumieć węże. Miałam szczęście zbliżyć się do nich w Longleat, gdzie trzymałam na rękach bardzo pięknego węża zbożowego i dwa imponujące, zadziwiające, niezwykle silne pytony królewskie. Nie rozumiałam, jak piękne i fascynujące mogą być węże, aż do chwili, kiedy wzięłam w dłonie jednego z nich i poczułam na twarzy wysuwający się z pyszczka języczek, którym gad się ze mną zapoznawał.

Chciałabym podziękować wszystkim w brytyjskim Powiernictwie Ochrony Wilka za to, że pozwolili mi się zaprzyjaźnić z młodymi, dorastającymi wilczkami; Sunę Haggmarkowi z Orrviken za to, że podzielił się ze mną wszechstronną wiedzą o łosiach i pozwolił mi się zbliżyć do łosi i cieląt łosi, które uratował; przyjaznym i otwartym pracownikom Informacji Turystycznej w Krokom i Ostersund, którzy pomogli mi dotrzeć do Glosa i oprowadzali po okolicy w chłodny, deszczowy i tajemniczy dzień; panu Derrickowi Coyle, Mistrzowi Kruków w londyńskiej Tower, za podzielenie się swoją rozległą wiedzą o pewnych bardzo szczególnych krukach, oraz Darrenowi Beasleyowi i Kim Tucker z Longleat za przybliżenie mi zadziwiającego świata pięknych i fascynujących węży.

Jak zawsze, chciałabym też podziękować mojemu agentowi, Peterowi Cocksowi, za jego niesłabnący entuzjazm i wsparcie; oraz mojej wspaniałej redaktorce i wydawcy, Fionie Kennedy, za głębię i wyobraźnię, poświęcenie i zrozumienie.

Michelle Paver 2007

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/